

MAX FRISCH

HOMO FABER

RELACJA

HOMO FABER
EIN BERICHT

Tłumaczyła Irena Krzywicka

Czytelnik Warszawa 1991

OD TŁUMACZA

Na wypadek, gdyby Czytelnika zdziwił dość osobliwy styl tej książki, gorączkowy i często bezładny, pozwalam sobie przytoczyć wyjątek z listu, jaki otrzymałem od Maxa Frischa:

„Pracuje Pani nad *Homo Faber* – kłaniam się nisko, Madame, bo wiem na podstawie francuskiego i angielskiego tłumaczenia, jak trudna to praca, jeśli się nie chce zatracić stylu Fabera. Bez odrębności tego stylu (nie potrzebuję Pani wyjaśniać, jak wiele znaczy tu rytm, napięcie, surowość, szorstkość i żeby nie był to «dobry» styl; słownik Fabera jest ubogi i banalny, tak jak może pisać inżynier, przemiana banału w poezję wynika tylko i jedynie z nieświadomego rytmu, przez swój sposób wysławiania się Faber zdradza więcej, niż sam sobie z tego zdaje sprawę, przeżywa więcej, niż sam by sobie życzył, demaskują go własne słowa itd.)... bez oddania tego stylu książka stałaby się banalna i reportażowa. Z dotychczasowych przekładów wynika, że ważne jest, by tłumacz nie unikał nawet błędów oryginału, aby nie zaokrąglął zdań, aby trzymał się stereotypowych wyrażen; Faber nie chce być poetyczny, jego relacja to stenogram, który bez jego wiedzy staje się coraz to bardziej poezją (Hawana itd.) w obliczu śmierci. Nie powinno się mieć wrażenia, że Faber jest literatem; nie zna on wcale literackich symboli, robi notatki w mowie potocznej i stylem sprawozdawczym...”

Te wyjaśnienia pisarza są niezbędne moim zdaniem, aby Czytelnik mógł wybaczyć tłumaczowi pozorne niedbalstwo. Najważniejsze było wejście w atmosferę tego stylu, uchwycenie jego rytmu i tempa.

I.K.

PIERWSZY ETAP

Wystartowaliśmy z La Guardia, New York, z trzygodzinnym opóźnieniem na skutek śnieżycy. Nasza maszyna była, jak wszystkie na tej trasie, typu Super-Constellation. Od razu przygotowałem się do snu. Była noc. Czekaliśmy jeszcze dalszych czterdzieści minut na pasie startowym. Śnieg w świetle reflektorów, pył śnieżny, zadymka nad lotniskiem; zdenerwowała mnie tak, że nie od razu mogłem zasnąć, nie tyle gazeta, którą rozdawała stewardessa, *FIRST PICTURES OF WORLD'S GREATEST AIR CRASH IN NEVADA*, nowina, jaką przeczytałem już w południe, ile właśnie ta wibracja maszyny stojącej z zapuszczonymi motorami. A jeszcze obok mnie ten młody Niemiec, który od razu zwrócił moją uwagę, nawet nie wiem dlaczego, ale już go spostrzegłem, kiedy zdejmował palto, kiedy siadał i podciągał nogawki spodni, kiedy nawet nic nie robił, tylko czekał, tak jak my wszyscy, na start. Po prostu siadł w fotelu, taki sobie blondyn o różowej cerze; przedstawił się natychmiast, jeszcze zanim zapięliśmy pasy. Nie dosłyszałem jego nazwiska, silniki huczały jeden po drugim, próbując rozruchu na pełnym gazie.

Byłem śmiertelnie zmęczony.

Ivy trajkotała w ciągu trzech godzin czekania na opóźnioną maszynę, choć wiedziała dobrze, że ja nie ożenię się z zasady.

Było mi przyjemnie, że jestem sam.

Wreszcie ruszyliśmy—

Jeszcze nigdy dotąd nie przeżywałem startu samolotu przy takiej zamieci śnieżnej. Ledwo nasz samolot oderwał się od białego lotniska, straciliśmy z oczu żółte światła naziemne, potem już znikły nawet światła Manhattanu, taka zawieja. Widziałem tylko zielone światełko na skrzydle, chybotąło się mocno, chwilami huśtało się; na parę sekund nawet to zielone światełko zniknęło we mgle, człowiek miał uczucie, że jest ślepcem.

Wolno palić.

Mój sąsiad pochodził z Düsseldorfu i wcale nie był taki młody, początek trzydziestki, w każdym razie młodszy niż ja; jechał, jak mi to zaraz oznajmił, do Gwatemali, w interesach, jeżeli go dobrze zrozumiałem.

Mieliśmy porywisty wiatr.

Mój sąsiad poczęstował mnie papierosem, ale ja poprzestałem na własnym, choć nie miałem ochoty palić; podziękowałem, raz jeszcze wziąłem gazetę; jeżeli o mnie chodziło, nie miałem najmniejszej chęci nawiązywania znajomości. Zapewne byłem niegrzeczny. Miałem za sobą ciężki tydzień, ani jednego dnia bez konferencji, chciałem mieć spokój, ludzie są męczący. Potem wyjąłem akta z teczki, żeby popracować; niestety, roznoszono właśnie gorący bulion i Niemiec (zauważył od razu, kiedy na jego słabą angielszczyznę odpowiedziałem po niemiecku, że jestem Szwajcarem) już się na dobre rozpedził. Mówił o pogodzie albo też o radarze, o którym miał słabe pojęcie; a potem przerzucił się, jak to jest we zwyczaju po drugiej wojnie, na zagadnienie Europejskiej Wspólnoty Narodów. Odpowiadałem mu półgębkiem. Kiedyśmy wypili bulion, wyjrzałem przez okno, choć nie było nic widać prócz zielonego światełka na mokrym skrzydle samolotu, od czasu do czasu deszcz iskier, jak zwykle, czerwone lśnienie pod maską silnika. Wznosiliśmy się wciąż w górę.

Potem zasnąłem.

Porywy wiatru osłabły.

Nie wiem, czemu on mi działał na nerwy, skądś znałem tę twarz, bardzo niemiecką twarz. Zastanawiałem się z zamkniętymi oczyma, ale na próżno. Starłem się zapomnieć o jego różowej twarzy, co mi się udało, i zasnąłem na jakich sześć godzin, taki byłem przepracowany – ale ledwo się obudziłem, znów mi zaczął działać na nerwy.

Jadł właśnie śniadanie.

Udałem, że jeszcze śpię.

Znajdowaliśmy się (dojrzałem to prawym okiem) gdzieś ponad Missisipi, lecieliśmy na dużej wysokości zupełnie spokojnie, śmigła błyszcząły w porannym słońcu, wyglądały jak szyby, widać je i widzi się poprzez nie, podobnie błyszcząły skrzydła, zeszytniałe w pustej przestrzeni, leżeliśmy nieruchomo w bezchmurnym niebie, lot jak setki innych poprzednio, silniki dobrze pracowały.

– Dzień dobry – powiedział.

Odpowiedziałem na jego pozdrowienie.

– Dobrze się spało? – zapytał.

Można było rozpoznać dopływy Missisipi mimo oparów w dole, na nich blask słońca, lśnienie jakby mosiądzu czy brązu; był jeszcze wczesny ranek. Znam tę trasę, zamknąłem oczy, żeby spać dalej.

Czytał tomik biblioteki „Rororo”.

Nie było celu zamykać oczu, byłem już rozbudzony, a mój sąsiad interesował mnie jednak, widziałem go, że tak powiem, z zamkniętymi oczami. Zamówiłem śniadanie... Prawdopodobnie po raz pierwszy był w Stanach, jednak sąd o nich miał już zupełnie gotowy, mówił to i owo (w sumie uważał, że Amerykanie są niekulturalni), musiał jednak przyznać na przykład, że większość Amerykanów ma przyjazny stosunek do Niemców.

Nie zaprzeczyłem.

Niemcy nie chcą nowych zbrojeń, ale Rosjanie zmuszają do tego Amerykę, tragedia, ja jako Szwajcar (Szwycer, jak mówił z lubością) nie mogę tego osądzić, bo nigdy nie byłem na Kaukazie, a on był na Kaukazie; on zna Rosjan i wie, że tylko bronią można ich nauczyć moresu. Powtórzył to kilka razy. Tylko z bronią w rękę! – twierdził. Nic innego nie wywiera na nich wrażenia.

Obrałem jabłko.

Podział na nadludzi i podludzi, jak to sobie wyobrażał ten poczciwy Hitler, to naturalnie nonsens; ale Azjaci pozostaną Azjatami—

Zjadłem jabłko.

Wyjąłem z teczki elektryczną maszynkę, aby się ogolić, a właściwie, aby bodaj kwadrans побыć samemu. Nie znoszę Niemców, choć Joachim, mój przyjaciel, też był Niemcem... W toalecie zastanawiałem się, czy nie można by się przesiąść gdzie indziej, nie miałem po prostu ochoty zapoznawać się bliżej z tym panem, a do Mexico-City, gdzie mój sąsiad miał wysiąść, były jeszcze ze cztery godziny. Zdecydowałem się usiąść gdzie indziej, były jeszcze wolne miejsca. Kiedy wróciłem do kabiny ogolony, czułem się świeży, pewniejszy siebie – nie znoszę być nie ogolony. „Pozwolił sobie” podnieść moje akta z podłogi, aby nikt po nich nie deptał, i podał mi je – wcielenie uprzejmości. Kładąc akta z powrotem do teczki, podziękowałem mu, nieco za gorąco, jak sądzę, gdyż wykorzystał natychmiast moje podziękowanie, aby zadać mi dalsze pytania.

Czy pracuję dla UNESCO?

Czułem żołądek – jak często w ostatnich czasach; nie bardzo, nie boleśnie, czułem tylko, że mam żołądek, głupie uczucie. Może dlatego byłem taki nieznośny. Usiadłem znów na swoim miejscu i opowiadałem, aby nie być nieznośny, o mojej działalności, o TECHNICZNEJ POMOCY DLA KRAJÓW GOSPODARCZO ZACOFANYCH; mogę o tym mówić myśląc o czymś całkowicie innym. Nie wiem, o czym myślałem. UNESCO najwyraźniej robiło na nim wrażenie, jak wszystko, co międzynarodowe, już nie traktował mnie jak „Szwycera”, przysłuchiwał się jak jakiemuś autorytetowi, niemal z czią, zainteresowany aż do uniżoności, co nie zmieniło faktu, że działał mi na nerwy.

Ucieszyła mnie przerwa w podróży.

W chwili kiedyśmy opuszczali maszynę i rozdzielali się przed urzędem celnym, wiedziałem już, o czym myślałem uprzednio: jego twarz (różowa i pulchna, zupełnie inna niż twarz Joachima) przypominała mi jednak Joachima—

Zapomniałem o tym znowu.

Było to w Houston, Texas.

Po odprawie celnej, po zwykłych kłopotach z powodu mojej kamery filmowej, która towarzyszyła mi już w podróżach po połowie świata, poszedłem do baru, żeby się czegoś napić, zauważyłem jednak, że mój düsseldorfczyk już tam siedzi i zarezerwował stółek barowy – zapewne dla mnie! – zszedłem więc prosto do toalety, gdzie nie mając nic innego do roboty umyłem ręce.

Postój: 20 minut.

Moja twarz w lustrze, podczas gdy długo myję ręce, a potem wycieram: twarz, biała jak wosk, miejscami szara i żółta, z fioletowymi żyłkami, szkaradna jak u trupa. Przypuszczałem, że to od neonowego światła, osuszyłem ręce, również złotofiołkowe, po czym głośnik, obsługujący wszystkie pomieszczenia, a więc i sutereny, oznajmił: YOUR ATTENTION, PLEASE, YOUR ATTENTION, PLEASE! Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Ręce mi się spociły, mimo że w toalecie jest po prostu zimno, na dworze upał. Wiem tylko tyle: kiedy przyszedłem do siebie, klęczała przy mnie gruba Murzynka, sprzątaczką, której przedtem nie zauważyłem, a teraz była tak blisko mnie, widziałem jej olbrzymią głowę z czarnymi wargami, jej różowe dziąsła, słyszałem grzmiący głośnik, kiedy jeszcze siedziałem na podłodze—

PLANE IS READY FOR DEPARTURE.

I po raz drugi:

PLANE IS READY FOR DEPARTURE.

Znam tę głośnikową gadaninę.

ALL PASSENGERS FOR MEXICO-GUATEMALA-PANAMA, po czym huk silników. KINDLY REQUESTED, huk silników, GATE NUMBER FIVE, THANK YOU.

Podniosłem się.

Murzynka klęczała nadal—

Przysięgałem sobie, że nigdy już nie zapalę, usiłowałem trzymać twarz pod kranem, co było niemożliwe, umywalnia przeszkadzała; były na mnie poty, poty i zawrót głowy.

YOUR ATTENTION, PLEASE—

Od razu poczułem się lepiej.

PASSENGER FABER, PASSENGER FABER!

To byłem ja.

PLEASE TO THE INFORMATION-DESK.

Słyszałem te słowa, zanurzyłem twarz w urnywalni, miałem nadzieję, że odleczę beze mnie, woda była niewiele chłodniejsza niż mój pot, nie mogłem pojąć, czemu Murzynka nagle zaśmiała się, od śmiechu pierś jej trzęsa się jak pudding, śmiała się jej olbrzymia gęba, kędzierzawe włosy, białe i czarne oczy, powiększona fotografia z Afryki, po czym znowu: PLANE IS READY FOR DEPARTURE. Wytarłem twarz ręcznikiem, Murzynka oczyściła mi spodnie. Przyczesalem się nawet, żeby zyskać trochę na czasie, głośnik podawał meldunek za meldunkiem, przyjazdy, odjazdy, potem znowu:

PASSENGER FABER, PASSENGER FABER!

Certowała się z przyjęciem pieniędzy; to dla niej przyjemność (pleasure), że żyję, że Pan Bóg wysłuchał jej modlitwy. Położyłem po prostu banknot, ale ona poszła za mną, aż na schody, dalej jako Murzynce nie wolno jej było wchodzić, i wetknęła mi banknot z powrotem do ręki.

W barze było pusto.

Opadłem na stołek, zapaliłem papierosa, przyglądałem się, jak barman wrzuca, jak zawsze, oliwkę do zamrożonej szklanki, po czym napełnia ją, zwykle chwyty: kciukiem przytrzymywał sitko nad srebrnym shakerem, żeby kawałek lodu nie chlupnął do szklanki, położyłem banknot, za oknem przerolowała Super-Constellation i wjechała na pas startowy, aby odlecieć. Beze mnie! Piłem swój martini-dry, kiedy głośnik znowu zaskrzypiał: YOUR ATTENTION, PLEASE! Przez chwilę nic nie było słyhać, na dworze warczały silniki startującej Super-Constellation, która przeleciała nad nami ze zwykłym hukiem – potem znowu:

PASSENGER FABER! PASSENGER FABER!

Nikt nie mógł wiedzieć, że to właśnie ja jestem, mówiłem więc sobie: długo nie mogą przecież czekać – wszedłem na pomost obserwacyjny, żeby zobaczyć naszą maszynę. Stała, jak się zdawało, gotowa do startu; cysterny z paliwem odjechały, ale śmigła były nieruchome. Odetchnąłem zobaczywszy stadko naszych pasażerów idące przez pole, aby wsiąść do maszyny, z moim düsseldorfczykiem na czele. Czekałem na rozruch śmigieł, głośnik darł się i klekotał aż tutaj:

PLEASE TO THE INFORMATION-DESK!

Ale teraz nie chodziło o mnie.

MISS SHERBON, MR AND MRS ROSENTHAL...

Czekałem i czekałem, cztery śmigła trwały bez ruchu, nie mogłem już znieść tego oczekiwania na moją osobę, więc udałem się znów do sutereny, gdzie ukryłem się za zamkniętymi drzwiami jednego z klozetów. I znowu zabrzmiało:

PASSENGER FABER, PASSENGER FABER!

Był to kobiecy głos, spościłem się znowu i musiałem usiąść, żeby mi się nie zrobiło słabo, z zewnątrz widać było moje nogi.

THIS IS OUR LAST CALL.

Dwukrotnie:

THIS IS OUR LAST CALL.

Nie wiem, dlaczego właściwie się schowałem. Wstydzilem się; to nie w moim stylu być ostatnim. Pozostałem w swoim ukryciu aż do chwili, kiedy stwierdziłem, że głośnik dał mi spokój co najmniej przez dziesięć minut. Po prostu nie miałem ochoty dalej lecieć. Czekałem za zamkniętymi drzwiami aż do chwili, kiedy rozległ się huk startującej maszyny – znam dźwięk tych Super-Constellation! – potem potarłem sobie twarz, aby nie zwracać uwagi swoją błądzącością, i opuściłem klozet jak gdyby nigdy nic. Pogwizdując przystanąłem w hallu i kupiłem jakąś gazetę, nie miałem pojęcia, co ja w tym Houston, Texas, będę robił. To dziwne, nagle obyło się beze mnie! Nasłuchiwałem za każdym razem, kiedy odzywał się głośnik – wreszcie, żeby coś ze sobą zrobić, poszedłem do Western Union nadać depeszę w sprawie moich bagaży, które leciały teraz beze mnie do Meksyku, potem depeszę do Caracas, że montaż opóźni się o 24 godziny, dalej depeszę do New Yorku; chowałem właśnie pióro kulkowe, kiedy nasza stewardessa, z listą pasażerów w ręku, złapała mnie za łokieć.

– There you are!

Odjęło mi mowę—

– We're late, Mister Faber, we're late!

Poszedłem za nią, z niepotrzebnymi depeszami ręką, tłumacząc się wykrętnie, co jej wcale nie interesowało, ku Super-Constellation; szedłem jak ktoś, kogo się prowadzi z więzienia do sądu – patrząc w ziemię lub na schodki, które, ledwie znalazłem się w kabinie, zostały odczepione i odciągnięte na bok.

– I'm sorry – powiedziałem – I'm sorry.

Pasażerowie, wszyscy już przytroczeni pasami, podnieśli głowy, bez słowa, a mój Düsseldorfczyk, o którym zapomniałem, ustąpił mi natychmiast miejsca przy oknie, bardzo zatroskany: co się stało? – Powiedziałem, że zegarek mi stanął, i nakręciłem zegarek.

Start jak zwykle—

To, co następnie opowiedział mi mój sąsiad, było interesujące – zresztą wydał mi się teraz, kiedy nie czułem już żołądka, nieco sympatyczniejszy – przyznał, że niemieckie cygara nie mają światowej klasy, bo warunkiem dobrego cygara jest dobry tytoń.

Rozłożył mapę. Plantacje, które jego firma chciała rozbudować, leżały, jak mi się wydało, na końcu świata, na terenie Gwatemali, z Flores osiągalne tylko konno, podczas kiedy z Palenque (terytorium Meksyku) można łatwo dojechać jeepem; nawet nashem, twierdził, przedostawano się przez tę dżunglę.

On sam leciał tam po raz pierwszy.

Ludność: Indianie.

To interesowało mnie, gdyż zajmuję się właśnie sprawami zagospodarowania terenów zacofanych gospodarczo; byliśmy tego samego zdania, że należy przeprowadzić drogi, może nawet urządzić jakieś małe lotnisko, wszystko jest tylko problemem komunikacji, połączenie statkiem z Puerto Barrios – śmiałe przedsięwzięcie, tak mi się wydawało, jednakże nie pozbawione sensu, może to rzeczywiście przyszłość dla niemieckiego cygara.

Złożył mapę—

Życzyłem mu powodzenia.

Na jego mapie (1:500000) i tak nic nie można było rozpoznać, ziemia niczyja, biała, dwie niebieskie linie między zielonym oznaczeniem granicy, rzeki – jedyne nazwy (czerwone, czytelne tylko przez szkło powiększające) oznaczały ruiny Majów—

Życzyłem mu powodzenia.

Brat jego, który już od wielu miesięcy tam mieszka, źle znosi klimat, mogłem to sobie wyobrazić: płaszczyna, strefa podzwrotnikowa, wilgoć w porze deszczowej, słońce prażące pionowo.

Na tym skończyła się nasza rozmowa.

Pałitem spoglądając w okno: pod nami niebieska Zatoka Meksykańska, drobne obłoczki i ich fioletowe cienie na zielonkawym morzu, gra kolorów jak zwykle, filmowałem to już nieraz – zamknąłem oczy, żeby odrobić jeszcze trochę snu skradzionego mi przez Ivy; nasz lot był całkowicie spokojny, mój sąsiad również.

Czytał swoją powieść.

Powieści nie mają dla mnie znaczenia – podobnie jak sny, śniła mi się Ivy, zdaje mi się, w każdym razie dręczyło mnie to, działo się w domu gry w Las Vegas (gdzie naprawdę nigdy nie byłem, zgiełk, przy tym głośniki, wywołujące stale moje nazwisko, chaos czerwonych, żółtych, niebieskich automatów, w których można wygrać pieniądze, loteria, czekałem wśród samych nagusów na rozwód (w rzeczywistości nie byłem nigdy żonaty), zjawił się też skądsiś profesor O., mój ulubiony profesor Politechniki Zuryskiej, ale ogromnie sentymentalny, ciągle płakał, choć jest matematykiem, właściwie profesorem elektrodynamiki, to było przykre, ale najabsurdalniejsze ze wszystkiego: byłem żonaty z Düsseldorfczykiem!... Chciałem protestować, ale nie mogłem otworzyć ust, musiałem je zasłaniać ręką, bo mi właśnie, czułem to, wszystkie zęby wypadły, trzymałem je w ustach jak kamyki—

Ledwo się obudziłem, natychmiast wiedziałem:

Pod nami otwarte morze—

Lewy silnik uszkodzony; śmigło jak nieruchomy krzyż w bezchmurnym niebie – to wszystko.

Pod nami, jak wspomniałem, Zatoka Meksykańska.

Nasza stewardessa, dwudziestoletnia dziewczyna, dziecko jeszcze, przynajmniej z wyglądu, schwyciła mnie za lewe ramię, aby mnie zbudzić, ale ja wiedziałem wszystko, zanim cokolwiek wyjaśniła, bo podała mi jednocześnie zieloną kamizelkę ratunkową; obok mój sąsiad, zapinający podobną kamizelkę, pełen humoru, jak przy próbnym alarmach—

Lecieliśmy na wysokości co najmniej dwóch tysięcy metrów.

Zęby mi, naturalnie, nie wypadły, nawet ten na sztyfcie, górna czwórka z prawej strony, poczułem ulgę, a nawet radość.

W korytarzu, na przedzie, kapitan.

THERE IS NO DANGER AT ALL—

Wszystko to tylko środki ostrożności, nasza maszyna może lecieć nawet na dwóch silnikach, jesteśmy o 8,5 mili od meksykańskiego wybrzeża, kurs na Tampico, uprasza się uprzejmie wszystkich pasażerów o zachowanie spokoju i o niepalenie chwilowo.

THANK YOU.

Wszyscy siedzieli jak w kościele, wszyscy w zielonych kamizelkach, sprawdzałem językiem, czy rzeczywiście zęby mi się nie chwieją, reszta mnie nie obchodziła.

Godzina: 10.25.

Gdyby nie nasze spóźnienie z powodu śnieżycy w północnych stanach, bylibyśmy już w Mexico-City, powiedziałem do mojego düsseldorfczyka, ot tak, żeby coś mówić. Nienawidzę celebrowania.

Nie odpowiedział.

Zapytałem go o dokładny czas—

Nie odpowiedział.

Silniki, te trzy pozostałe, pracowały jak należy, nic nie wskazywało na niebezpieczeństwo, widziałem, że lecimy wciąż na tej samej wysokości, potem wybrzeże we mgłach, coś w rodzaju laguny, dalej bagniska. Ale Tampica jeszcze ani śladu. Znałem już dawniej Tampico, zatrąłem się tam rybą, nie zapomnę tego do końca życia.

– Tampico – powiedziałem – to najpaskudniejsze miasto na świecie, port załadunku ropy, zobaczy pan, albo śmierdzi ropą, albo rybą.

Manipulował przy swojej kamizelce ratunkowej.

– Radzę panu poważnie – powiedziałem – nie jeść w żadnym razie ryb.

Usiłował się uśmiechnąć.

– Tubylcy są oczywiście uodpornieni – powiedziałem – ale my—

Skinął głową, nie słuchając. Wygłosiłem całe przemówienie o amebach i o hotelach w Tampico. Kiedy spostrzegłem, że mój düsseldorfczyk wcale nie słucha, chwyciłem go za rękaw, choć nie mam tego zwyczaju, przeciwnie, nienawidzę tej manii łapania ludzi za rękaw. Ale inaczej po prostu by nie słuchał. Opowiedziałem mu całą historię o moim nieprzyjemnym zatruciu rybą w Tampico, w 1951 roku czyli przed sześciu laty. – Tymczasem, jak się okazało, lecieliśmy nie wzdłuż wybrzeża, tylko nagle w głąb lądu. Więc jednak nie Tampico! Odjęło mi mowę, chciałem się poinformować u stewardessy.

Znowu wolno palić!

Może lotnisko w Tampico było za małe dla naszej Super-Constellation (wówczas była to DC-4) albo otrzymali polecenie, aby mimo awarii silnika lecieć do Mexico-City, czego ja, co prawda, wobec Sierra Madre Oriental, łańcucha górskiego, który był jeszcze przed nami, nie mogłem zrozumieć. Nasza stewardessa – złapałem ją za łokieć, co, jak już powiedziałem, nie jest w moim stylu – nie miała czasu na udzielanie wyjaśnień, wezwano ją do kapitana.

Rzeczywiście zaczęliśmy się wznosić.

Usiłowałem myśleć o Ivy—

Wznosiliśmy się.

Przed nami wciąż jeszcze bagniska, płytkie i mętne, między nimi języki ziemi, piasku, bagniska częściowo zielone, a potem znowu czerwonawe jak pomadka do ust, czego nie mogłem sobie wyjaśnić, właściwie nie bagniska, tylko laguny, tam gdzie odbijało się słońce, błyszcząły jak lameta czy jak staniol, w każdym razie metalicznie, potem niebiesko i wodniście (jak oczy Ivy), z żółtymi mieliznami; plamy, jakby fioletowego atramentu, ciemne, przypuszczalnie jakaś roślinność podwodna, raz ujście jakiejś rzeki, brunatne jak amerykańska kawa z mlekiem, odrażające, całymi milami nic tylko laguny. Düsseldorfczyk też miał uczucie, że się wznosimy.

Pasażerowie znów zaczęli rozmawiać.

Nie było tutaj przyzwoitej mapy pod ręką, jaka zawsze jest w samolotach SWISSAIR, najwięcej mnie denerwowała ta idiotyczna informacja: kurs na Tampico, podczas gdy maszyna leciała w głąb ładu – wznosząc się w górę, jak mówiłem, na trzech silnikach; przyglądałem się trzem świetlnym kręgom śmigieł, które czasem jak gdyby zatrzymywały się, co polega na złudzeniu optycznym, czarne migotanie, jak zwykle. Nie było powodu do niepokoju, tylko zabawny widok: nieruchomy krzyż śmigła w locie.

Żał mi było naszej stewardessy.

Szła od pasażera do pasażera uśmiechając się jak reklama, pytała każdego, czy dobrze się czuje w swojej kamizelce ratunkowej; lecz gdy ktoś zadowcipkował, uśmiech jej gasł. – Czy w górach można pływać? – zapytałem—

Rozkaz to rozkaz.

Przytrzymałem za ramię, a raczej za przegub dłoni, tę młodą osobę, która mogłaby być moją córką; grożąc jej palcem powiedziałem (oczywiście żartem!), że to ona zmusiła mnie do tej podróży, tak jest, nikt inny, tylko ona. Stewardessa odpowiedziała:

– There is no danger, Sir, no danger at all. We're going to land in Mexico-City in about one hour and twenty minutes.

Powtarzała to każdemu.

Puściłem ją, aby mogła nadal uśmiechać się i pełnić swoją powinność, sprawdzając, czy wszyscy są dobrze przytroczeni. Wkrótce potem otrzymała rozkaz przyniesienia lunchu, choć nie była to jeszcze pora obiadowa... Na szczęście i nad lądem mieliśmy piękną pogodę, prawie bezchmurną, tylko porywisty wiatr, jak zwykle w pobliżu gór, normalna termiczność, tak że nasza maszyna zapadła się, kołysała, zanim chwyciła równowagę i wzniosła się w górę, aby znowu wpaść w dziurę powietrzną z bujającymi się skrzydłami; w ciągu wielu minut lecieliśmy całkiem spokojnie, potem znowu wstrząs, tak że skrzydła zahuściły się, i znowu chybotanie, póki maszyna nie schwyciła równowagi i nie wzniosła się w górę, jakby wszystko było jak zawsze w porządku, po czym znów opadła – jak zwykle przy silnym wietrze.

W dali niebieskie góry.

Sierra Madre Oriental.

Pod nami czerwona pustynia.

Wkrótce potem – dostaliśmy właśnie lunch, ja i mój düsseldorfczyk; to, co zawsze: sok owocowy, śnieżnobiałą kanapkę z zieloną sałatą – nagle wysiadł drugi silnik, zrobiła się, oczywiście, panika, nieunikniona mimo lunchu na kolanach. Ktoś krzyknął.

Od tej chwili wszystko poszło raptownie.

Widocznie obawiano się awarii pozostałych silników, tak że zdecydowano się na przymusowe lądowanie. W każdym razie opadaliśmy, głośnik skrzeczał i skrzypiał, tak że nie można było zrozumieć ani słowa z wydawanych zaleceń.

Pierwsza moja troska: co zrobić z lunchem?

Opadaliśmy, choć dwa silniki, jak powiedziano, powinny były wystarczyć; nieruchoma para kół w powietrzu, jak zwykle przed lądowaniem, a ja postawiłem swój lunch po prostu na podłodze w przejściu; znajdowaliśmy się wówczas na wysokości co najmniej pięciuset metrów.

Teraz już nie było wiatru—

NO SMOKING.

Zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie nam grozi przy przymusowym lądowaniu, maszyna mogła się roztrzaskać albo stanąć w płomieniach – sam się dziwiłem, że jestem taki spokojny.

Nie myślałem o nikim.

Wszystko odbywało się bardzo prędko, jak już powiedziałem, pod nami piasek, płaska dolina między wzgórzami, które wydawały się skaliste, zupełnie gołe, pustynia—

Właściwie odczuwało się tylko napięcie. Zniżaliśmy się, jak gdyby pod nami był pas startowy, przycisnąłem twarz do okna, pas startowy widzi się zawsze dopiero w ostatniej chwili, kiedy klapy hamulcowe już są na zewnątrz. Dziwiłem się, że klapy się nie ukazują. Nasza maszyna najwyraźniej unikała skrętów, żeby nie opaść, lecieliśmy nad dogodną do lądowania równiną, nasz cień płynął coraz to bliżej, pędził szybciej niż my, przynajmniej tak się zdawało, szary strzęp powiewający na czerwonym piasku.

Potem skały—

Teraz znów się wznosimy.

Potem, na szczęście, znowu piasek, ale piasek porośnięty agawami, oba silniki na pełnym gazie, tak lecieliśmy kilka minut na wysokości domu, podwozie znowu zostało wciągnięte. Czyli lądowanie na brzuchu! Lecieliśmy, jak się leci na dużych wysokościach, całkiem spokojnie i ze schowanym podwoziem – ale na wysokości domów, jak się rzekło, i wiedziałem, że nie zobaczę żadnego pasa startowego, a mimo to przycisnąłem twarz do okna.

Nagle nasze podwozie znów wysunęło się, choć pasa startowego nie było widać, wraz z nim kłapy hamulcowe, dało się to odczuć jak cios w żołądek, hamowanie, zapadanie się jak w windzie; w ostatniej chwili straciłem panowanie nad nerwami, tak że przymusowe lądowanie – dojrzałem tylko przemykające agawy po obu stronach, potem obiema rękami zakryłem twarz! – było jak ślepy cios, runięcie w dół, utrata świadomości.

Potem cisza.

Mieliśmy cholerne szczęście, mogę powiedzieć, nikt nawet nie otworzył zapasowych drzwi, ja też nie, nikt się nie poruszył, wisieliśmy na naszych pasach.

– Go on – powiedział kapitan – go on!

Nikt się nie poruszył.

– Go on!

Na szczęście nie wybuchł ogień; trzeba było ludziom powiedzieć, że mogą odpiąć pasy, drzwi były otwarte, ale naturalnie nikt z zewnątrz nie podsunął schodków na kółkach, jak to zwykle bywa, tylko żar jak z otwartego pieca, rozpalone powietrze.

Nie byłem ranny.

Nareszcie drabinka sznurowa!

Pasażerowie zebrali się, bez żadnego rozkazu, w cieniu skrzydła, wszyscy milczący, jak gdyby mówienie na pustyni było surowo wzbronione. Nasza Super-Constellation stała pochylona nieco z przodu, nic poważnego, tylko przód podwozia miała trochę wgnieciony, bo wbił się w piasek, ale nie połamany. Cztery krzyże śmigieł błyszcząły w oślepiająco niebieskim niebie, podobnie trzy tylne stery. Nikt się nie ruszał, jak wspominałem, wyraźnie wszyscy czekali, aż kapitan coś powie.

– Well – powiedział – there we are!

I roześmiał się.

Dookoła nic prócz agaw, piasku, czerwonych wzgórz w oddali, dalej niż się poprzednio zdawało, ale przede wszystkim piasek i jeszcze raz piasek, żółtawy, ponad nim wibrujące od upału powietrze, powietrze jak płynne szkło—

Czas: 11.05.

Nakręciłem zegarek—

Obsługa samolotu przyniosła wełniane koce, aby ochronić opony przed słońcem, podczas gdy my staliśmy w krąg w naszych zielonych kamizelkach ratunkowych, zupełnie beczynnienie. Nie mam pojęcia, dlaczego nikt nie zdjął kamizelki ratunkowej.

Nie wierzę w zrządzenia losu ani w przeznaczenie, jako technik przyzwyczajony jestem do liczenia się z formułami prawdopodobieństwa. Jakie tam zrządzenie losu! Przyznaję: bez przymusowego lądowania w Tamaulipas (2. IV) wszystko ułożyłoby się inaczej; nie poznałbym młodego Henckego, może nigdy już nie usłyszałbym o Hannie i dziś jeszcze nie wiedziałbym, że jestem ojcem. Po prostu nie do pomyślenia, jak inaczej wyglądałoby wszystko, gdyby nie to przymusowe lądowanie w Tamaulipas. Może Sabeth żyłaby jeszcze. Nie przeczę: to było coś więcej niż przypadek, że wszystko stało się tak właśnie, to był cały łańcuch przypadków. Ale jakie tam zrządzenie losu! Żeby uznać nieprawdopodobieństwo za fakt istniejący, niepotrzebna mi mistyka: matematyka mi wystarcza.

Wyrażając się matematycznie:

Prawdopodobieństwo (że przy sześciu miliardach rzutów kostką sześcienną wyrzucimy około miliarda jedynek) i nieprawdopodobieństwo (że przy sześciu rzutach tą samą kostką za każdym razem wyrzucimy jedynkę) nie różnią się od siebie swoją istotą, lecz częstością występowania, przy czym pojawianie się zjawiska częściej występującego jest z góry wiarygodniejsze. Gdy jednak zdarza się coś nieprawdopodobnego, nie jest to fakt nadprzyrodzony, żaden cud czy coś w tym rodzaju, jak to chętnie twierdzą laicy. Kiedy mówimy o prawdopodobieństwie, nieprawdopodobieństwo zawsze jest w nim już zawarte jako krańcowy przypadek możliwości i jeżeli owo nieprawdopodobieństwo się zdarzy, nie mamy podstaw do zdumienia, do wzburzenia, do mistyfikacji.

Patrz: Ernst Mally – PRAWDOPODOBIENSTWO I PRAWO, dalej:
Hans Reichenbach NAUKA O PRAWDOPODOBIENSTWIE, dalej:
Whitehead i Russel PRINCIPIA MATHEMATICA i Misses
PRAWDOPODOBIENSTWO, STATYSTYKA I PRAWDA.

Nasz pobyt na pustyni Tamaulipas, Meksyk, trwał cztery dni i trzy noce, w sumie 85 godzin, o których niewiele da się powiedzieć. Nie było to bynajmniej wstrząsającym przeżyciem (czego każdy najwyraźniej oczekuje, kiedy zaczynam o tym mówić). O wiele za gorąco! Oczywiście pomyślałem natychmiast o filmie Disneya, który był tak wstrząsający, i wyjąłem natychmiast kamerę filmową; ale sensacji ani śladu, od czasu do czasu jaszczurka, która mnie przestraszyła, jakiś rodzaj pustynnego pająka, to wszystko.

Nie pozostało nam nic innego jak czekać.

Pierwsza rzecz, jaką zrobiłem na pustyni Tamaulipas: stanąłem przed düsseldorfczykiem, który interesował się moją kamerą, i wyjaśniłem mu dane optyczne.

Inni czytali.

Na szczęście, jak się wkrótce okazało, grał on też w szachy, a że ja podróżuję zawsze z kieszonkowymi szachami, byliśmy uratowani; on skombinował natychmiast dwie skrzynki po coca-coli, usiedliśmy na uboczu, aby nie słuchać ogólnej rozmowy, w cieniu steru – bez ubrania, tylko w trzewikach (z powodu rozpalonego piasku) i w slipach.

W mig przeleciało południe.

Na krótko przed zmierzchem ukazał się wojskowy samolot, długo krążył nad nami, ale nic nie zrzucił i znikł (co sfilmowałem) w kierunku północnym, na Monterrey.

Kolacja: kanapka z serem i pół banana.

Cenię szachy, gdyż w ciągu wielu godzin nie trzeba rozmawiać. Nie trzeba nawet słuchać, jeśli partner mówi. Patrzy się na szachownicę i wcale nie jest niegrzecznie, kiedy nie okazuje się ochoty zacieśnienia znajomości, tylko całą uwagę poświęca się grze—

– Pański ruch – powiedział.

Odkrycie, że on nie tylko zna mego przyjaciela Joachima, o którym od dwudziestu co najmniej lat było głucho, ale nawet jest jego bratem, nastąpiło przypadkowo... Kiedy księżyc wzeszedł pomiędzy czarnymi agawami na horyzoncie (co natychmiast sfilmowałem), można było jeszcze grać w szachy, tak było jasno, ale nagle zrobiło się zimno; poleżyliśmy w piaski, aby wypalić papierosa, gdzie wyznałem, że pejzaże w ogóle nie działają na mnie, nie mówiąc już o pejzażu pustynnym.

– Pan nie mówi tego poważnie! – powiedział.

On uważał, że to jest przeżycie.

– Chodźmy spać! – powiedziałem – hotel Super-Constellation, holiday in desert with all accomodations!

Uważałem, że jest zimno.

Często zapytywałem sam siebie, co właściwie ludzie mają na myśli, kiedy mówią o przeżyciu. Jestem technikiem, przywykłem widzieć rzeczy takimi, jakie są. Widzę bardzo dokładnie to wszystko, o czym oni mówią; nie jestem ślepy. Widzę księżyc nad pustynią Tamaulipas – wyraźniej niż kiedykolwiek, być może, ale widzę go jako dającą się obliczyć masę okrążającą naszą planetę, jako przedmiot grawitacji, owszem, interesujące, ale dlaczego zaraz przeżycie? Widzę zębate skały, czarne w świetle księżyca; być może, że wyglądają jak zębate grzbiety przedpotopowych zwierząt, ale wiem, że to są urwiska, skały prawdopodobnie wulkanicznego pochodzenia, to by trzeba było z bliska sprawdzić i ustalić. Dlaczego miałbym się bać? Przedpotopowe zwierzęta już nie istnieją. Dlaczego miałbym je sobie wyobrażać? Nie widzę żadnych skamieniałych aniołów, bardzo mi przykro, ani demonów. Widzę to, co widzę: zwykłe formy erozji, a także mój własny długi cień na piasku, ale nie upiory. Po co robić z siebie babę. Nie widzę też wcale potopu, tylko piasek w świetle księżyca, sfalowany przez wiatr jak woda, co mnie zresztą nie dziwi; nie widzę w tym nic fantastycznego, tylko rzecz dającą się wytłumaczyć. Nie wiem, jak wyglądają potępione dusze; być może, jak czarne agawy na pustyni wśród nocy. Ale ja widzę tylko agawy; roślinę, która kwitnie tylko jeden raz, potem obumiera. Dalej wiem jeszcze, że (choć w tej chwili mogłoby tak wyglądać) nie jestem ani pierwszym, ani ostatnim człowiekiem na ziemi; zresztą samo wyobrażenie, że jestem ostatnim człowiekiem na ziemi, nie może mną wstrząsnąć, bo tak nie jest. Po co histeryzować? Góry są górami, nawet jeżeli w pewnym oświetleniu wyglądają, być może, jak coś innego; ale cóż, to jest jednak Sierra Madre Oriental, a my nie znajdujemy się w królestwie umarłych, tylko na pustyni Tamaulipas, w Meksyku, w odległości około sześćdziesięciu mil od najbliższej szosy,

co jest nieprzyjemne, ale dlaczego zaraz przeżycie! Samolot jest dla mnie samolotem, nie widzę w nim wcale ptaka wymarłego gatunku, tylko Super-Constellation z defektem silnika, nic więcej, no i niech sobie księżyc na niego świeci, ile chce. Dlaczego mam przeżywać coś, co nie istnieje? Nie mogę też zgodzić się na coś takiego, jak słyszenie wieczności; nie słyszę nic prócz skrzypienia piasku przy każdym kroku. Trzęsę się, ale wiem, że za siedem czy osiem godzin znów zaświeci słońce. Koniec świata – dlaczego? Nie umiem sobie wyobrazać jakichś nonsensów tylko po to, żeby coś przeżywać. Widzę horyzont piaszczystej pustyni, białawy w zielonej nocy, mniej więcej o dwadzieścia mil stąd, i nie rozumiem, dlaczego tam, w kierunku na Tampico, miałyby się zaczynać zaświaty. Znam Tampico. Nie chcę doznawać strachu za sprawą samej tylko fantazji, czy też stać się tylko ze strachu fantastą, po prostu mistykiem.

– Niechże pan idzie! – powiedziałem.

Herbert stał i wciąż jeszcze przeżywał.

– Ale, ale – powiedziałem – czy nie jest pan czasem spokrewniony z jakimś Joachimem Hencke, który niegdyś studiował w Zurychu?

Nagle mi to przyszło do głowy, kiedyśmy stali z rękami w kieszeniach spodni, z podniesionymi kołnierzami marynarek; mieliśmy właśnie wejść do kabiny.

– Joachim? – powiedział – to mój brat.

– Niemożliwe! – odpowiedziałem—

– Ależ tak – odparł – naturalnie, opowiadałem panu przecież, że jadę do Gwatemali, żeby odwiedzić brata.

Roześmieliśmy się.

– Jaki świat jest mały!

Noc spędziliśmy w kabinie, dygocząc w płaszcach i pod kocami; załoga gotowała herbatę, dopóki starczyło wody.

– Jak mu się powodzi? – zapytałem. Od dwudziestu lat już o nim nie słyszałem.

– Dziękuję – powiedział – dziękuję.

– Niegdyś – wyjaśniłem – byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni—

Dowiedziałem się rzeczy całkiem zwykłych: małżeństwo, dziecko (czego najwidoczniej nie dosłyszałem, bo nie dowiadywałbym się o to później), potem wojna, obóz jeńców, powrót do Düsseldorfu i tak dalej, zdziwiłem się, jak czas leci, jak się człowiek starzeje.

– Martwimy się o niego – powiedział.

– Dlaczego?

– On jest tam jedynym białym – odparł – od dwóch miesięcy nie mamy żadnych wiadomości—

Opowiadał.

Większość pasażerów już spała, trzeba było szeptać, duże światło w kabinie dawno zgaszono, żeby oszczędzić baterii, proszono też, żeby wygasić małe lampki nad fotelami; było ciemno, tylko na dworze jasność piasku, skrzydła samolotu w świetle księżycy, błyszczące, zimne.

– Dlaczego miałby być bunt? – zapytałem.

Uspokajałem go.

– Dlaczego bunt? – mówiłem – może jego listy po prostu zaginęły—

Ktoś poprosił, abyśmy wreszcie zamilkli.

Czterdziestu dwóch pasażerów w Super-Constellation, która nie leci, lecz stoi wśród pustyni, samolot z silnikami omotanymi w koce (żeby je ochronić przed piaskiem), koce na każdej oponie, pasażerowie, tak jak podczas lotu, śpiący w fotelach, z zadartymi głowami i przeważnie z otwartymi ustami, a poza tym śmiertelna cisza, na zewnątrz cztery błyszczące krzyże śmigieł, biaława poświata księżycy na skrzydłach, wszystko nieruchome – to był zabawny widok.

Ktoś mówił przez sen—

Kiedy obudziwszy się rano wyjrzałem przez okienko i zobaczyłem piasek, bliskość piasku, przeraziłem się na sekundę, zupełnie niepotrzebnie.

Herbert znów czytał „Rororo”.

Wyjąłem kalendarzyk:

3. IV. Montaż w Caracas!

Na śniadanie dano nam sok, do tego po dwa biszkopty i na dodatek zapewnienie, że żywność w drodze, napoje również, nie ma powodu do niepokoju – lepiej by zrobili nic nie mówiąc; bo tak czekaliśmy oczywiście cały dzień na warkot silników.

Znowu obłądny upał!

W kabinie było jeszcze goręcej—

Słyszało się wiatr, od czasu do czasu świst turboskoków, których zresztą nie było widać, szelest jaszczurki, przede wszystkim jednak nieustanny wiatr, który nie podrywał piasku, jak mówiłem, tylko go marszczył, tak że zawiewał ciągle nasze ślady; wyglądało ciągle tak, jak gdyby nie było tu nigdy człowieka ani tym bardziej czterdziestu dwóch pasażerów i pięciu ludzi załogi.

Chciałem się ogolić—

Nie było co filmować.

Źle się czuję, kiedy jestem nie ogolony: nie gołę się dla ludzi, tylko dla samego siebie. Mam takie uczucie, jakbym był czymś w rodzaju rośliny, kiedy jestem nie ogolony, i mimo woli wciąż dotykam podbródka. Wziąłem moją elektryczną maszynkę do golenia i próbowałem różnych możliwości, a raczej niemożliwości, bo bez prądu taki aparat jest do niczego, wiem o tym dobrze – to mnie właśnie denerwowało: że w pustyni nie ma prądu ani telefonu, ani wtyczki, nic.

Raz, w porze obiadowej, usłyszeliśmy warkot silników.

Wszyscy, prócz Herberta i mnie, stali w prażącym słońcu, żeby wypatrywać samolotów w fiołkowym niebie nad żółtawym piaskiem, wśród szarych ostów i czerwonych skał; ale to było tylko cieniutkie brzęczenie, zwyczajny DC-7, połykający na dużej wysokości, przez odbicie światła biały jak śnieg; kurs na Mexico-City, gdzieśmy wczoraj mieli wylądować o tej porze.

Nastrój był podlejszy niż kiedykolwiek.

My, na szczęście, mieliśmy nasze szachy.

Wielu pasażerów poszło za naszym przykładem, poprzestając na obuwiu i kalesonach; paniom było trudniej, niektóre siedziały z podwiniętymi spódnicami i w biustonoszach, niebieskich, białych albo różowych, z bluzkami owiniętymi dookoła głów jak turbany.

Wiele osób narzekało na ból głowy.

Ktoś wymiotował—

My, Herbert i ja, odeszliśmy znowu na bok, w cień pod tylnym sterem, który, podobnie jak skrzydła, oślepił odbijając nasłoneczniony piasek, tak że nawet w cieniu siedziało się jak pod reflektorem, i mówiliśmy mało, jak zwykle przy szachach. Raz tylko zapytałem:

– To Joachim nie jest teraz żonaty?

– Nie – odpowiedział.

- Rozwiedziony?
- Tak – powiedział.
- Niegdyś dużo graliśmy w szachy.
- Aha – powiedział.

Jego małomówność drażniła mnie.

- Z kim on się ożenił?

Pytałem dla zabicia czasu, denerwowało mnie, że nie wolno było palić, trzymałem w ustach nie zapalonego papierosa, bo Herbert się tak długo namyślał, choć przecież musiał już zdać sobie sprawę, że sytuacja jego jest bez wyjścia. Po wzięciu konia miałem zdecydowaną przewagę, gdy wreszcie po długim milczeniu i również mimochodem jak ja, wymienił nazwisko Hanny.

- Z Hanną Landsberg, z Monachium, pół-Żydówką.

Nic nie odpowiedziałem.

- Pański ruch! – powiedział.

Nie dałem nic po sobie poznać, tak mi się zdaje. Przez nieuwagę zapaliłem papierosa, co było najsurowiej wzbronione, i natychmiast go zgasiłem. Zachowywałem się tak, jakbym rozważał moje posunięcia, i traciłem figurę po figurze—

- Co się stało? – śmiał się. – Co się z panem dzieje?

Nie rozegraliśmy partii do końca, poddałem się i przekręciłem szachownicę, aby ustawić figury na nowo. Nie odważyłem się nawet zapytać, czy Hanna jeszcze żyje. W ciągu wielu godzin graliśmy bez słowa, co pewien czas byliśmy zmuszeni przesuwając naszą skrzynkę po coca-coli, aby pozostawać w cieniu, to znaczy, zmuszeni byliśmy ciągle siedzieć na piasku nagrzanym do tej chwili przez słońce. Pociliśmy się jak w łaźni, pochyleni bez słowa nad moją skórzaną kieszonkową szachownicą, która od padających na nią kropli naszego potu niestety zmieniała kolor.

Do picia nie było już nic.

Nie wiem, dlaczego nie zapytałem, czy Hanna jeszcze żyje, może ze strachu, żeby mi nie powiedział, że Hanna dostała się do obozu w Terezynie.

Obliczałem, ile ona może mieć teraz lat.

Nie mogłem jej sobie wyobrazić.

Pod wieczór, na krótko przed zmierzchem, nadleciał wreszcie obiecany samolot, sportowa maszyna; długo krążył, zanim zdecydował się zrzucić na spadochronie trzy worki i dwie skrzynki, które trzeba było przynieść z odległości jakichś trzystu metrów – byliśmy uratowani: CARTA BLANCA, CERYEZA MEXICANA, dobre piwo, co musiał przyznać nawet Herbert, Niemiec, kiedyśmy stali z puszkami tego piwa na pustyni, całe towarzystwo w biustonoszach i majtkach, a przy tym znów zachód słońca, z którego zrobiłem kolorowy film.

Śniła mi się Hanna...

Hanna jako pielęgniarzka na koniu!

Trzeciego dnia wreszcie pierwszy helikopter, żeby zabrać przynajmniej argentyńską mamę z dwojgiem dzieci, dzięki Bogu, i jednocześnie pocztę; godzinę czekał na listy.

Herbert napisał natychmiast do Düsseldorfu.

Wszyscy siedzieli i pisali.

Trzeba było koniecznie coś pisać, choćby dlatego, żeby ci mili ludkowie nie pytali, czy nie mam żony, matki, dzieci – przyniosłem moją Hermes-Baby (jeszcze dziś jest pełna piasku) i założyłem arkusz papieru, arkusz z przebitką, ponieważ sądziłem, że napiszę do Williamsa, wystukałem datę i przekręciłem wałek – miejsce na nagłówek:

„My Dear!”.

Napisałem więc do Ivy. Już od dawna czułem potrzebę skończenia wreszcie z tym wszystkim. Raz wreszcie miałem czas i spokój, spokój całej pustyni.

„My Dear—

Szybko mi się napisało, że utknąłem na pustyni, o sześćdziesiąt mil od jakiejkolwiek komunikacji. Że jest gorąco, że piękna pogoda, że nie odniosłem żadnych ran i tak dalej, do tego kilka szczegółów w celu uplastycznienia obrazu: skrzynka po coca-coli, kalesonki, helikopter, znajomość z szachistą, wszystko to nie zapełniło listu. Co dalej? Niebieskawe góry w oddali. Co dalej? Wczoraj piwo. Co dalej? Nie mogłem jej nawet prosić o dostarczenie filmów i wiedziałem, że Ivy, jak każda kobieta, przede wszystkim chciałaby wiedzieć, co czuję, ewentualnie myślę, jeżeli już nic nie czuję, a ja to tylko wiedziałem na pewno: nie ożeniłem się z Hanną, którą kochałem, po cóż miałbym żenić się z Ivy? – ale sformułować to tak, żeby nie zranić, było diabelnie ciężko, bo przecież ona nie wiedziała nic o Hannie i była dobrym kumplem, ale jedną z tych Amerykanek, co to wyobrażają sobie, że muszą poślubić każdego mężczyznę, z którym kładą się do łóżka. Zresztą Ivy była przecież zamężna, nie mam pojęcia po raz który, i jej mąż, urzędnik z Waszyngtonu, wcale nie miał zamiaru się rozchodzić, bo kochał Ivy. Nie wiem, czy się domyślał, czemu Ivy regularnie lata do New Yorku. Mówiła, że jeździ do psychiatry, i robiła to zresztą. W każdym razie nie było o tym mowy i nie pojmowałem, dlaczego Ivy, zupełnie poza tym nowoczesna w swoich poglądach, chce z tego zrobić małżeństwo. I tak ostatnimi czasy mieliśmy ciągle awantury, awantury z byle powodu. Awantura z powodu: studebacker czy nash! Wystarczyło, że o tym pomyślałem – i do razu maszyna zaczęła stukać, jak gdyby sama pisała, aż musiałem spojrzeć na zegarek, żeby skończyć list na czas, zanim helikopter wystartuje.

Jego silnik był już w ruchu—

Nie ja, tylko Ivy chciała studebackera; przede wszystkim jeśli chodzi o kolor (pomidorowy wedle niej, malinowy według mego zdania), zdecydował jej smak, nie mój, bo techniczna strona interesowała ją bardzo mało. Ivy była modelką, dobierała suknie do koloru wozu, zdaje mi się, kolor wozu do koloru pomadki czy też odwrotnie, nie mam pojęcia. Znałem tylko jej wieczny wyrzut: że w ogóle nie mam smaku i że się z nią nie żenię. Poza tym była, jak powiedziałem, dobrym kumplem. Ale że mogłem pomyśleć o sprzedaży jej studebackera, to uważała za coś niemożliwego, lecz typowego dla mnie; że ani przez sekundę nie pomyślałem o jej garderobie, która pasowała do malinowego studebackera, co też było dla mnie typowe, bo jestem egoistą, brutalem, barbarzyńcą, jeżeli chodzi o dobry smak, i w ogóle potworem w stosunku do kobiety. Znałem jej wymówki i miałem ich po uszy. Dostatecznie często mówiłem, a przynajmniej dawałem jej do zrozumienia, że z zasady nie mam zamiaru się żenić, ostatnio też to mówiłem, jeszcze na lotnisku, kiedy musieliśmy czekać trzy godziny na tę Super-Constellation. Ivy trochę nawet płakała, a więc słyszała, co do niej mówiłem. Ale może Ivy musi to mieć czarno na białym. Gdybyśmy się spalili w czasie tego lądowania, żyłaby przecież beze mnie! – napisałem jej to (na szczęście z przebitką) dość wyraźnie, tak mi się zdawało; żeby nam oszczędzić ponownego spotkania.

Helikopter był gotowy do startu—

Nie zdążyłem już przeczytać mego listu, włożyłem go tylko do koperty, zakleiliśmy i oddaliśmy – potem przyglądałem się, jak helikopter startuje. Powoli rosły nam brody.

Tęskniłem do prądu elektrycznego—

Z wolna cała sprawa stawała się nudna, właściwie to był skandal: że czterdziestu dwóch pasażerów i pięciu ludzi załogi nie zostało jeszcze zabranych z tej pustyni; ostatecznie większość z nas jechała za pilnymi interesami.

Raz jednak zapytałem:

– Czy ona jeszcze żyje?

– Kto? – spytał.

– Hanna, jego żona.

– Ach tak – powiedział i przemyślał tylko, jak bronić się przed moim gambitem, gwizdał w dodatku, co mi działało na nerwy, takie półgłose gwizdanie bez żadnej melodii, jak gdyby świstanie wentyla, bezwiedne – musiałem znów zapytać:

– Gdzie ona teraz mieszka?

– Nie wiem – odparł.

– Ale żyje jeszcze?

– Przypuszczam.

– Nie wiesz tego?

– Nie – powiedział – ale tak przypuszczam. – Powtórzył, jakby był własnym echem: – Przypuszczam.

Szachy były dla niego ważniejsze.

– Może jest już za późno – powiedział potem. – Może jest już za późno.

Miał na myśli szachy.

– Czy zdążyła wyemigrować?

– Tak – odparł – zdążyła.

– Kiedy?

– W 1938 roku – powiedział – w ostatniej chwili.

– Dokąd?

– Do Paryża – powiedział – potem przypuszczalnie dalej, bo w parę lat później byliśmy też w Paryżu – mówiąc nawiasem moje najpiękniejsze chwile! Zanim wylano mnie na Kaukaz. Sous les toits de Paris!

Więcej nie mogłem się od niego dowiedzieć.

– Słuchaj – powiedział Herbert – to zaszra historya, zdaje się, jeżeli się teraz nie odegram.

Graliśmy z coraz mniejszą przyjemnością.

Jak się później dowiedzieliśmy, osiem amerykańskich helikopterów wojskowych czekało już wówczas przy meksykańskiej granicy na urzędową zgodę zabrania nas z pustyni.

Czyściłem moją Hermes-Baby.

Herbert czytał.

Nie pozostawało nam nic innego jak czekać.

A co się tyczy Hanny:

Nie mogłem się z Hanną ożenić, byłem wtedy, od 1933 do 1935 roku, asystentem Politechniki w Zurychu, pracowałem nad moją dysertacją (O znaczeniu tzw. demona Maxwella) i zarabiałem trzysta franków miesięcznie, małżeństwo w ogóle nie mogło wchodzić w rachubę z powodów materialnych, abstrahując od wszystkich innych. Hanna nie robiła mi nigdy wyrzutów, że nie doszło wtedy do małżeństwa. Byłem gotów się ożenić. Ale w istocie rzeczy sama Hanna wówczas nie chciała wyjść za mąż.

Moja decyzja, aby zmienić po prostu trasę podróży służbowej i zboczyć do Gwatemali zupełnie prywatnie, tylko po to, aby zobaczyć starego przyjaciela z czasów młodości, zapadła na nowym lotnisku w Mexico-City niemal w ostatniej chwili; stałem już przy barierze, jeszcze uścisk dłoni, prosiłem Herberta, aby pozdrowił brata ode mnie, jeżeli Joachim jeszcze mnie sobie przypomina – potem jak zwykle wezwanie z głośnika: YOUR ATTENTION PLEASE, YOUR ATTENTION PLEASE, to była znowu Super-Constellation, ALL PASSENGERS FOR PANAMA-CARACAS-PERNAMBUCO, odpychało mnie po prostu od tego, żeby znowu wsiąść do samolotu, znowu zapiąć pas. Herbert powiedział:

– No, musisz już iść!

W sprawach zawodowych uchodzę za człowieka wyjątkowo sumiennego, wprost pedanta, w każdym razie jeszcze się nie zdarzyło, żebym dla kaprysu przeciągnął podróż służbową, a tym bardziej zmienił trasę – w godzinę później leciałem z Herbertem.

– Słuchaj – powiedział – to byczo z twojej strony.

Nie wiedziałem, jak to naprawdę nazwać.

– Niech sobie turbiny raz na mnie poczekają – powiedziałem – ja już nieraz czekałem na turbiny, niech raz one poczekają na mnie!

Naturalnie nie był to właściwy punkt widzenia.

Już w Campeche chwycił nas upał, kleiste słońce i lepkie powietrze, smród szlamu gnijącego na słońcu, a kiedy się ociera pot z twarzy, ma się uczucie, że samemu śmierdzi się rybą. Nie mówiłem nic. W końcu nie ociera się już potu, tylko siedzi z zamkniętymi oczyma i oddycha z zamkniętymi ustami, opierając głowę o ścianę, z wyciągniętymi przed siebie nogami. Herbert był zupełnie pewny, że pociąg odchodzi co wtorek, według rozkładu jazdy z Düsseldorfu, miał to czarno na białym – ale po pięciogodzinnym oczekiwaniu nagle okazało się, że nie we wtorek, tylko w poniedziałek.

Nie powiedziałem ani słowa.

W hotelu znaleźliśmy przynajmniej prysznic i ręcznik, który czuć było kamforą, jak zwykle w tych okolicach, a kiedy chce się wziąć prysznic, spadają z zapleśniałej firanki długie na palec chrząszcze: topiłem je, ale po paru chwilach wypęzły znów ze spustu, póki nie rozdeptałem ich obcasem, żeby móc nareszcie wziąć prysznic.

Śniły mi się potem te chrząszcze.

Byłem zdecydowany opuścić Herberta i następnego dnia odlecieć, koleżeństwo koleżeństwem, ale—

Czułem znów swój żołądek.

Leżałem nagi—

Śmierdziało całą noc.

Herbert też leżał nago—

Campeche jest w każdym razie miastem, osiedlem mającym prąd elektryczny, tak że można się ogolić, oraz telefon, ale na wszystkich drutach siedziały sępy rzędami i czekały, aż padnie z głodu jakiś pies, zdechnie osioł, aż dorzną konia, wtedy sfruwały...

Przyszliśmy akurat, gdy szarpały kłęb wnętrzności, cała chmara czarnofioletowych ptaków z krwawymi bebeczami w dziobach, nie odlatywały, nawet gdy nadjeżdżał wóz. Zaczynały wówczas szarpać ścierwo gdzie indziej, nie wlatując, tylko skacząc, na samym środku rynku.

Herbert kupił ananasa.

Byłem zdecydowany, jak już powiedziałem, odlecieć z powrotem do Mexico-City. Byłem zrozpaczony. Nie mam pojęcia, dlaczego tego nie zrobiłem.

I nagle było już południe—

Staliśmy na grobli, gdzie mniej cuchnęło, ale za to było goręcej, bo ani odrobiny cienia, i jedliśmy naszego ananasa, pochyliliśmy się do przodu, tak ociekał sokiem, a potem nad kamieniami, aby opłukać lepkie od cukru palce. Ciepła woda była także lepka, nie słodka, ale słona, i nasze palce cuchnęły potem algami, ropą, muszlami, nieokreśloną zgnilizną, tak że natychmiast otarliśmy je chusteczkami do nosa. Nagle szum silników! Stałem jak sparaliżowany. Tuż nad nami przeleciał DC-4 do Mexico-City, zakreślił nad otwartym morzem i roztopił się w gorącym niebie jak w błękitnym kwasie—

Nic nie mówiłem.

Nie wiem, jak minął ten dzień.

Ale minął—

Nasz pociąg (Campeche – Palenque – Coatzacoalcos) był lepszy, niż oczekiwałem: lokomotywa z silnikiem Diesla i cztery wagony z klimatyzacją, tak że zapomnieliśmy o upale, a wraz z upałem zapomnieliśmy o nonsensie tej całej podróży.

Nasz pociąg zatrzymywał się od czasu do czasu wśród nocy, nie wiadomo po co; nigdzie światła, tylko dzięki odległej burzy można było rozpoznać, że jedziemy przez dżunglę, a częściowo przez bagna. Błyskawice za plataniną czarnych drzew, nasza lokomotywa gwizdała i gwizdała wśród nocy, nie można było otworzyć okna, żeby zobaczyć, co się dzieje... Nagle ruszyliśmy znowu, trzydzieści kilometrów na godzinę, choć po równinie, drogą prostą jak strzeł. W każdym razie byliśmy zadowoleni, że jedziemy dalej.

Raz zapytałem:

- Dlaczego właściwie oni się rozwiekli?
- Nie wiem – odpowiedział – ona była komunistką, zdaje się—
- Dlaczego?

Ziewnął.

– Nie wiem – powiedział – jakoś im nie szło. Nigdy o to nie pytałem.

Raz, kiedy nasz pociąg znów się zatrzymał, podszedłem do drzwi wagonu, żeby wyrzeć na zewnątrz. Upał, o którym zapomniałem, wilgotna ciemność i cisza. Zszedłem na stopień, cisza i błyskawice, jakiś bawół stał na szynach przed nami i nic więcej. Stał, jakby był wypchany, oślepiiony reflektorami naszej lokomotywy. Pot mi od razu wystąpił na szyi i czole. Lokomotywa trąbiła i trąbiła. Dokoła gęstwina. Po kilku minutach bawół (czy co tam było) wylazł powoli z zasięgu naszych światła, potem usłyszałem szum w gęstwinie, trzask łamanych gałęzi, potem człapanie, plusk wody, której nie było widać—

Potem pojechaliśmy dalej.

- Czy oni mają dzieci? – zapytałem.
- Jedną córkę—

Ułożyliśmy się do snu, marynarki pod głowami, nogi oparte o puste siedzenia naprzeciwko.

– Znałeś ją?

– Tak – odparł – dlaczego?

Wkrótce potem zasnął—

O szarym świcie wciąż jeszcze gęstwina, pierwsze promienie słoneczne nad płaskim horyzontem dżungli, masa czapli, które wlatywały białymi stadami przed naszym wlokącym się pociągiem; gęstwa bez końca, nieprzejrzana, tam i sam grupka indiańskich chatek, schowanych pod drzewami o napowietrznych korzeniach, czasem samotna palma, poza tym przeważnie liściaste drzewa, akacje i jakieś inne, nieznane, a przede wszystkim krzaki, przedpotopowe paprocie; roiło się od żółtych jak siarka ptaków, słońce jak za matową szybą, opary widać było po prostu upał.

Śniłem w nocy – (nie o Hannie!)

Kiedyśmy wydostali się znowu na otwartą przestrzeń, ukazała się Palenque, zagubiona stacyjka, gdzie nikt prócz nas nie wsiadł ani nie wysiadł. Mała szopa przy torze, sygnał, nic więcej, nawet nie było podwójnego toru (jeżeli sobie dobrze przypominam), upewnialiśmy się trzykrotnie, czy to jest Palenque.

Od razu zaczął z nas spływać pot.

Pociąg odjechał, a my staliśmy z naszym bagażem, jakby na końcu świata, a przynajmniej na granicy cywilizacji, i naturalnie nie było nawet śladu jeepa, który tu miał czekać, aby zawieźć natychmiast pana z Düsseldorfu na plantację.

– There we are!

Roześmiałem się.

Jednakże była tam mała uliczka i po pół godzinie, która nas zupełnie wyczerpała, wyszły z krzaków dzieci, potem poganiacz osłów, który wziął nasze bagaże, oczywiście Indianin, zatrzymałem tylko moją żółtą teczkę z błyskawicznym zamkiem.

Pięć dni tkwiłszy w Palenque.

Leżeliśmy w hamakach, zawsze z piwem na podorędziu, pocąc się, ja gdyby pocenie się było celem naszego życia, niezdolni do żadnego wysiłku, zresztą całkiem zadowoleni, bo piwo było znakomite, YUCATECA, lepsze niż na wyżynie, leżeliśmy w hamakach i piliśmy, żeby móc się dalej pocić, i nie miałem pojęcia, czego właściwie chcieliśmy.

Chcieliśmy jeepa!

Jeżeli się tego nie powtarzało ciągle, zapominało się natychmiast, a poza tym mało mówiliśmy przez cały dzień; zadziwiający stan.

Jeep, tak, ale skąd?

Kiedy się mówiło, rosło pragnienie.

Gospodarz naszego małego hoteliku (LACROIX) był właścicielem landrovera, najwidoczniej jedynego samochodu w Palenque, ale sam go potrzebował, żeby przywozić ze stacji piwo i gości, takich, których interesowały indiańskie ruiny, miłośników piramid; w owym czasie był tam tylko jeden, młody Amerykanin, który za wiele gadał, ale na szczęście przez całe dni go nie było – zawsze wśród ruin, które i my, jego zdaniem, powinniśmy byli zwiedzić.

Ani mi to było w głowie!

Przy każdym kroku lał się z nas pot i natychmiast trzeba było pić piwo, i znośnie było tylko, gdy się leżało w hamaku z bosymi nogami, bez ruchu, paląc; apatia była jedynym możliwym stanem – nawet pogłoska, że plantacja po tamtej stronie granicy jest już od wielu miesięcy opuszczona, wcale nas nie wzruszyła; spojrzeliśmy na siebie, Herbert i ja, i dalej piliśmy piwo.

Jedyną naszą szansą był ów landrover.

Przez cały dzień stał przed hotelikiem—

Ale, jak powiedziałem, potrzebował go sam gospodarz.

Dopiero po zachodzie słońca (słońce tam właściwie nie zachodzi, tylko matowieje w oparach) robiło się chłodniej, tak że przynajmniej można było się wygłupiać. Na temat przyszłości niemieckich cygar! To po prostu komiczne i tyle, cała ta nasza podróż i w ogóle. Bunt tubylców! W to nie wierzyłem ani przez chwilę; na to ci Indianie są za łagodni, za spokojni, po prostu dziecinni. Całymi wieczorami siedzieli w kucki na ziemi w swoich białych trzcinowych chatkach, nieruchomi jak grzyby, zadowoleni, bez światła, cisi. Wystarcza im światło słońca i księżycy, zniewieściały lud, niesamowity, ale nieszkodliwy.

Herbert pytał, co w takim razie myślę.

Nic.

Co powinniśmy zrobić, pytał.

Wziąć prysznic—

Polewałem się wodą od rana do wieczora, nienawidzę potu, bo kiedy jestem spocony, czuję się chory. (W życiu swoim nie byłem chory, z wyjątkiem odry). Zdaje się, że Herbert uważał za niekoleżeńskie z mojej strony, że w ogóle nic nie myślę, ale było po prostu za gorąco, żeby myśleć, albo też wierzyło się od razu we wszystko – jak Herbert.

– Chodź – powiedziałem – pójdziemy do kina!

Herbert uwierzył na serio, że w Palenque, składającym się wyłącznie z indiańskich chat, jest kino, i spojrzął na mnie z wściekłością, kiedy się roześmiałem.

Deszcz nie padał ani razu.

Błyskało co noc, nasza jedyna wieczorna rozrywka; Palenque posiada motor Diesla, który dostarcza prądu, ale wyłącza się go o godzinie 21, tak że nagle trzeba się pogrążyć w ciemnościach dżungli i tylko oglądać błyskawice, niebieskawe jak światło lampy kwarcowej; prócz tego czerwone świetliki, potem księżyc w czepku, gwiazd nie widać, za dużo oparów... Joachim nie pisał po prostu dlatego, że jest za gorąco, mogą to zrozumieć; leży w swoim hamaku, jak i my, ziewając, albo umarł – tu nie ma co myśleć, uważałem, trzeba czekać, aż dostaniemy jakiegoś jeepa, aby przebyć granicę i zobaczyć.

Herbert wrzeszczał na mnie:

– Jeepa! Skąd?

Wkrótce potem chrapał.

Kiedy wyłączono motor Diesla, zapadała cisza; koń pasł się w świetle księżycy, w tym samym ogrodzeniu sarna, ale bezgłośnie, dalej czarna maciora, indyk, który nie znosił błyskawic i gulgotął, dalej gęsi, które nagle podniecone gulgotaniem indyka zaczynały gęgać, nagle alarm, potem znowu cisza, błyskawice nad równiną, tylko pasącego się konia słyhać było całą noc.

Myślałem o Joachimie—

Ale co właściwie?

Po prostu nie spałem.

Tylko nasz miłośnik ruin gadał wiele i kiedy się go słuchało, nawet całkiem zajmująco; o Toltekach, Zapotekach, Aztekach, którzy budowali wprawdzie świątynie, ale nie znali koła. Przybył tu z Bostonu i był muzykiem. Czasem działał mi na nerwy, jak wszyscy artyści, którzy uważają się za coś wyższego czy głębszego, a nie mają nawet pojęcia, co to jest elektryczność.

Wreszcie i ja zasypiałem.

Co rano budził mnie szczególny hałas, na pół przemysłowy, na pół muzyczny, szmer, którego nie umiałem sobie wytłumaczyć, niegłośny, ale uporczywy jak ćwierkanie świerszczy, metaliczny, monotony, musiała to być maszyna, ale nie mogłem zgadnąć, jaka, a później, kiedyśmy szli na śniadanie do wsi, przycichało, nic nie było widać. Byliśmy jedynymi gośćmi w jedynej gospodzie, gdzie zawsze zamawialiśmy to samo: huevos a la mexicana, pikantne, ale zapewne zdrowe, do tego tortilie i piwo. Indiańska gospodyni, matrona z czarnymi warkoczami, brała nas za naukowców. Jej włosy przypominały ptasie pióra: były czarne z połyskiem niebieskawozielonym; zęby z kości słoniowej, kiedy się uśmiechała, oczy czarne i łagodne.

– Zapytaj ją – powiedział Herbert – czy zna mego brata i kiedy widziała go po raz ostatni.

Niewiele się dowiedzieliśmy.

– Przypomina sobie jakieś auto – powiedziałem – i to wszystko—

Papuga też nic nie wiedziała.

GRACIES, HIHI.

Rozmawiałem z nią po hiszpańsku.

HIHI, GRACIES, HIHI!

Trzeciego czy czwartego ranka, kiedyśmy jedli śniadanie, jak zwykle, a dzieci Majów gapily się na nas, nie zebrały zresztą, tylko po prostu stały koło naszego stołu i uśmiechały się od czasu do czasu, opanowała Herberta natrętna myśl, że w tej kurnej wsi musi gdzieś być, jeżeli się ją gruntownie przeszuka, jakiś jeep – gdzieś za jakąś chatą, gdzieś w gąszczu dyń, bananów i kukurydzy. Niech robi, co chce. To nonsens, uważałem, jak i reszta, ale było mi wszystko jedno, leżałem w hamaku, a Herbert nie pokazywał się przez cały dzień.

Byłem zbyt leniwy, żeby filmować.

Prócz piwa YUCATECA, wybornego, ale już go zabrakło, był jeszcze w Palenque rum, nędzny, i coca-cola, której nie znoszę—

Napiłem się rumu i zasnąłem.

W każdym razie nie myślałem w ciągu wielu godzin o niczym—

Herbert powrócił dopiero o zmierzchu, błady z wyczerpania, znalazł jakiś strumyk, w którym się wykąpał, potem odkrył dwóch ludzi, którzy z obnażonymi szablami (tak twierdził) przedzierali się przez kukurydzę. Indianie w białych spodniach i białych słomkowych kapeluszach, tacy sami jak ludzie we wsi – ale z zakrzywionymi szablami w dłoniach.

O jeepie, naturalnie, ani mowy!

Był wystraszony, tak mi się zdawało.

Ogoliłem się, póki jeszcze był prąd elektryczny. Herbert znów zaczął opowiadać o Kaukazie swoje makabryczne historie, znałem je już; później, ponieważ piwa zabrakło, poszliśmy do kina. Zaprowadził nas tam miłośnik ruin, który znał swoje Palenque – rzeczywiście była jakaś szopa pokryta blachą falistą, zobaczyliśmy najpierw dodatek: Harolda Lloyda, wspinanie się po fasadzie domu, jak to było w modzie w dwudziestych latach; potem, jako główny film: cierpienia miłosne w najwyższych sferach meksykańskich, zdrada małżeńska z cadillakiem i browningiem, same marmury i wieczorowe suknie. Śmieliśmy się do rozpuku, podczas kiedy kilku Indian nieruchomo siedziało w kucki przed postrzępionym ekranem, w słomianych kapeluszach na głowach, może byli zadowoleni, może nie, trudno rozpoznać, nieprzejrzani, mongolscy... Nasz nowy przyjaciel, muzyk z Bostonu, jak wspominałem, Amerykanin francuskiego pochodzenia, był zachwycony Yucatanem i nie mógł pojąć, że się nie interesujemy ruinami; pytał co tu robimy.

Myśmy wzruszali na to ramionami—

Spojrzeliliśmy na siebie, Herbert i ja, każdy z nas pozostawiał drugiemu powiedzenie, że czekamy na jeepa.

Nie wiem, za kogo tamten nas brał.

Rum ma tę dobrą stronę, że nie wywołuje potów jak piwo, ale za to ból głowy następnego ranka, gdy znów rozlega się ten niezrozumiały hałas, na wpół fortepian, na wpół karabin maszynowy, przy tym śpiew – zawsze między szóstą a siódmą, za każdym razem postanawiam sprawę zbadać, ale zapominam o tym w ciągu dnia.

Tu się o wszystkim zapomina.

Pewnego razu – chcieliśmy się kąpać, ale Herbert nie znalazł swego legendarnego strumyka i natrafiliśmy nagle na ruiny – znaleźliśmy naszego artystę przy robocie. Wśród skał, które miały wyobrażać świątynię, panował piekielny upał. Jego jedyna troska: żeby kropla potu nie upadła na papier! Zaledwie nas pozdrowił; przeszkadzaliśmy mu. Jego praca: kładł kalkę na kamiennych płaskorzeźbach i godzinami smarował po niej czarną kredką, tylko po to, aby otrzymać kopię, idiotyczna robota. On wierzył niewzruszenie, że nie można fotografować tych hieroglifów ani masek różnych bóstw, bo od razu straciłyby wyraz. Odeszliśmy.

Nie jestem historykiem sztuki—

Wspinaliśmy się trochę na piramidy z samej nudy (stopnie są o wiele za strome, dokładnie odwrócony stosunek szerokości do wysokości, tak że od razu jest się bez tchu), potem położyłem się, półżywy z gorąca, gdzieś tam w cieniu tak zwanego pałacu, z rozłożonymi rękami i nogami, dysząc.

Wilgotne powietrze—

Lepkie słońce—

Co do mnie, byłem zdecydowany jechać z powrotem, jeżeli do jutra nie będziemy mieli jeepa... Było parniej niż kiedykolwiek, pleśń, wilgoć, roilo się od ptaków o długich, niebieskich ogonach, ktoś użył świątyni jako wychodka, stąd chmary much. Usiłowałem zasnąć. Brzęczało coś i hałasowało jak w ogrodzie zoologicznym, kiedy się nie wie, co to właściwie gwizdże, kłaska, tokuje, hałas podobny do nowoczesnej muzyki, mogą to być małpy, ptaki, może jakieś koty, nie wiadomo, śmiertelny strach czy namiętność.

Znów poczułem swój żołądek. (Pałę za dużo!)

Kiedyś, w jedenastym albo trzynastym wieku, musiało się tu znajdować całe miasto, powiedział Herbert, miasto Majów—

Co mnie to obchodzi!

Na moje pytanie, czy wierzy jeszcze w przyszłość niemieckiego cygara, Herbert już nie odpowiedział; chrapał, nagadawszy się dość o religii Majów, o sztuce i tak dalej.

Pozwoliłem mu chrapać.

Zdjąłem buty, wężę nie wężę, potrzeba mi było powietrza, miałem bicie serca z gorąca; zdumiewał mnie nasz kalkujący artysta, który mógł pracować w prażącym słońcu i poświęcił swoje wakacje, swoje oszczędności, aby przywieźć do domu hieroglify, których nikt nie może odcyfrować—

Ludzie są zabawni!

Taki lud jak Majowie, którzy nie znali koła, a budowali piramidy, świątynie w dżunglach, gdzie wszystko pleśnieje i rozpada się w wilgoci – po co?

Nie rozumiem też sam siebie.

Tydzień temu powinienem był wylądować w Caracas, a dziś (najpóźniej) z powrotem w New Yorku; zamiast tego tkwiłem tutaj – aby powiedzieć dzień dobry przyjacielowi z młodości, który ożenił się z moją przyjaciółką z młodości.

Po co!

Czekaliśmy na samochód, który codziennie przywoził tu naszego miłośnika ruin, aby pod wieczór odwieźć go z powrotem wraz z rolkami kalki... Zdecydowałem się obudzić Herberta i powiedzieć mu, że wracam najbliższym pociągiem odjeżdżającym z Palenque.

Brzęczące ptaki—

Ani śladu samolotu!

Kiedy się obróci głowę w bok, aby nie widzieć ciągle tego nieba z matowego szkła, ma się za każdym razem uczucie, że się jest nad morzem, że nasza piramida jest wyspą albo okrętem, dookoła morze; a tymczasem jest tylko bezbrzeżna gęstwina, szarozielona, płaska jak ocean – dżungla!

Nad nią księżyc w pełni, liliowy po południu.

Herbert chrapał wciąż tak samo.

Zdumiewające, jak oni te głazy sprowadzali, jeśli nie znali koła, a więc także bloku. Sklepień też nie! Nie biorąc pod uwagę ozdób, które mi się w ogóle nie podobają, bo jestem za rzeczywistością we wszystkim, uważam te ruiny za bardzo prymitywne – w przeciwieństwie do naszego miłośnika ruin, który kocha Majów, właśnie dlatego że nie znali techniki, ale za to bogów, on uważa za porywające to, że oni co pięćdziesiąt dwa lata rozpoczynali nową epokę, mianowicie rozbijali wszystkie naczynia, które im dotąd służyły, gasili wszystkie ogniska, potem płomień ze świątyni roznosili po całym kraju i lepili na nowo wszystkie garnki; lud, który po prostu wyruszał w drogę i pozostawiał za sobą miasta (nie zniszczone), po prostu ciągnął dalej z pobudek religijnych, aby gdzieś w odległości pięćdziesięciu lub stu mil, w tej samej dżungli, zbudować nowe miasto-świątynię. On uważał, że to jest pełne sensu, chociaż nieekonomiczne, wprost genialne, głębokie (profond) – i to wszystko mówił całkiem poważnie.

Chwilami myślałem o Hannie—

Kiedy obudziłem Herberta, zerwał się na równe nogi. Co się stało? Kiedy przekonał się, że nic się nie stało, zaczął znowu chrapać – żeby się nie nudzić.

Silnika ani słychu!

Usiłowałem wyobrazić sobie, jakby to było, gdyby nagle okazało się, że nie istnieją żadne silniki, jak za czasów Majów. O czymś przecież trzeba było myśleć. Uznałem, że dziwić się na widok nagromadzenia tych ociosanych głazów to jednak dziecinne – po prostu ustawili pochylnie, potem wtoczyli na nie te głazy z idiotycznym nakładem ludzkiego wysiłku, to jest właśnie charakterystyczne dla prymitywnych ludzi. A z drugiej strony ich astronomia! Kalendarz ich obliczał rok słoneczny, jak twierdzi miłośnik ruin, na 365,2420 dni zamiast na 365,2422 dni; mimo całej swojej matematyki, której znajomość trzeba im przyznać, nie doszli do żadnych zdobyczy technicznych i dlatego byli skazani na upadek—

Nareszcie nasz samochód! Cud zdarzył się, gdy nasz miłośnik ruin usłyszał, że musimy jechać do Gwatemali, Był zachwycony. Natychmiast wyciągnął kalendarzyk, żeby obliczyć, ile dni wakacji mu jeszcze pozostaje. W Gwatemali, powiedział, roi się od miast Mayów, częściowo tylko odkopanych, i gdybyśmy go wzięli ze sobą, zrobi wszystko, żeby dzięki swojej przyjaźni z gospodarzem LACROIX zdobyć samochód, którego my nigdy nie dostaniemy – no i dostał go.

(Sto pesos dziennie.)

Kiedyśmy się pakowali, była niedziela, gorąca noc, zamglony księżyc, a ów osobliwy hałas, który mnie budził każdego ranka, okazał się muzyką, brzdąkaniem na jakiejś staroświeckiej marimbie; bezdźwięczne bębnienie, przerażająca muzyka, po prostu epileptyczna. To było jakieś święto, które miało coś wspólnego z pełnią księżyca. Co ranka przed pójściem w pole pięciu Indian ćwiczyło, aby móc zagrać do tańca; tłukli wściekle młoteczkami swoje instrumenty, rodzaj drewnianych ksylofonów, długich jak stoły. Sprawdzałem silnik, żeby zapobiec jakiemuś uszkodzeniu w dżungli, i nie miałem czasu na przyglądanie się tańcom; leżałem pod naszym samochodem. Dziewczeta siedziały rzędem dokoła placyku, większość z niemowlętami przy brunatnych piersiach, tancerze pocili się i pili mleko kokosowe. W ciągu nocy nadciągało ich coraz więcej, mogłoby się здаwać, że całe plemiona; dziewczeta nie miały na sobie tradycyjnych kostiumów, lecz amerykańską konfekcję dla uczczenia księżyca – okoliczność, z powodu której Marcel, nasz artysta, irytował się całymi godzinami. Miałem inne zmartwienia! Nie posiadaliśmy broni ani kompasu, nic. Wcale nie obchodzi mnie folklor. Załadowałem nasz samochód, ktoś musiał to zrobić, zrobiłem to chętnie, byle wyruszyć.

Hanna musiała opuścić Niemcy, studiowała wtedy historię sztuki u profesora Wölfflina, przedmiot bardzo mi daleki, ale poza tym porozumieliśmy się natychmiast, nie myśląc w ogóle o ślubie. Hanna też nie myślała o ślubie. Byliśmy oboje o wiele za młodzi, jak już wspomniałem, pomijając nawet moich rodziców, którzy uznali Hannę za bardzo sympatyczną, ale martwili się bardzo o moją karierę, bo co by było, gdybym się ożenił z pół-Żydówką, zmartwienie to bardzo mnie gniewało, po prostu wściekało. Byłem gotów ożenić się z Hanną, uważałem to za swój obowiązek, właśnie ze względu na czasy, jakie przeżywaliśmy. Jej ojciec, profesor w Monachium, został właśnie niedawno aresztowany, był to czas tak zwanej propagandy grozy, i jeżeli o mnie chodzi, nie mogło być mowy o tym, bym pozostawił Hannę na pastwę losu. Nie byłem tchórzem, zresztą naprawdę kochaliśmy się. Pamiętam dokładnie dzień, kiedy był zjazd partii w Norymberdze, a my siedzieliśmy przy głośniku, ogłoszono wtedy ustawy rasowe. W rzeczywistości to Hanna nie chciała za mnie wówczas wyjść, a ja byłem gotów ją poślubić. Kiedy dowiedziałem się, że Hanna ma w ciągu dwóch tygodni opuścić Szwajcarię, przebywałem w Thun jako oficer; pojechałem natychmiast do Zurychu, żeby pójść z Hanną na policję, gdzie mój mundur nic nie pomógł, dotarliśmy jednak do szefa wydziału dla cudzoziemców. Pamiętam jeszcze dziś, jak on patrzył na pismo, które pokazała Hanna, kazał sobie przynieść akta, Hanna siedziała, ja stałem. Potem życzliwe pytanie, czy ta pani jest moją narzeczoną, i nasze zakłopotanie. Powinniśmy zrozumieć: Szwajcaria jest małym krajem, nie ma w niej miejsca dla niezliczonych uchodźców, prawo azylu, tak, ale Hanna miała dość czasu na uregulowanie swojej sytuacji. Wreszcie przyniesiono akta i okazało się, że wcale nie o Hannę chodziło, tylko o jakąś emigrantkę tego samego nazwiska, która już wyjechała za

ocean. Ulga dla nas wszystkich! W przedpokoju wziąłem swoje oficerskie rękawiczki, oficerską czapkę, gdy Hannę znowu wezwano do okienka, Hannę bladą jak kreda. Musiała zapłacić jeszcze dziesięć rapów, porto za list, który błędnie przesłano na jej adres. Jej bezmierne oburzenie z tego powodu! Ja potraktowałem to jak dobry kawał. Niestety, tego samego wieczoru musiałem wracać do Thun, do moich rekrutów; w czasie tej podróży postanowiłem ożenić się z Hanną, na wypadek gdyby jej miano odebrać prawo pobytu. Wkrótce potem (jeżeli dobrze pamiętam) jej stary ojciec umarł w więzieniu. Byłem zdecydowany, jak już nadmieniałem, ale jakoś do tego nie doszło. Nie wiem właściwie, dlaczego. Hanna była zawsze bardzo wrażliwa i impulsywna, nieobliczalny temperament; jak mówił Joachim: maniakalno-depresyjna. Joachim widział ją zresztą tylko raz czy dwa, bo Hanna nie chciała mieć nic do czynienia z Niemcami. Przysięgałem jej, że Joachim, mój przyjaciel, nie jest hitlerowcem, ale na próżno. Rozumiałem jej nieufność, ale nie było mi łatwo, zwłaszcza że nasze zainteresowania nie zawsze się pokrywały. Nazywałem ją marzycielką i kapłanką sztuki. Ona za to nazwała mnie Homo Faber. Czasem wybuchała między nami regularna awantura, na przykład kiedyśmy wracali z teatru; zmuszała mnie zawsze do chodzenia do teatru. Hanna miała z jednej strony skłonność do komunizowania, czego nie znośłem, a z drugiej strony do mistyki, żeby nie powiedzieć do hysterii. A ja znów jestem typem, który obydwoma nogami stoi na ziemi. Mimo wszystko byliśmy ze sobą bardzo szczęśliwi, tak mi się wydaje, i właściwie nie wiem, czemu nie doszło do ślubu. Po prostu nie doszło. Nie byłem, w przeciwieństwie do mego ojca, antysemitą, tak sądzę; byłem po prostu za młody, jak większość mężczyzn przed trzydziestką, zbyt niedojrzały, by zostać ojcem. Jak już powiedziałem, przygotowywałem jeszcze swoją

pracę doktorską i mieszkalem u rodziców, co Hannie wydawało się niepojęte. Spotykaliśmy się zawsze w jej klitce. W tym czasie przyszła propozycja od Escher-Wyssa, prawdziwa okazja dla młodego inżyniera, martwił mnie jednak nie tyle klimat w Bagdadzie, co Hanna w Zurychu. Była wtedy w ciąży. Oznajmiła mi to właśnie tego dnia, kiedy wróciłem z pierwszej rozmowy u Escher-Wyssa, zdecydowany przyjąć posadę w Bagdadzie jak najprędzej. Dziś jeszcze zaprzeczam jej twierdzeniu, że przestraszyłem się śmiertelnie. Zapytałem tylko: czy jesteś tego pewna? Zupełnie przeciw rzeczowe i rozsądne pytanie. Zaskoczyła mnie jej pewność. Zapytałem: czy byłaś u lekarza? Również rzeczowe i dopuszczalne pytanie. Nie była u lekarza. Ona wiedziała i już! Powiedziałem: poczekajmy jeszcze dwa tygodnie. Roześmiała się, bo była zupełnie pewna, musiałem pogodzić się z myślą, że Hanna wiedziała o tym już od dawna, ale nic mi nie mówiła; tylko dlatego czułem się okpiony. Położyłem rękę na jej dłoni, w tym momencie nic innego nie przyszło mi na myśl, to prawda; piłem kawę i paliłem. Jej rozczarowanie! Nie szalałem z ojcowskiej radości, to prawda, przy tym sytuacja polityczna była zbyt poważna. Zapytałem: czy masz lekarza, do którego możesz się zwrócić? Naturalnie miałem na myśli tylko to, żeby dała się zbadać. Hanna skinęła głową. Nie ma o czym mówić, powiedziała, to się da zrobić! Zapytałem: co przez to rozumiesz? Potem Hanna utrzymywała, że odetchnąłem z ulgą, ponieważ ona nie chciała mieć dziecka, a nawet byłem zachwycony i dlatego położyłem jej rękę na ramieniu, kiedy się rozplakała. To ona sama nie chciała już o tym mówić, no i wtedy opowiedziałem jej o Escher-Wyssie, o stanowisku w Bagdadzie i w ogóle o zawodowych możliwościach inżyniera. To nie było skierowane w najmniejszej mierze przeciwko jej dziecku. Powiedziałem nawet, ile będę zarabiał w Bagdadzie. I dosłownie: jeżeli

chcesz mieć to twoje dziecko, musimy się, naturalnie, pobrać. A później jej zarzut, że mówiłem o przymusie! Pytałem otwarcie: chcesz wyjść za mnie, czy nie? Ona potrząsała głową, a ja nie wiedziałem, na jakim jestem świecie. Rozmawiałem wiele z Joachimem, podczas gdy graliśmy w szachy; Joachim mówił mi o medycznym aspekcie tej sprawy, jak wiadomo, nie jest to żaden problem, potem prawna strona, jak wiadomo, też żaden problem, jeżeli sobie wyrobić wymagane świadectwo; potem nabijał fajkę, spoglądał na szachownicę, bo Joachim był z zasady przeciwny wszelkiemu udzielaniu rad. Obiecał swoją pomoc (był medykiem zdającym egzamin dyplomowy), w wypadku gdybyśmy, dziewczyna i ja, tej pomocy potrzebowali. Byłem mu bardzo wdzięczny, nieco zażenowany, ale rad, że nie robi z tego wielkiej historii. Powiedział tylko: twój ruch. Oznajmiłem Hannie, że wszystko to nie jest problemem. I to Hanna nagle zapragnęła skończyć ze wszystkim: zapakowała walizkę i ten jej obłąkany pomysł, żeby wracać do Monachium. Zagroziłem jej drogę, żeby przywołać ją do rozsądku; a jej jedyne słowo: koniec! Powiedziałem: „twoje dziecko” zamiast powiedzieć „nasze dziecko”. I tego Hanna nie mogła mi wybaczyć.

Odległość między Palenque i plantacją, mierzona w linii powietrznej, wynosi około siedemdziesięciu mil, powiedzmy sto mil jazdy, bagatelka, gdyby istniało tam coś w rodzaju drogi, co oczywiście nie miało miejsca; jedyna droga prowadząca w naszym kierunku kończyła się w pobliżu ruin, gubiła się po prostu wśród mchów i paproci—

Jednakże posuwaliśmy się naprzód.

Trzydzieści siedem mil pierwszego dnia.

Zmienialiśmy się przy kierownicy.

Dziewiętnaście mil drugiego dnia.

Kierowaliśmy się po prostu według nieba, oczywiście jechaliśmy zygzakiem, którędy można było przejechać w gęstwinie, skądinąd nie tak zbitej, jak to się z daleka wydawało; wszędzie polanki, na nich stada, ale bez pastuchów, na szczęście nie było większych bagien.

Błyskało się—

Deszcz nigdy nie padał.

Co mnie denerwowało: klekotanie naszych kanistrów; zatrzymywałem się często i umocowywałem je, ale po pół godzinie jazdy po korzeniach i butwiejących pniach obluzowywały się znowu Marcel gwizdał.

Chociaż siedział na tylnym siedzeniu i rzucało nim tu i tam, gwizdał jak dzieciak i cieszył się jak na wycieczce szkolnej, godzinami śpiewał francuskie dziecięce piosenki:

IL ETAIT UN PETIT NAVIRE...

Herbert zachowywał się raczej cicho.

O Joachimie nie rozmawialiśmy prawie wcale—

Herbert nie znosił sępów; chociaż nie mogliśmy nam nic zrobić, póki byliśmy żywi, śmierdziały tylko, ale niczego innego nie można było oczekiwać od pożeraczy padliny; są ohydne, zbierają się w gromady, nie można ich spłoszyć, kiedy są przy żarciu, wszelkie trąbienie jest daremne, podlatują tylko, krążą nad napoczętą padliną, ale jej nie odstępują... Raz, kiedy Herbert siedział przy kierownicy, wzięła go cholera, nagle dodał gazu – wprost, na przełaj przez czarną sferę, w sam środek i przed siebie, czarne pióra tylko zawirowały w powietrzu!

Potem mieliśmy to na kołach.

Słodkawy zapach towarzyszył nam jeszcze godzinami, aż przewyciężyliśmy się: przylepiło się to do opon i nic nie pomagało, trzeba było ręcznie z trudem oczyszczać rowek po rowku. Na szczęście mieliśmy rum! Bez rumu, mam wrażenie, bylibyśmy zawrócili najpóźniej trzeciego dnia – nie ze strachu, z rozsądku.

Nie mieliśmy pojęcia, gdzie jesteśmy.

Gdzieś w pobliżu 18 stopnia szerokości.

Marcel śpiewał IL ETAIT UN PETIT NAVIRE albo też gadał przez pół nocy: o Kortezie i Montezumie (to jeszcze uszło, bo przynajmniej fakty historyczne) i o upadku białej rasy (było za gorąco i za wilgotno, żeby mu zaprzeczyć), o katastrofalnym a pozornym zwycięstwie zachodnich techników (Kortez jako technik, bo znał proch strzelniczy!), o duszy indiańskiej i czy ja wiem o czym, całe referaty o nieuchronnym powrocie starych bogów (po zrzućeniu bomby wodorowej!) i o zamieraniu śmierci (dosłownie!) dzięki penicylinie, o zagubieniu duszy na wszystkich cywilizowanych terenach, o duszy w Ruchu Oporu itd. Herbert obudził się na słowa RUCH OPORU, to rozumiał, i spytał: co on mówi? Odpowiedziałem: artystyczne brednie! – i pozwalaliśmy mu snuć jego teorię na temat Ameryki, która nie ma przyszłości, THE AMERICAN WAY OF LIFE, jest próbą kosmetyzowania życia, ale na życie nie można nakładać kosmetyków—

Usiłowałem zasnąć.

Wybuchałem tylko, kiedy Marcel wypowiadał się na temat mojej działalności lub na temat UNESCO: technicy jako ostatnie wydanie białych misjonarzy, industrializacja jako ostatnia ewangelia ginącej rasy, standard życiowy jako namiastka sensu życia—

Zapytałem go, czy jest komunistą.

Marcel zaprzeczył.

Trzeciego dnia, kiedyśmy znów jechali przez zarośla, bez drogi, po prostu w kierunku na Gwatemalę, miałem już dość—

Byłem za tym, żeby wracać.

– Bo to idiotyczne – mówiłem – jechać dalej na chybił trafił, aż zabraknie nam benzyny.

Herbert wyjął mapę—

Denerwowały mnie też salamandry w każdej kałuży, w każdej najświeższej kałuży rój salamander – w ogóle wszędzie ta płodność roślin, śmierdziało rozrodczością, kwitnącą zgnilizną.

Gdzie się splunie, zaczyna coś kiełkować!

Znałem już tę mapę, 1:500.000, na której nawet z lupą nic się nie znajdzie, nic prócz białych plam, papier: niebieska rzeczka, równa jak pod sznur granica, linia równoleżnika na pustej bieli!... Ja byłem za powrotem. Nie bałem się (bo i czego!), ale to nie miało sensu. Tylko że względu na Herberta jechaliśmy dalej, na nieszczęście, bo wkrótce potem dojechaliśmy istotnie do jakiejś rzeki, a raczej do łożyska rzeki, która nie mogła być niczym innym, jak Rio Usumancinta, granicą między Meksykiem a Gwatemalą. Koryto częściowo wyschłe, częściowo wypełnione wodą, która ledwie płynęła, nie do przebycia, ale muszą chyba być miejsca, gdzie to jest możliwe nawet bez mostu; Herbert nie dawał nam spokoju, choć chciałem się wykapać, jechał wzdłuż brzegu, aż znalazł miejsce, gdzie można było przeprowić się na drugą stronę i gdzie Joachim (jak się później okazało) też się przeprowiał.

Wykąpałem się.

Marcel kąpał się również i leżeliśmy w wodzie na wznak, z zamkniętymi ustami, żeby nie nalykać się wody, była mętna i ciepła, cuchnąca, przy każdym ruchu tworzyły się na niej pęcherzyki, ale w każdym razie woda, przykre były tylko niezliczone ważki i Herbert, który nas popędzał, i myślał, że mogą tu być węże.

Herbert został na brzegu.

Nasz samochód stał zanurzony po osie w śliskim marglu (czy co to tam było). Herbert dolewał benzyny.

Roilo się od motyli.

Kiedy zobaczyłem w wodzie zardzewiały kanister, co dowodziło, że Joachim (bo któż by inny?) też w tym miejscu kiedyś dolewał benzyny, nie powiedziałem słowa, tylko kąpałem się dalej, podczas gdy Herbert usiłował wyciągnąć nasz samochód ze śliskiej gliny.

Ja byłem za tym, żeby wracać.

Siedziałem w wodzie, chociaż mi nagle obrzydło robactwo, pęcherzyki na brunatnej wodzie, gnuśne lśnienie słońca, ogród warzywny na niebie, kiedy się tak leżało w wodzie na wznak i patrzyło, wachlarze metrowych liści, nieruchome, między nimi filigrany akacji, sploty roślin, korzenie napowietrzne, nieruchome, gdzieś czerwoną ptak fruujący nad rzeką, poza tym martwa cisza (jeśli Herbert nie zapuszczał akurat silnika), na białawym niebie słońce jak wata, lepkie i gorące, duszno, a przy tym tęcza.

Byłem za tym, żeby wracać.

– Bo to jest nonsens – mówiłem – przecież tej cholernej plantacji nigdy nie znajdziemy.

Byłem za tym, abyśmy to przegłosowali.

Marcel też był za powrotem, bo jego wakacje już się kończyły, i chodziło o to – ponieważ Herbert dopiął swego i nasz samochód stał na drugim brzegu – chodziło tylko o to, żeby przekonać Herberta, jaki to nonsens jechać dalej bez żadnego śladu drogi. A on najpierw mnie skłął, bo nie mógł zbić moich argumentów, a potem zamilkł i już byłbym go przekonał, gdyby nie Marcel, który nagle wyskoczył.

– Voilà – wrzasnął – les traces d'une nash!

Myśleliśmy, że to kawał.

– Mais regardez – wołał – sans blague!

Zaskorupiałe ślady były częściowo zatarte, tak że mogłyby to być ślady taczek, w innych jednak miejscach, zależnie od gatunku ziemi, znać było rzeczywiście odcisk opon.

Mieliśmy więc ślad.

Inaczej nigdy bym nie pojechał, jak powiedziałem, i wszystko (nie mogę się pozbyć tej myśli) potoczyłoby się inaczej—

Teraz nie było powrotu.

(Niestety!)

Rankiem czwartego dnia zobaczyliśmy dwóch Indian, którzy szli przez pole z krzywymi szablami w ręku, zupełnie jak tamci dwaj, których Herbert widział już w Palenque i wziął za morderców; zakrzywione szable były po prostu sierpami.

Potem pierwsze pola tytoniowe.

Ekscytowaliśmy się jak nigdy przedtem na myśl, że może przybędziemy na miejsce przed zapadnięciem nocy, przy tym upał jak nigdy dotąd, dookoła tytoń, gdzieniegdzie rowy, równe jak sznur, dzieło ludzkich rąk, ale ani jednego człowieka.

Znowu zgubiliśmy ślad—

Znowu poszukiwania odcisków opon!

Wkrótce słońce zaszło; stanęliśmy w naszym samochodzie i z całych sił gwizdaliśmy, wetknąwszy palce do ust. Musieliśmy już być tuż-tuż. Gwizdaliśmy i trąbiliśmy, podczas gdy słońce zanurzało się w zielony tytoń – jakby nabrzmiałe, w oparach, jak pęcherz wypełniony krwią, odrażające, jakby jakieś cynadry czy coś w tym rodzaju.

Taki sam księżyc.

Brakowało tylko tego, żebyśmy się pogubili w mroku, bo każdy z nas, szukając śladów opon, lał w inną stronę. Podzieliliśmy teren na rejony, które każdy z nas musiał zbadać. Kto znajdzie coś, co byłoby podobne do śladu opon, ma gwizdać.

Tylko ptaki gwizdały—

Szukaliśmy jeszcze przy świetle księżyca, póki Herbert nie wlaź na sępy, sępy na zdechłym osle – krzyknął, zaklął i zaczął ciskać kamieniami w czarne ptaki, nie mogąc pohamować wściekłości. To było ohydne. Oczy osła były wydziobane, dwie czerwone dziury, język też; próbowały jeszcze, podczas gdy Herbert ciągle ciskał w nie kamieniami, wydrzeć bebechy z zadka zdechłego osła.

To była nasza czwarta noc—

Nie mieliśmy już nic do picia.

Byłem śmiertelnie zmęczony, ziemia jakby pod nią napalono, przykucnąłem, oparłem głowę na rękach, pocąc się w niebieskawej poświacie księżyca. Roilo się od świetlików.

Herbert chodził tam i z powrotem.

Tylko Marcel spał.

W pewnej chwili nagle ustał odgłos kroków, spojrzałem w stronę Herberta – stał przy zdechłym osle, nie rzucając już kamieniami w podskakujące ptaki, stał i patrzył.

A one żarły całą noc—

Kiedy wreszcie księżyc zatonął w krzakach tytoniu, kiedy nad polami opadła wilgotna mgła jak mleko, zasnąłem wreszcie, ale nie na długo.

I znowu słońce!

Osiół leżał wypatroszony, sępy były syte i obsiadły drzewa dokoła, siedziały jak wypchane, podczas gdy my ruszyliśmy na przełaj; Herbert jako przedstawiciel i siostrzeniec Hencke-Boscha, Sp. z ogr. odpowiedzialnością, do której należały te pola, przejął kierownicę i odpowiedzialność, cały czas słowa nie mówiąc jechał przez tytoń, to było idiotyczne, za nami koleiny zgniecionego tytoniu, ale nic innego nam nie pozostawało, bo na nasze gwizdanie i trąbienie, któreśmy powtarzali wiele razy, nie było żadnej odpowiedzi.

Słońce szło w górę.

Potem grupa Indian zatrudnionych u Hencke-Boscha, Sp. z ogr. odp. w Düsseldorfie. Powiedzieli nam, że señor umarł. Musiałem przetłumaczyć, bo Herbert nie rozumiał po hiszpańsku. Jak to umarł? Wzruszyli ramionami. Ich señor umarł, powiedzieli i jeden z nich wskazywał nam drogę, biegnąc obok naszego samochodu indiańskim kłusem.

Inni pracowali dalej.

O jakimkolwiek buncie nie było mowy!

Był to amerykański barak, pokryty blachą falistą, a jedyne drzwi zaryglowane były od wewnątrz. Słyszać było radio. Wołaliśmy i stukaliśmy, żeby Joachim otworzył.

– Nuestro señor ha muerto...

Wyjąłem klucz angielski z naszego samochodu i Herbert wyważył drzwi. Nie poznałem go. Na szczęście zrobił to przy zamkniętych oknach, sępy siedziały dokoła na drzewach, sępy na dachu, ale nie mogły wlecieć przez okno. Widać go było przez okno. Mimo to wszyscy ci Indianie chodzili codziennie do roboty i nie przyszło im na myśl wyważyć drzwi i zdjąć wisielca. Powiesił się na drucie. Dziwiło mnie, skąd jego radio, które zaraz włączyliśmy, bierze prąd, ale w tej chwili nie to było najważniejsze—

Sfotografowaliśmy i pochowaliśmy go. Indianie (jak wspomniałem w moim raporcie przesłanym do rady nadzorczej) słuchali wszystkich rozkazów Herberta, choć wtedy nie znał jeszcze hiszpańskiego, i uznali natychmiast Herberta za swego następnego pana... Poświęciłem jeszcze półtora dnia na przekonywanie Herberta, że nie ma mowy o buncie, że jego brat po prostu nie mógł znieść tutejszego klimatu, co doskonale rozumiałem; nie wiem, co Herbert wbił sobie do głowy, nie można go było przekonać, on ze swej strony był zdecydowany wytrzymać ten klimat. Trzeba nam było wracać. Żałowaliśmy Herberta, ale o naszym pozostaniu tu nie mogło być mowy, nie mówiąc już o tym, że to nie miałyby żadnego celu; Marcel musiał wracać do Bostonu, do swojej pracy, a ja zmuszony byłem jechać dalej, ściślej mówiąc wracać do Palenque-Campeche-Mexico, aby potem lecieć dalej; nie mówiąc już o tym, że zobowiązaliśmy się najpóźniej w ciągu tygodnia zwrócić samochód uprzejmemu gospodarzowi hotelu LACROIX. Spieszno mi było do moich turbin. Nie wiem, co Herbert sobie wyobrażał, nie znał nawet hiszpańskiego, jak już mówiłem, i uważałem, że będzie nie po koleżeńsku, a nawet nieodpowiedzialnie zostawić go tu samego, jedyne białego; zaklinaliśmy go, ale na próżno. Joachim miał nasha 55; obejrzałem go; wóz stał w indiańskim szałasie, chroniony przed deszczem tylko daszkiem z liści, wyraźnie dawno już nie używany, obdrapany, brudny, ale zdalny do jazdy. Wypróbowałem go osobiście. Silnik był wówczas w porządku, tylko nie oczyszczony, wypróbowałem go, był jeszcze zapas benzyny. Zrozumiałe, że inaczej nie zostawilibyśmy Herberta samego. Po prostu nie mieliśmy czasu, Marcel równie mało jak ja; Marcel musiał wracać do swojej orkiestry symfonicznej, ostatecznie każdy z nas miał swój zawód, czy Herbert zdawał sobie z tego sprawę, czy nie. Wzruszył ramionami, nie przecząc

nam, i ledwo machnął ręką, kiedyśmy wsiadali do samochodu, Marcel i ja, i jeszcze na niego czekali; potrząsnął głową. W dodatku zanosiło się na ciężką burzę, musieliśmy jechać, póki jeszcze znać było nasze własne ślady.

Do dziś jest dla mnie zagadką, jak to się stało, że Joachim i Hanna pobrali się, i dlaczego ona mnie, ojca dziecka, nie zawiadomiła nigdy, że dziecko przyszło na świat.

Mogę tylko zdawać sprawę z tego, co wiem.

Przyszedł czas, że Żydom unieważniono paszporty. Poprzysiągłem sobie, że w żadnym wypadku nie pozostawię Hanny jej losowi, i trzymałem się tego. Joachim był gotów służyć nam jako świadek. Moim mieszczańskim i skłopotanym rodzicom też było na rękę, że nie chcemy ślubu z dorożkami i całą pompą; tylko Hanna ciągle jeszcze wątpiła, czy to słuszne, żebyśmy się pobierali, słuszne ze względu na mnie. Zaniósłem nasze papiery do odpowiedniego urzędu, w gazetach ukazało się zawiadomienie o naszym ślubie. Nawet w wypadku rozwodu, mówiłem sobie, Hanna pozostanie jednak Szwajcarką i będzie miała paszport. Sprawa była pilna, bo musiałem objąć moje stanowisko w Bagdadzie. Wreszcie pewnej soboty przed południem – po śmiesznym śniadaniu u moich rodziców, którzy odczuli jednak brak kościelnych obrzędów! – poszliśmy do ratusza, aby wziąć ślub. Roilo się od nowożeńców, jak zwykle w sobotę, stąd długie wyczekiwanie, siedzieliśmy w poczekalni, w spacerowych strojach, otoczeni przez białe oblubienice i oblubieńców, którzy wyglądali jak kelnerzy. Kiedy Hanna na chwilę wyszła, nie pomyślałem nic złego, rozmawialiśmy, paliliśmy. Kiedy wreszcie urzędnik stanu cywilnego nas wezwał, Hanny nie było. Szukaliśmy jej i znaleźliśmy ją na brzegu jeziora, nie chciała się ruszyć, nie chciała iść do urzędu. Ona nie może! Namawiałem ją, a zegary dokoła były jedenastą, prosiłem Hannę, aby podeszła do tej sprawy całkiem rzeczowo, ale na próżno. Potrząsała głową i płakała. Ja żenię się z nią, mówiła, tylko żeby dowieść, że nie jestem antysemitą, i nie było na to żadnej rady. Następnego tydzień, jaki spędziłem w Zurychu, był okropny. To Hanna nie chciała wyjść za mnie, a ja nie miałem wyboru, musiałem jechać do Bagdadu zgodnie z umową. Hanna odprowadziła mnie na dworzec i pożegnaliśmy się. Obiecała mi, że natychmiast po moim wyjeździe pójdzie do Joachima, który ofiarował swoją pomoc

lekarską, i z tym pożegnaliśmy się; było postanowione, że nasze dziecko nie przyjdzie na świat.

Później nigdy już o niej nie słyszałem.

Był to rok 1936.

Pytałem kiedyś Hannę, co myśli o moim przyjacielu Joachimie. Uważała, że jest bardzo sympatyczny. Nigdy by mi na myśl nie przyszło, że Hanna i Joachim mogą się pobrać.

Zatrzymałem się w Wenezueli (przed dwoma miesiącami) tylko na dwa dni, bo turbiny leżały jeszcze w porcie zapakowane w skrzynie i nie mogło być mowy o montażu.

20. IV. odlot z Caracas.

21. IV. przylot do New-Yorku, Idlewild.

Ivy złapała mnie przy wyjściu z lotniska, dowiedziała się, kiedy przylatuję, i nie mogłem się wykręcić. Czy nie otrzymała mego listu? Pocałowała mnie nie odpowiadając i wiedziała już, że za tydzień muszę lecieć służbowo do Paryża; czuć od niej było whisky.

Nie powiedziała słowa.

Siedzieliśmy w naszym studebakerze i Ivy zawiozła mnie do mego mieszkania. Ani słowa o moim liście z pustyni! Ivy postarała się o kwiaty, choć kwiaty nic mnie nie obchodzą, prócz tego o homara – i sautemes dla uczczenia tego, że uratowałem się z pustyni – znów jej pocałunki, podczas gdy ja przeglądałem pocztę.

Nienawidzę pożegnań.

Nie liczyłem na to, że jeszcze kiedyś zobaczę Ivy, a w każdym razie nie w tym mieszkaniu, które ona nazywała „naszym” mieszkaniem.

Bez końca brałem prysznic.

Awantura między nami zaczęła się, kiedy Ivy zjawiała się z ręcznikiem kąpielowym, wyrzuciłem ją – brutalnie, niestety, a ona lubi brutalność, bo wtedy ma prawo mnie gryźć.

Na szczęście zadzwijał telefon.

Po mojej rozmowie z Dickiem, który mi pogratulował przymusowego łądowania, po umówieniu się z nim na szachy, Ivy uznała, że jestem brutalny, egoista, potwór, że nie mam żadnych uczuć—

Śmiałem się z tego, naturalnie.

Biła mnie obiema pięściami, łkając, ale wystrzegałem się brutalności, bo właśnie tego pragnęła.

Możliwe, że Ivy mnie kochała.

(Nigdy nie jestem pewien, kiedy idzie o kobiety.)

W kwadrans potem, kiedy znów zadzwoniłem do Dicka i zakomunikowałem mu, że niestety nie będę mógł przyjść, Dick już rozstawił szachy; przeproszałem go, przykre było, że nie mogłem powiedzieć, jak i dlaczego, mówiłem tylko, że ja naprawdę wolałbym grać w szachy—

Ivy szlochała znowu.

Była szósta, wiedziałem dobrze, jaki będzie przebieg tego długiego wieczoru, jeżeli nie wyjdziemy z domu; proponowałem francuską restaurację, potem szwedzką, wreszcie chińską. Wszystko na próżno! Ivy spokojnie i ze swobodą twierdziła, że wcale nie jest głodna. Upierałem się: Ależ Ivy! Ivy powoływała się na homara w lodówce, potem na swoją sportową suknię, która nie nadaje się do eleganckiej restauracji. Jak mi się w ogóle podoba jej suknia? Trzymałem już w rękę naszego homara, aby go wrzucić w szyb do spalania śmieci, nie chciałem, aby wywierano na mnie nacisk przy pomocy homara—

Ivy natychmiast obiecała, że będzie rozsądna.

Włożyłem homara z powrotem do lodówki, Ivy zgodziła się na chińską restaurację; była jednak, z czym musiałem się zgodzić, bardzo zaryczana, musiała się koniecznie umalować.

Czekałem—

Moje mieszkanie w Central Park West było dla mnie już od dawna za drogie, dwa pokoje z tarasem na dachu, wyjątkowe położenie, bez wątpienia, ale o wiele za drogie, kiedy się nie jest zakochanym—

Ivy zapytała, kiedy lecę do Paryża.

Milczałem.

Stałem i porządkowałem ostatnie, filmy, żeby móc je dać do wywołania; robiłem napisy na rolkach, jak zwykle... O śmierci Joachima nie miałem najmniejszej ochoty rozmawiać, Ivy go nie znała, Joachim był moim jedynym prawdziwym przyjacielem.

Dlaczego jestem taki milczący?

Dick, na przykład, jest miły, też szachista, bardzo wykształcony, tak sądę, w każdym razie wie więcej ode mnie, dowcipny człowiek, którego podziwiałem (tylko w szachach dorównywałem mu), a co najmniej zazdrościłem mu, jeden z tych, co to potrafią uratować komuś życie, a mimo to człowiek się z nimi nie zbliża—

Ivy wciąż się jeszcze czesała.

Zacząłem opowiadać o naszym przymusowym lądowaniu.

Ivy czerniła sobie rzęsy.

Już sam fakt, że raz jeszcze mamy wyjść razem, chociaż zerwałem z nią listownie, doprowadzał mnie do wściekłości. Ale Ivy zdawała się nie wiedzieć o tym, żeśmy ze sobą zerwali!

Nagle poczułem, że mam. tego wszystkiego dość—

Ivy malowała sobie paznokcie i nuciła—

Nagle usłyszałem sam siebie, jak telefonuję pytając o bilet na statek do Europy, wszystko jedno na jaką linię, im prędzej, tym lepiej.

– Dlaczego statek? – zapytała Ivy.

Prawdopodobieństwo dostania miejsca na statku do Europy o tej porze roku było bardzo małe i nie wiem, jakim sposobem nagle (może dlatego, że Ivy nuciła i zachowywała się tak, jakby się nic nie stało) wpadłem na pomysł, żeby nie lecieć samolotem. Sam byłem tym zaskoczony. Miałem szczęście, bo zwolniło się właśnie miejsce w kabinie– Ivy słyszała, jak je zamawiałem, i przyskoczyła, żeby mi przerwać rozmowę, ale właśnie odłożyłem słuchawkę.

– It's okay! – powiedziałem.

Ivy zaniemówiła, co przyjąłem z zadowoleniem, zapaliłem papierosa, Ivy usłyszała też, o której odjeżdżam.

– Eleven o'clock tomorrow morning.

Powtórzyłem.

– You're ready? – zapytałem i jak zwykle podałem jej płaszcz, żeby móc wyjść z nią. Ivy patrzyła na mnie, potem nagle cisnęła palto gdzieś na środek pokoju i zaczęła tupać, nieprzytomna z gniewu... Była przygotowana na to, że spędzi tydzień w Manhattanie, teraz przyznała się, i moja nagła decyzja, żeby nie lecieć, jak zazwyczaj, tylko jutro już odjechać okrętem, by za tydzień być w Paryżu, pokrzyżowała jej plany.

Podniosłem płaszcz Ivy.

Napisałem jej, że koniec między nami, napisałem czarno na białym; a ona po prostu w to nie uwierzyła. Myślała, że jestem całkowicie w jej władzy i jeżeli spędzimy razem tydzień, wszystko będzie po staremu, tak sobie myślała – dlatego roześmiała się.

Być może, byłem ordynarny.

Ona też—

Jej podejrzenie, że boję się lecieć samolotem, było wzruszające, toteż, choć naturalnie nie odczuwałem najmniejszego lęku przed samolotem, zachowywałem się, jakbym się go bał. Pragnąłem jej ułatwić, nie chciałem być brutalem. Skłamałem i powiedziałem to, co czyniło moje postanowienie zrozumialszym – opisałem jej (po raz drugi) nasze przymusowe lądowanie w Tamaulipas i jak niewiele wówczas brakowało.

– Oh, honey – powiedziała – stop it!

Defekt w dopływie paliwa, co naturalnie nie powinno było się zdarzyć, jeden głupi defekt wystarczy, powiedziałem, i cóż mi pomoże, że z tysiąca lotów, jakie odbyłem, dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć odbyło się bez zarzutu, co mnie obchodzi, że tego samego dnia, kiedy wpadnę do morza dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć maszyn wyląduje szczęśliwie.

Ivy zamyśliła się.

Czemu by raz nie popłynąć statkiem?

Liczyłem tak długo, aż mi Ivy uwierzyła, usiadła i przyznała, że nie robiła nigdy takich obliczeń. Rozumiała moją decyzję, żeby nie lecieć.

Przeprosiła mnie.

Przeleciałem, jak sędzę, w ciągu mego życia ponad sto tysięcy mil bez najmniejszego wypadku. Nie mogło być mowy o jakimkolwiek lęku przed samolotem! Udawałem tylko, że Ivy zaczęła mnie prosić, abym już nigdy nie latał.

Musiałem jej przysiąc—

Już nigdy!

Ivy była śmieszna – chciała mi powróżyć z ręki, nagle tak uwierzyła w mój lęk przed lataniem i zatrwożyła się o moje życie! Żał mi jej było, bo, jak się zdawało, wierzyła poważnie w to, co mówiła o krótkiej linii mego życia (a przecież mam już pięćdziesiąt lat), i zaczęła płakać, wtedy pogłaskałem ją po włosach prawą ręką, podczas gdy wpatrywała się w linie mojej lewej ręki – to był błąd.

Poczułem ciepło jej głowy.

Ivy ma dwadzieścia sześć lat.

Obiecałem jej, że pójde wreszcie do lekarza, czułem jej łzy spływające po mojej lewej dłoni, sam sobie wydawałem się szmirowaty, ale nic nie można było zmienić, Ivy ze swoim temperamentem wierzyła w to, co mówiła, i choć ja ze swojej strony, rzecz jasna, nie wierzę w żadne wróżby, ani przez chwilę nie wierzę, musiałem ją pocieszać, jak gdybym już spadł i leżał zdruzgotany i zwęglony nie do poznania, śmiałem się, oczywiście, ale pogłaskałem ją, jak się głaszczę i pocieszam młodą wdowę, i pocałowałem ją—

Po czym stało się dokładnie to, czego sobie nie życzyłem.

W godzinę później siedzieliśmy obok siebie, Ivy w szlafroku, który jej podarowałem na gwiazdkę, i jedliśmy homara, popijając sauternes; nienawidziłem jej.

Nienawidziłem samego siebie—

Ivy nuciła. Jak na szyderstwo.

Napisałem jej, że koniec między nami, i miała mój list w kieszeni – widziałem to.

Teraz się mściła. Byłem głodny, ale miałem wstręt do homara, Ivy uważała, że jest boski, a ja miałem wstręt do jej czułości, do jej ręki na moim kolanie, jej dłoni w mojej dłoni, do jej ramienia na moim ramieniu, do niej wspartej na mojej piersi, do jej pocałunku, kiedy dolewałem wina, to było nie do wytrzymania – powiedziałem wprost, że jej nienawidzę.

Ivy nie uwierzyła.

Stałem w oknie i nienawidziłem całego okresu, który spędziłem w tym Manhattanie, ale przede wszystkim mego mieszkania. Chętnie bym je podpalił. Kiedy odszedłem od okna, Ivy jeszcze wciąż była nie ubrana, przyrządała dwa grejpfruty i spytała, czy nie chcę kawy.

Poprosiłem, aby się ubrała.

Kiedy przechodziła koło mnie, aby nastawić wodę na kawę, dała mi przytyczka w nos. Jak jakiemuś pajacowi. Pytała z kuchni, czy chcę pójść do kina, jak gdyby była już gotowa do wyjścia – w pończochach i szlafroku.

Bawiła się ze mną w kotka i myszkę.

Opanowałem się i nie powiedziałem ani słowa, zebrałem jej buty, bieliznę, wszystkie jej łaszki i (nie mogąc znieść widoku tych różowości) i cisnąłem to wszystko do przyległego pokoju, żeby Ivy mogła wreszcie skończyć swoją nie kończącą się nigdy toaletę.

Tak, chciałem iść do kina!

Kawa dobrze mi zrobiła—

Moja decyzja, żeby opuścić mieszkanie, była teraz niezłomna i powiedziałem to.

Ivy nie oponowała.

Czułem konieczność ogolenia się, nie dlatego że to było istotnie potrzebne, tylko tak po prostu. Żeby nie czekać na Ivy. Ale moja maszynka była popsuta, chodziłem od kontaktu do kontaktu, lecz w maszynce było głucho.

Ivy uważała, że jestem tip-top.

Ale nie o to szło!

Ivy w palcie i w kapeluszu—

Naturalnie byłem tip-top, nie biorąc już pod uwagę tego, że w łazience miałem inną maszynkę do golenia, starszą, która działała dobrze, ale nie o to chodziło, jak powiedziałem, więc siadłem, aby ją rozmontować... Każdy aparat może kiedyś zawieść; denerwuje mnie to jednak, dopóki się nie dowiem, dlaczego.

– Walter – powiedziała Ivy – Fm waiting.

Jak gdybym ja na nią nigdy nie czekał.

– Technology! – powiedziała, nie tylko bez żadnego pojęcia, jak to zwykle u kobiet, ale wręcz ironicznie, co mi nie przeszkodziło całkowicie rozebrać maszynkę; chciałem wiedzieć, co się zepsuło.

To, co się miało stać w przyszłości, było znowu sprawą czystego przypadku, nic więcej, nylonowa nitka w małym aparaciku – w każdym razie przypadek, żeśmy jeszcze nie wyszli z domu, kiedy rozległ się telefon z CGT, zapewne ten sam, który słyszałem przed godziną, ale nie mogłem przyjąć, decydujący telefon; moje miejsce na statku do Europy może być zarezerwowane tylko wtedy, jeżeli natychmiast, najpóźniej do godziny dwudziestej drugiej, przyjdę z paszportem. Chcę tylko to powiedzieć: gdybym nie był rozebrał maszynki do golenia, to nie przyjąłbym tego telefonu, to znaczy, że moja podróż okrętem nie byłaby doszła do skutku, w każdym razie nie tym okrętem, którym płynęła Sabeth, i nigdy w świecie nie bylibyśmy się spotkali, ja i moja córka.

W godzinę później, z biletem okrętowym w kieszeni, siedziałem w barze nad brzegiem Hudsonu, zadowolony po obejrzeniu okrętu; olbrzymi kadłub z oświetlonymi oknami, maszty i krany, i czerwone kominy w świetle reflektorów – cieszyłem się życiem jak młodzieniaszek, uczucie, jakiego dawno już nie doznawałem. Moja pierwsza podróż okrętem! Wypiłem piwo i zjadłem parówkę, wśród samych mężczyzn, parówkę i dużo musztardy, bo ledwo się znalazłem sam, poczułem głód; zsunąłem kapelusz z czoła, zliząłem pianę z warg, rzuciłem spojrzenie na walkę bokserską w telewizorze, dookoła stali dokefzy, przeważnie Murzyni, zapaliłem papierosa i zapytałem sam siebie, czego się właściwie w młodości oczekuje od życia—

Ivy czekała w mieszkaniu.

Niestety, musiałem wracać, trzeba się było jeszcze zapakować, ale nie śpieszyło mi się. Zjadłem drugą parówkę.

Myślałem o Joachimie—

Miałem uczucie, że rozpoczynam nowe życie, może dlatego, że nigdy dotąd nie podróżowałem okrętem; w każdym razie cieszyłem się na tę podróż.

Siedziałem tam do północy.

Miałem nadzieję, że Ivy już nie czeka, że straciła cierpliwość i opuściła moje mieszkanie, zła na mnie, że zachowałem się (wiedziałem) jak cham; ale inaczej nie pozbyłbym się Ivy – zapłaciłem i poszedłem pieszo, aby zmniejszyć jeszcze o pół godziny szansę spotkania Ivy; wiedziałem, że jest wytrwała.

Poza tym mało wiedziałem o Ivy. Jest katoliczką, modelką, znosi wszelkiego rodzaju dowcipy, tylko nie na temat papieża, może jest lesbijką, może zupełnie zimną kobietą; musiała koniecznie mnie uwieść, bo uważała mnie za egoistę, za nieczłowieka; nie jest głupia, tylko trochę perwersyjna, tak mi się zdawało, zabawne, ale pocziwy z niej kompan, kiedy zapomina o sprawach płci... Gdy wszedłem do mego mieszkania, zobaczyłem, że siedzi w palcie i kapeluszu, uśmiechnięta, choć już tak siedziała od dwóch godzin – nie robiła mi wymówek.

– Everything okay? – zapytała.

Zostało jeszcze trochę wina we flasce.

– Everything okay! – odparłem.

Jej popielniczka była pełna, twarz miała trochę zabeczaną, napełniłem nasze kieliszki możliwie najsprawiedliwiej i poprosiłem o przebaczenie za to, co było. Przekreślmy to! Staję się nieznośny, kiedy jestem przepracowany, a przeważnie jestem przepracowany.

Nasz sauternes był ciepawy—

Kiedyśmy się tręcali napelnionymi do połowy kieliszkami, Ivy życzyła mi (wstała przy tym) szczęśliwej podróży i w ogóle szczęścia w życiu. Bez pocałunku. Wypiliśmy stojąc, jak na przyjęciu dyplomatycznym. W sumie, uważałem, przeżyliśmy razem ładne chwile, Ivy była tego samego zdania, na przykład nasze week-endy na Fire Island albo nasze wieczory tutaj, na tarasie—

– Przekreślmy to! – powiedziała także Ivy. Wyglądała ślicznie, wcielenie rozsądku, miała chłopcęją figurę, tylko piersi bardzo kobiece, biodra wąskie, jakie powinna mieć modelka.

Tak staliśmy i zegnaliśmy się.

Pocałowałem ją—

Uchyliła się od pocałunku.

Podczas gdy trzymałem ją nie pragnąc niczego innego, tylko ostatniego pocałunku, i czułem jej ciało, odwróciła głowę; mimo to pocałowałem ją. Ivy paliła, nie odrzuciła papierosa, pocałowałem ją w ucho, w wyprężoną szyję, w skroń, w gorzko pachnące włosy—

Stała nieruchomo jak manekin.

Nie tylko paliła – jak gdyby to miał być jej ostatni papieros, aż do samego ustnika – ale w drugiej ręce trzymała pusty kieliszek.

Nie wiem, jak to się znowu stało—

Myślę, że Ivy chciała, aby sam siebie znienawidził, i uwodziła mnie tylko po to, abym poczuł nienawiść do siebie, i to była jedyna jej przyjemność: upokorzyć mnie, jedyna przyjemność, jaką jej jeszcze mogłem dać.

Chwilami bałem się jej.

Siedzieliśmy znowu jak przed kilku godzinami—

Ivy chciało się spać.

Kiedy znów zadzwoniłem do Dicka – nie wiedziałem, jak sobie poradzić inaczej – było już po północy, Dick miał u siebie gości, prosiłem go, aby przyszedł z całą paczką. Słysząc było przez telefon to całe towarzystwo, gwar pijackich głosów. Błagałem go. Ale Dick był nieugięty. Dopiero kiedy Ivy uwiesiła się u słuchawki, Dick raczył wyświadczyć tę przyjacielską przysługę i nie zostawiać mnie sam na sam z Ivy.

Byłem śmiertelnie zmęczony.

Ivy czesała się po raz trzeci—

Wreszcie, kiedy już zasnąłem w bujającym fotelu, nadeszli: siedmiu czy dziewięciu mężczyzn, z tego trzech jak inwalidzi, trzeba ich było wyciągać z windy; jeden z nich zaczął się opierać, kiedy usłyszał, że w mieszkaniu jest kobieta; to było dla niego zbyt wiele lub zbyt mało. Począł schodzić w dół, pijaniusienki, wymyślając przez szesnaście pięt.

Dick przedstawił:

– This is a friend of mine—

Sądzę, że nie znał nawet sam tego bractwa, wszystko mu się pomyliło. Wyjaśniłem, że jeden z nich zawrócił; Dick poczuł się odpowiedzialny za to, żeby żaden z jego przyjaciół się nie zagubił, toteż zaczął liczyć na palcach, ale choć liczył w tę i wewtę, zawsze jednego brakowało.

– he's lost – powiedział – anyhow—

Naturalnie usiłowałem brać wszystko od śmiesznej strony, nawet wtedy, kiedy indiańska waza, wcale nie należąca do mnie, rozprysła się na kawałki.

Ivy uważała, że nie mam poczucia humoru.

Nawet po godzinie nie miałem jeszcze pojęcia, kim są ci ludzie. Jeden był jakoby słynnym artystą. Aby tego dowieść, groził, że stanie na rękach na parapecie naszego szesnastego piętra, w czym zdołano mu przeszkodzić – poleciała przy tym za okno butelka whisky – naturalnie nie był wcale artystą, powiedzieli tak tylko, żeby ze mnie zakpić, nie wiem zresztą, dlaczego. Na szczęście butelka nie trafiła w nikogo. Zszedłem natychmiast na dół, przygotowany na to, że znajdę zbiegowisko, karetkę pogotowia, krew, policję, która mnie aresztuje. Ale nic z tych rzeczy! Kiedy wróciłem do swego mieszkania, wszyscy wybuchnęli śmiechem; bo butelka wcale nie spadła za okno—

Nie wiedziałem, o co chodzi.

Kiedy poszedłem do ubikacji, drzwi były od wewnątrz zaryglowane. Wziąłem śrubokręt i wyważyłem drzwi z zawiasów, ktoś tam siedział na podłodze, palił papierosa i chciał wiedzieć, jak się nazywam.

Trwało to przez całą noc.

W waszym towarzystwie można by umrzeć, powiedziałem, można by umrzeć, a wy byście tego nie zauważyli, ani śladu jakiejś życzliwości, umrzeć by można w waszym towarzystwie, i po co my w ogóle z sobą rozmawiamy, krzychałem, po co (sam słyszałem, jak krzyczę), po co to całe towarzystwo, kiedy tu mógłby człowiek umrzeć i nikt by nie zauważył—

Byłem pijany.

Trwało to do rana – nie wiem, kiedy oni wreszcie opuścili mieszkanie i jak; tylko jeszcze Dick gdzieś tam leżał.

Musiałem być na okręcie o 9.30.

Miałem ból głowy, pakowałem się i cieszyłem, że Ivy mi pomaga, było już późno, poprosiłem ją, aby raz jeszcze zaparzyła dobrej kawy. Ivy była wzruszona, odprowadziła mnie nawet na statek. Oczywiście płakała. Nie wiem, kogo Ivy miała na świecie prócz mnie, nie licząc jej męża. O ojcu i matce nie wspominała nigdy, przypominałem sobie tylko jej zabawne powiedzenie: I'm just a dead-end-kid! Pochodziła z Bronx, poza tym naprawdę nic nie wiedziałem o Ivy, z początku wziąłem ją za tancerkę, potem za kokotkę, obie rzeczy okazały się nieprawdą – myślę, że Ivy naprawdę pracowała jako modelka.

Staliśmy na pokładzie.

Ivy w swoim kapelusiku z piórek kolibrów—

Ivy obiecała załatwić wszystko, sprawę mieszkania i studebakera. Dałem jej klucze. Kiedy zatrąbiono i kiedy głośnik zaczął powtarzać żądanie, aby odprowadzający opuścili statek, pocałowałem ją, potem Ivy musiała już naprawdę odejść, syreny dokoła wyły tak, że trzeba było zatykać uszy. Ivy była ostatnią osobą, która zeszła na ląd po trapie.

Pomachałem—

Musiałem wziąć się w garść, choć byłem bardzo rad, kiedy odwiązano ciężkie liny. Mieliśmy dzień bez chmurki. Byłem rad, że wszystko poszło gładko.

Ivy też machała—

Dobry kompan! – myślałem sobie, choć nigdy nie mogłem Ivy zrozumieć. Stałem na cokole jednego z kranów, podczas gdy czarne holowniki odciągały nas do tyłu, potem znowu syreny, filmowałem (moim nowym teleobiektywem) machającą Ivy, aż do chwili kiedy już gołym okiem nie można było rozróżnić poszczególnych twarzy. Filmowałem cały odjazd, póki widać było Manhattan, a potem jeszcze towarzyszące nam mewy.

Powinniśmy byli Joachima (myślałem o tym często) nie grzebać w ziemi, tylko spalić. Ale tego już nie można było zmienić. Marcel miał zupełną rację: ogień jest czymś czystym, a ziemia to błoto po jednej jedynej burzy (takiej, jaką przeżyliśmy w drodze powrotnej), zgnilizna pełna pchających się do życia zarodków, śliska jak wazelina, kałuże w zorzy porannej niby kałuże brudnej krwi, krwi miesięczkowej, kałuże pełne salamander, nic tylko czarne główki z wijącymi się ogonkami, jak rój plemników, właśnie takie to wszystko – okropne.

(Chciałbym, aby mnie spalono w krematorium!)

Wtedy, w drodze powrotnej, nie robiliśmy w ogóle postojów, nie robiliśmy postojów z wyjątkiem nocy, bo po prostu bez księżycy za ciemno było na jazdę. Padał deszcz. Bulgotał całą noc, zostawiliśmy palące się reflektory, choć nie jechaliśmy, łało jak podczas potopu, ziemia parowała w świetle reflektorów, letni, ciężki deszcz. Bez wiatru. W kręgu reflektorów widać było roślinność, nieruchomą płataninę korzeni napowietrznych, które w świetle naszych reflektorów wyglądały jak bebechy. Byłem rad, że nie jestem sam, choć, trzeźwo patrząc, nie groziło najmniejsze niebezpieczeństwo, woda łała się. Nie spaliśmy ani minuty. Przykucnęliśmy jak w łaźni, zupełnie nadzy; mokra tkanina na grzbiecie była nie do zniesienia. Zresztą, jak ciągle sobie powtarzałem, dokoła była tylko woda, żadnego powodu do obrzydzenia. Nad ranem deszcz ustał, nagle, jak kiedy się raptem zamknie prysznic; ale kapało z roślin, słyszeliśmy nieustannie pluskanie, kapanie. Potem jutrenka! Ani śladu ochłodzenia; ranek był gorący i parny, słońce aż lepkie, jak zwykle, liście błyszczały, a my byliśmy mokrzy od potu, deszczu i oliwy, usmarowani jak noworodki. Ja prowadziłem, nie wiem, jak przeprawiliśmy się przez rzekę, ale przeprawiliśmy się i nie mogliśmy pojąć, że kiedyś pływaliśmy w tej ciepłej wodzie, pełnej pęcherzy zgnilizny! Szlam rozpryskiwał się na wszystkie strony, kiedyśmy przejeżdżali przez kałuże w świetle jutrenki – raz Marcel powiedział: – Tu sais, que la mort est femme! – spojrzałem na niego. – Et que la terre est femme! powiedział i to ostatnie zrozumiałem, bo ziemia wyglądała tak właśnie, dokładnie tak, roześmiałem się mimo woli jak z tłustego dowcipu—

Pierwszy raz zobaczyłem jasnowłosą dziewczynę, uczesaną w koński ogon, wkrótce po odejździe; musieliśmy się zebrać w jadalni, aby ustalić, jak mamy siedzieć przy stolikach. Było to dla mnie zupełnie nieważne, kto siedzi przy moim stole, jednakże liczyłem, że będą to sami mężczyźni, wszystko jedno, jakim językiem mówiący. Ale nie było mowy o wyborze! Steward miał swój własny plan, francuski biurokrata, niełaskawy, kiedy ktoś nie rozumiał po francusku, potem znów rozgadany, kiedy mu się podobało, szarmancki do znudzenia, podczas gdy my czekaliśmy, cały ogonek pasażerów – przede mną młoda dziewczyna w czarnych cowboyskich spodniach, trochę tylko niższa ode mnie, Angielka albo Skandynawka, nie mogłem dojrzeć jej twarzy, tylko jej rudawoblond włosy uczesane w koński ogon, który kołysał się przy każdym ruchu głowy. Naturalnie, wszyscy się rozglądali, czy nie ma kogoś znajomego; to się mogło zdarzyć. Naprawdę miałem nadzieję, że dostanę miejsce przy męskim stoliku. Dziewczynę dostrzegłem tylko dlatego, że jej koński ogon chybotął się przed moją twarzą przynajmniej przez pół godziny. Jej twarzy, jak wspominałem, nie dostrzegłem. Starłem się ją odgadnąć. Dla zabicia czasu; tak jak dla zabicia czasu rozwiązuje się krzyżówki. Na ogół młodzieży nie było prawie wcale. Dziewczyna miała na sobie (pamiętam dokładnie) czarny pulower, golf z wywiniętym kołnierzem, na modłę egzystencjalną, do tego naszyjnik ze zwyczajnego drzewa, espadryle, wszystko dość tanie. Paliła, pod pachą miała grubą książkę, a z tylnej kieszeni jej cowboyskich spodni wystawał zielony grzebień. To czekanie zmuszało mnie po prostu do obserwowania jej; musiała być bardzo młoda; puszek na jej szyi, jej ruchy, małe uszka, które się zaczerwieniły, kiedy steward powiedział jakiś dowcip – wruszyła wtedy ramionami; a czy miała jeść w pierwszej, czy w drugiej turze, było jej wszystko jedno.

Dostała się do pierwszej, ja do drugiej.

Tymczasem ostatnie amerykańskie wybrzeże, Long Island, też zniknęło, dookoła tylko woda; zaniósłem moją kamerę na dół, do kabiny, gdzie zobaczyłem po raz pierwszy sąsiada, który miał spać na drugim łóżku, młodego i silnego jak dąb człowieka, Lejzora Lewina, rolnika z Izraela. Zostawiłem mu dolne łóżko. Kiedy wszedłem do kabiny, siedział na górnym, zgodnie z numerem biletu; ale tak było wygodniej dla nas obu, osądziłem, gdy usiadł na dolnym, żeby rozpakować swoje manatki. Kawał chłopa! Ogoiliłem się, gdyż w zamęcie porannym nie udało mi się tego zrobić. Włączyłem swoją maszynkę, tę samą co wczoraj, i działała dobrze. Pan Lewin studiował kalifornijskie rolnictwo. Ja goliłem się nie mówiąc wiele. Potem znów na pokład—

Nie było nic do oglądania, dookoła woda, stałem i rozkoszowałem się tym, że jestem nieosiągalny dla nikogo – zamiast zatroszczyć się o leżak.

Nie orientowałem się jeszcze we wszystkim.

Mewy towarzyszyły okrętowi—

Nie mogłem sobie wyobrazić, jak się spędza pięć dni na takim okręcie, chodziłem tam i sam z rękami w kieszeniach spodni, to popychany przez wiatr, prawie lecąc w powietrzu to znów przeciw wiatrowi, mozolnie, tak że trzeba się było pochylić do przodu, z łopoczącymi spodniami, dziwiłem się, skąd inni pasażerowie mają leżaki. Każdy leżak opatrzony nazwiskiem. Kiedy zapytałem stewarda, okazało się, że leżaków już zabrakło.

Sabeth grała w ping-ponga.

Grała świetnie, tik-tak, tik-tak, piłka latała tam i z powrotem, przyjemnie było patrzeć. Ja sam nią grałem już od lat.

Nie poznała mnie.

Ukloniłem się—

Grała z jakimś młodzieńcem. Może znajomy lub narzeczony. Przebrała się, miała teraz na sobie oliwkowozieloną spódnicę ze sztruksu, kloszową. Uważałem, że ładniej jej w tym niż w chłopięcych spodniach, jeśli to rzeczywiście była ta sama osoba!

W każdym razie tamtej nie mogłem nigdzie znaleźć.

W barze, który przypadkiem odkryłem, nie było żywej duszy. W bibliotece tylko powieści, poza tym stoliki do gry w karty, co też wyglądało nudnie – na dworze było wietrzno, ale mniej nudnie, ponieważ czuło się, że płyniemy.

Właściwie poruszało się tylko słońce—

Od czasu do czasu frachtowiec na horyzoncie.

O czwartej podano herbatę.

Łącząc tam i z powrotem przystawałem ciągle przy stole pingpongowym, za każdym razem zaskoczony, kiedy widziałem dziewczynę z przodu, zmuszony sam zadawać sobie pytanie, czy to naprawdę ta sama osoba, której twarz usiłowałem odgadnąć, kiedyśmy musieli czekać na nasz przydział do określonych stolików. Stałem przy wielkim oknie wychodzącym na pokład spacerowy, paliłem i zachowywałem się tak, jak gdybym patrzył na morze. Widziana z tyłu, od strony rudawego końskiego ogona, była taka sobie, ale od przodu bardzo oryginalna. Oczy miała szare jak woda, co się często zdarza u rudych. Zdjęła żakiet, bo przegrała, i podwinęła rękawy bluzki. Raz omal mnie nie przewróciła biegnąc za piłką. Ani słowa przeproszenia. Dziewczyna nie dostrzegła mnie w ogóle.

Od niechcenia poszedłem sobie dalej—

Na pokładzie było zimno, wilgotno, pełno piany, steward składał leżaki. Słyszało się tylko fale, szumiące głośniejsz niż przedtem, i tik-tak, tik-tak ping-ponga z dolnego piętra. Potem zachód słońca. Trząśnięcie się. Kiedym wszedł do kabiny, aby wziąć palto, musiałem znów przejść przez pokład spacerowy – podniosłem jej piłkę nie narzucając się, jak sądzę; podziękowała mi krótko po angielsku (poza tym mówiła po niemiecku) i zaraz potem rozległ się gong na pierwszą turę obiadową.

Pierwsze popołudnie jakoś minęło.

Kiedy wróciłem w palcie i z kamerą, aby sfilmować zachód słońca, obie rakietki pingpongowe leżały na zielonym stole—

I co to zmieni, jeżeli powołam się na moją zupełną nieświadomość, dowiodę, że nie mogłem mieć najłżejszego pojęcia! Zniszczyłem życie mego dziecka i nie mogę już tego odrobić. Po co jeszcze ta relacja? Nie byłem zakochany w dziewczynie z rudawym końskim ogonem, po prostu wpadła mi w oko, nic więcej, nie mogłem mieć pojęcia, że to moja rodzona córka, ja w ogóle nie wiedziałem, że jestem ojcem. Dlaczego zrządzenie losu? Nie byłem zakochany, przeciwnie. Zanim zaczęliśmy rozmawiać, była mi bardziej obca niż jakakolwiek inna dziewczyna i to był zupełnie nieprawdopodobny przypadek, że w ogóle zaczęliśmy rozmawiać, ja i moja córka. Równie dobrze mogło się zdarzyć, że przeszlibyśmy koło siebie i minęlibyśmy się po prostu. Dlaczego zrządzenie losu? Mogłoby się to wszystko zupełnie inaczej ułożyć.

Już wieczorem tego pierwszego dnia, gdy sfilmowałem zachód słońca, zagraliśmy w ping-ponga, pierwszy i ostatni raz. Jakakolwiek rozmowa była niemożliwa; zapomniałem już, że człowiek może być tak młody. Tłumaczyłem jej funkcjonowanie mojej kamery, ale nudziło ją wszystko, co mówiłem. Nasz ping-pong wypadł lepiej, niż mogłem się spodziewać; nie grałem już od dziesiątków lat. Tylko jej serwy były chytrzejsze, ścinała piłki. Dawniej też umiałem ścinać, ale teraz zabrakło mi wprawy; przy tym byłem za powolny. Ona ścinała, kiedy tylko mogła, ale nie zawsze z powodzeniem; broniłem się. Ping-pong jest sprawą wiary w siebie, nic więcej. Nie byłem tak stary, jak wyobrażała sobie ta dziewczyna, i tak hop-hop, jak tego najwyraźniej oczekiwała, wcale to nie szło; powoli zmiarkowałem, jak należy przyjmować jej piłki. Na pewno ją nudziłem. Jej przedpołudniowy partner, młodzieniec z wąsikami, grał naturalnie o wiele bardziej efektywnie. Wkrótce miałem całkiem czerwoną gębę, ponieważ często musiałem się schylać, ale dziewczyna także musiała zdjąć wełniany żakiet, a nawet podwinęła rękawy, żeby mnie pobić, niecierpliwie odrzucała na plecy swój koński ogon. Kiedy się pokazał jej znajomy z wąsikami, aby w charakterze widza podśmiechiwać się z rękami w kieszeniach, położyłem moją raketkę – ona podziękowała, nie prosząc mnie jednak, aby rozegrał partię do końca; podziękowałem jej również, wziąłem swoją marynarkę.

Nie chodziłem za nią.

Wdawałem się w rozmówki z różnymi ludźmi, najwięcej z mister Lewinem, bynajmniej nie tylko z Sabeth, nawet ze starymi pannami, moimi sąsiadkami przy stoliku w jadalni, stenotypistkami z Cleveland, które uważały za swój obowiązek obejrzeć Europę, albo też z amerykańskim duchownym, baptystą z Chicago, ale wesołym chłopem—

Przed pójściem spać za każdym razem, żeby zaczerpnąć trochę powietrza, robiłem odchód wszystkich pokładów. Sam. Kiedy spotykałem ją w ciemności – przypadkowo – pod rękę z partnerem od ping-ponga, udawała, że mnie nie widzi; jak gdybym nie powinien pod żadnym warunkiem dowiedzieć się, że jest zakochana.

Co mnie to obchodziło!

Przechadzałem się, jak powiadam, żeby zaczerpnąć trochę powietrza.

Ona myślała, że jestem zazdrosny—

Następnego ranka, kiedy sam stałem przy burcie, podeszła do mnie i spytała, gdzie jest mój znajomy. Nie interesowało mnie, kogo uważała za mego znajomego, izraelskiego rolnika czy baptystę z Chicago, ona myślała, że czuję się samotny, chciała być miła i nie zrezygnowała, póki nie zacząłem gadać o nawigacji, radarze, krzywiznie kuli ziemskiej, elektryczności, entropii, o której nie słyszała nigdy. Nie była głupia, wręcz przeciwnie. Niewielu ludzi, którym objaśniałem tak zwanego demona Maxwella, chwyciło to tak bystro, jak ta dziewczyna, którą nazywałem Sabeth, bo Elisabeth, uważałem, jest imieniem po prostu niemożliwym. Podobała mi się, ale nie flirtowałem z nią w najmniejszym nawet stopniu. Przemawiałem jak nauczyciel, obawiam się, podczas gdy ona się uśmiechała. Sabeth nie wiedziała nic o cybernetyce i jak zawsze, kiedy się o tym mówi z laikami, chodziło o to, żeby obalić jej dziecinne pojęcia o robotach, czysto ludzką niechęć wobec maszyn, co mnie gniewa, bo ten ich oklepany argument jest taki ograniczony: człowiek nie jest maszyną. Wyjaśniłem, co nowoczesna cybernetyka oznacza terminem INFORMACJA: nasze postępowanie jako odpowiedzi na tak zwane informacje, ewentualnie impulsy, odpowiedzi automatyczne, po większej części niezależne od naszej woli, refleksy, które maszyna może wykonywać równie dobrze jak człowiek, a może nawet lepiej. Sabeth zmarszczyła brwi (jak przy dowcipach, które się jej nie podobały) i zaśmiała się. Poleciłem jej Norberta Wienera: CYBERNETICS OR CONTROL AND COMMUNICATION IN THE ANIMAL AND THE MACHINE, M.I.T. 1948. Naturalnie nie miałem na myśli takich robotów, jakie się rysuje w ilustrowanych pismach, tylko maszyny rachunkowe o największej szybkości działania, nazywane też mózgammi elektronowymi, ponieważ kierowane są przy pomocy próżniowych lamp elektronowych, maszyny, które już dzisiaj

przewyższają każdy ludzki mózg. W ciągu minuty dwa miliony dodawań lub odejmowań! W takim samym tempie dokonują one obliczeń różniczkowych, logajrytmy wyprowadzają szybciej, niż możemy odczytać wyniki, i zadanie, które dotąd musiałyby pochłonąć całe życie matematyka, rozwiązują w ciągu paru godzin i lepiej rozwiązują, ponieważ maszyna nie może niczego zapomnieć, bo wszystkie wpływające informacje, których jest więcej, niż może ogarnąć ludzki mózg, włącza do swego rachunku prawdopodobieństwa. Przed wszystkim zaś: maszyna nic nie przeżywa, nie zna strachu ani nadziei, które tylko przeszkadzają, żadnych pragnień w związku z rezultatem, pracuje tylko na zasadzie czystej logiki prawdopodobieństwa, dlatego też twierdzę: robot rozeznaje się dokładniej niż człowiek, wie więcej o przyszłości niż my, bo ją oblicza, nie spekuluje i nie marzy, kierowany jest tylko przez własne wyniki (feed back) i nie może się mylić; robotowi nie jest potrzebna intuicja—

Sabeth uważała, że jestem zabawny.

Trochę jednak, myślałem sobie, lubi mnie; kiwała głową za każdym razem, kiedy spotykała mnie na pokładzie, leżała na leżaku i natychmiast brała książkę, ale kiwała głową—

– Hello, mister Faber!

Nazywała mnie mister Faber, bo tak się jej przedstawiłem, nawykły do angielskiego wymawiania mego nazwiska; poza tym rozmawialiśmy po niemiecku.

Zostawiałem ją często w spokoju.

Właściwie powinienem był pracować—

Taka podróż okrętem to zabawna rzecz. Pięć dni bez samochodu! Przywykłem pracować albo prowadzić auto, to dla mnie żaden wypoczynek, kiedy nic się nie rusza, a wszystko, do czego nie nawykłem, denerwuje mnie. Nie mogłem pracować. Płynie się i płynie, silniki pracują w dzień i w nocy, słyszy się je, czuje, płynie się bez przerwy, ale tylko słońce się porusza, ewentualnie księżyc, może to też złudzenie, że płyniemy, może nasz okręt kołysze się tylko tak sobie i wywołuje fale, horyzont pozostaje horyzontem i tkwimy w środku wirującego kręgu jak przymurowani, tylko fale przewalają się z szybkością nie wiem Ilu węzłów na godzinę, w każdym razie dość szybko, ale nic się nie zmienia – chyba tylko, że się jest coraz starszym!

Sabeth grała w ping-ponga albo czytała.

Wątpiałem się przez pół dnia, choć niepodobna spotkać kogoś, kogo nie ma na okręcie; w ciągu dziesięciu lat nie zdarzyło mi się chodzić tak wiele jak na tym okręcie, czasem baptysta dawał się nakłonić do tej dziecinnej gry, posuwania kijami drewnianych krążków, dla zabicia czasu, miałem czasu jak nigdy dotąd, ale nie mogłem się zdobyć na to, żeby przeczytać biuletyn okrętowy.

NEWS OF TODAY—

Tylko słońce się poruszało.

PRESIDENT EISENHOWER SAYS—

Niech sobie mówi!

Ważne jest, żeby popchnąć swój krążek na właściwe pole, i pewne jest, że znikąd nie może nadejść ktoś, kto nie płynie tym okrętem, Ivy na przykład, jest się po prostu nieosiągalnym.

Pogoda była ładna.

Pewnego ranka, kiedy jadłem śniadanie z baptystą, przysiadła się do naszego stolika Sabeth, co mnie bardzo ucieszyło, Sabeth w swoich czarnych cowboyskich spodniach. Dookoła było dość wolnych stolików, jak sądzę, gdyby dziewczyna mnie nie zносиła. Szczerze mnie to ucieszyło. Mówią o paryskim Luwrze, którego nie znam, a ja tymczasem obieram jabłko. Z angielskim daje sobie radę wspaniale. Znowu olśnienie, jak bardzo jest młoda! Sam się człowiek siebie pyta, czy kiedykolwiek był taki młody. Jej poglądy! Człowiek, który nie zna Luwru, bo go to nic nie obchodzi, w ogóle nie istnieje; Sabeth myśli, że ja sobie po prostu z niej żartuję. A jest przy tym baptysta, który znów żartuje sobie ze mnie.

– Mister Faber is an engineer – powiada.

Oburzają mnie nie jego głupie dowcipy na temat inżynierów, tylko jego flirt z młodziutką dziewczyną, która nie dla niego przysiadła się do tego stolika, jego ręka oparta na jej ręce, potem na jej ramieniu, potem znów na ręce, ta jego mięsista łapa. Dlaczego on ciągle dotyka tej dziewczyny! Tylko dlatego, że jest znawcą Luwru.

– Listen – mówi ciągle – listen!

Sabeth:

– Yes, I'm listening—

Zresztą baptysta nie ma nic do powiedzenia, chodzi mu z tym całym jego Luwrem tylko o to, żeby móc jej dotknąć, takie maniery starszego pana, a przy tym jego uśmieшки na mój temat.

– Go on – mówi do mnie – go on!

Ja stoję na stanowisku, że zawód technika, który sobie radzi z rzeczywistością, jest męskim zawodem, jeżeli nie jedynym męskim zawodem w ogóle; stwierdzam, że znajdujemy się na okręcie, który też jest dziełem techniki—

– True – powiada on – very true!

Cały czas trzyma ją przy tym za ramię, udaje, że słucha uważnie i z napięciem, tylko po to, żeby nie puścić ramienia dziewczyny.

– Go on – powiada – go on!

Dziewczyna chce mi dopomóc i ponieważ nie znam rzeźb z Luwru, kieruje rozmowę na moje roboty; ale nie mam ochoty mówić na ten temat i powiedziałem jedynie, że rzeźby i temu podobne rzeczy nie są niczym innym (dla mnie), jak tylko poprzednikami robotów. Ludzie pierwotni usiłowali unicestwić śmierć oblekając ją w ludzkie ciało, my – zastępując ludzkie ciało czym innym. Technika zamiast mistyki!

Na szczęście nadszedł mister Lewin.

Kiedy się okazało, że pan Lewin również nigdy nie był w Luwrze, zmieniła się, dzięki Bogu, rozmowa przy stole, mister Lewin zwiedzał wczoraj maszynownię na naszym statku – to doprowadziło do podwójnej rozmowy; baptysta i Sabeth rozmawiali nadal o van Gogh, a Lewin i ja o silnikach Diesla, choć ja, mimo iż interesowały mnie motory Diesla, nie spuszczałem dziewczyny z oczu: słuchała bardzo uważnie baptysty, ale równocześnie wzięła jego rękę i położyła ją koło siebie jak serwetkę.

– Why do you laugh? – zapytał mnie.

Roześmiałem się po prostu.

– Van Gogh is the most intelligent fellow of his time – powiedział do mnie – have you ever read his letters?

Na to Sabeth:

– On naprawdę dużo wie.

Ale kiedyśmy zaczęli, mister Lewin i ja, mówić o elektryczności, nic już nie wiedział nasz zabójczy baptysta, jak niepyszny zaczął obierać swoje jabłko i umilkł.

Wreszcie zaczęła się rozmowa o Izraelu.

Później na pokładzie Sabeth wyraziła (bez jakiegokolwiek nacisku z mojej strony) życzenie zwiedzenia maszynowni, i to właśnie ze mną; ja powiedziałem tylko, że ja także wybiorę się kiedyś do maszynowni. Nie chciałem jej się w żadnym razie narzucać. Dziwiła się, dlaczego nie mam leżaka, i pożyczyła mi natychmiast swego, bo ona i tak umówiła się na ping-ponga.

Podziękowałem, odeszła—

Od tego czasu często siadywałem na jej leżaku; steward, kiedy mnie spostrzegł, natychmiast przynosił jej leżak, rozkładał go i witał jako mister Pipera, bo na jej leżaku była kartka: Miss E. Piper. Wmawiałem sobie, że każda młoda dziewczyna przypominałaby mi prawdopodobnie Hannę. W owych dniach często myślałem o Hannie. Na czym polegało właściwie podobieństwo? Hanna była czarna, Sabeth blondynka, raczej rudawa, a mnie się zdarzało na siłę porównywać je ze sobą: robiłem to tylko z czystego próżniactwa. Sabeth jest młoda, tak jak Hanna była młoda wówczas, a przy tym używa tego samego dialektu wysokoniemieckiego, ale ostatecznie (mówiłem sobie) są całe szczepy, które posługują się dialektem wysokoniemieckim. Godzinami leżałem na jej leżaku z nogami opartymi o białą balustradę, która drżała, z wzrokiem utkwionym w morzu. Niestety, nie miałem ze sobą żadnych pism technicznych, powieści nie mogę czytać, więc wolałem zastanawiać się, skąd ta wibracja, dlaczego niepodobna jej uniknąć, albo też obliczałem sobie, ile lat miałaby teraz Hanna, czy byłaby już siwa. Zamknąłem oczy, żeby zasnąć. Gdyby Hanna zjawiła się na pokładzie, poznałbym ją bez wątpienia.

Pomyślałem: a może ona jest na pokładzie! Zerwałem się, począłem się przemykać między leżakami tam i sam, nie myśląc poważnie, że Hanna naprawdę znajduje się na pokładzie. Tak dla zabicia czasu! Jednakże (przynaję) bałem się, że to mogłoby się zdarzyć, i przyglądałem się spokojnie wszystkim paniom, które już nie były młodymi dziewczętami. Można to robić, kiedy się ma ciemne okulary; stoi się i pali, i przygląda spokojnie, rzeczowo, tak że te, na które się patrzy, nie zdają sobie z tego sprawy. Oceniałem ich wiek, co wcale nie było łatwą rzeczą; nie tyle zwracałem uwagę na włosy, co na nogi, na stopy, jeśli były bose, a przede wszystkim na ręce i na wargi. Tu i ówdzie, zauważyłem, zdarzają się kwitnące usta, podczas gdy szyja ze sfałdowaną skórą przypomina jaszczurkę; mogłem sobie wyobrazić, że Hanna wciąż jeszcze jest bardzo piękna, to znaczy: godna miłości. Niestety, oczu ich nie można było dojrzeć, tylko przeciwsłoneczne okulary. Zniszczone Amerykanki, które na pewno nigdy nie były kwitnące, twory kosmetyki, leżały tu także. Wiedziałem jedno: Hanna nigdy by tak nie wyglądała. Znów usiadłem.

Wicher gwizdał w kominie—

Pienista fala—

Raz frachtowiec na horyzoncie—

Nudziłem się, a przy tym to ciągle fantazjowanie na temat Hanny; leżałem z nogami opartymi o białą balustradę, gdzie czuło się wibrację, a to, co wiedziałem o Hannie, wystarczyłoby za ledwie na list gończy, który na nic się nie przydaje, kiedy danej osoby tu nie ma. Nie widziałem jej, jak wspominałem, nawet z zamkniętymi oczami.

Dwadzieścia lat to kawał czasu.

Zamiast tego (otworzyłem oczy, bo ktoś potrącił mój leżak) znów to młode stworzenie, które się nazywa: panna Elisabeth Piper.

Skończyła grać w ping-ponga.

Najbardziej uderzyło mnie, jak ona w rozmowie, żeby zaznaczyć swoje odmienne stanowisko, odrzucała w tył swój koński ogon (zresztą Hanna nigdy nie nosiła końskiego ogona) albo jak wzruszała ramionami, wcale nie dlatego, że coś było jej obojętne, tylko z dumy. Przede wszystkim zaś: jej małe, krótkie bruzdki na czole, między brwiami, kiedy jakiś mój dowcip, choć się śmiała, uważała za głupi. To uderzyło mnie, ale nie zajmowało moich myśli. Podobało mi się. Ostatecznie bywają gesty, które się komuś podobają, bo już je widział gdzie indziej. Stawiam zawsze znak zapytania, gdy chodzi o podobieństwo, bo mam doświadczenie. Ileśmy się boków nazrywali, mój brat i ja, kiedy dobrzy ludzie, którzy nic nie wiedzieli, zauważali nasze uderzające podobieństwo! Mój brat był adoptowany. Kiedy ktoś prawą rękę (na przykład) zakłada na kark, aby się podrapać w lewą skroń, zwraca to moją uwagę, myślę wtedy o moim ojcu, ale nigdy nie przyjdzie mi na myśl wziąć tego kogoś za brata mego ojca, tylko dlatego że tak właśnie się drapie. Biorę te sprawy rozsądnie. Nie jestem żadnym baptystą ani spirytystą. Dlaczego przypuszczać, że jakaś dziewczyna, która nazywa się Elisabeth Piper, jest córką Hanny?

Gdybym wtedy na statku (albo później) miał najlżejsze podejrzenie, że między dziewczyną a Hanną, która mi tkwiła w głowie po całej tej historii z Joachimem, istnieje jakikolwiek związek, oczywiście zaraz zapytałbym: kto jest jej matką? Jak ona się nazywa? Skąd pochodzi? Nie wiem, jakbym się zachował, w każdym razie inaczej, to zupełnie zrozumiałe, nie jestem jakimś zбочeńcem, traktowałbym swoją córkę jak swoją córkę, nie jestem perwersyjny!

Wszystko było tak naturalne—

Niewinna znajomość w podróży—

Pewnego dnia Sabeth cierpiała trochę na chorobę morską; zamiast wyjść na pokład, jak się zaleca, chciała zejść do kabiny, potem wymiotowała na korytarzu, jej znajomy z wąsikami ułożył ją na łóżku, jak gdyby był jej mężem. Na szczęście byłem przy tym. Sabeth w swoich czarnych cowboyskich spodniach, z twarzą wykręconą na bok, bo koński ogon nie pozwalał inaczej, leżała, jak to przy tym bywa, osłabiona i wyczerpana, blada jak воск. On trzymał ją za rękę. Natychmiast odśrubowałem okienko kabiny, aby wpuścić trochę powietrza i podałem wodę—

– Dziękuję bardzo! – powiedział i przycupnął na brzegu jej łóżka, rozwiązał jej espadryle, żeby odegrać rolę samarytanina. Jakby jej niedyspozycja pochodziła z nóg!

Nie wyszedłem z kabiny.

Jej czerwony pasek był o wiele za ciasny, to było widoczne, uważałem, że nie do nas należy rozpiąć jej pasek—

Przedstawiłem się.

Ledwośmy podali sobie ręce, usiadł znowu na brzegu jej łóżka. Może naprawdę był jej przyjacielem, Sabeth była już prawdziwą kobietą, kiedy tak leżała, już nie dzieckiem; zdjąłem koc z górnego łóżka, bo może było jej zimno, i przykryłem ją.

– Dziękuję! – powiedział.

Czekałem po prostu, aż ten młody człowiek zda sobie sprawę, że nie mamy tu już nic do roboty i że trzeba dziewczynę zostawić samą—

– Ciao! – powiedział.

Przejrzałem go, chciał mnie zgubić gdzieś na pokładzie, żeby samemu wrócić do jej kabiny. Zaproponowałem mu partię ping-ponga... Taki głupawy, jak przypuszczałem, to on nie był, ale też bynajmniej nie sympatyczny. Jak można nosić wąsiki? Do ping-ponga nie doszło, bo znowu oba stoły były zajęte; zamiast tego wciągnąłem go w rozmowę – w dialekcie wysokoniemieckim, oczywiście – na temat turbin, był z zawodu grafikiem, artysta, ale zdolny. Kiedy zauważył, że mnie nie biorą rozmówki na temat malarstwa, teatru i tym podobnych rzeczy, zaczął mówić po kupiecku, nie żeby bez skrupułów, ale z głową, Szwajcar, jak się okazało—

 Nie wiem, co Sabeth w nim widziała.

Ze swojej strony nie miałem żadnego powodu do kompleksu niższości, nie jestem geniuszem, ale jednak człowiekiem na kierowniczym stanowisku, tylko że coraz mniej lubię tych młodych ludzi, ich tonik, ich genialność, zresztą chodzi mi przy tym tylko o marzenia o przyszłości, w których wydają się sobie tak wspaniali, i mają w pięcie to, co myśmy już na tym świecie faktycznie zdziałali; kiedy się to im czasem przypomina, uśmiechają się uprzejmie.

 – Nie chcę pana zatrzymywać! – powiedziałem.

 – Pan wybaczy?

 – Proszę bardzo! – odparłem.

Kiedy przyniosłem tabletki, które mnie osobiście pomogły, Sabeth nie chciała nikogo wpuścić do kabiny. To śmieszne, bo była ubrana, jak to dojrzałem przez szparę w drzwiach. Obiecałem jej przedtem te tabletki i tylko dlatego wzięła tabletki przez uchylone drzwi. Nie mam pojęcia, czy on był wtedy w jej kabinie. Prosiłem dziewczynę, żeby naprawdę zażyła te tabletki. Chciałem jej po prostu pomóc; bo trzymanie za rączkę i ściągnięcie espadrylów nie mogło przecież pomóc. Naprawdę nie interesowało mnie, czy taka dziewczyna jak Sabeth (jej swoboda była dla mnie wciąż zagadką) spała z mężczyzną, czy nie, tylko zadawałem sobie to pytanie.

Co wiedziałem wówczas:

Jeden semestr w Yale, scholarship, teraz podróż powrotna do mamy, która mieszka w Atenach, pan Piper natomiast w Niemczech Wschodnich, bo jest zwolennikiem komunizmu, jej główna troska w tych dniach: znaleźć tani hotel w Paryżu – potem autostopem do Rzymu (co ja uważałem za szaleństwo) i nie wiedziała, czym ma zostać, pediatrą czy plastyczką zajmującą się sztuką stosowaną, czy czymś w tym guście, może nawet stewardessą, żeby móc wiele latać, w każdym razie chciałyby kiedyś pojechać do Indii i do Chin. Sabeth oszacowała mnie (gdy o to zapytałem) na jakieś czterdzieści lat, a kiedy się dowiedziała, że mam prawie pięćdziesiąt, wcale jej to nie zdziwiło. Ona miała dwadzieścia. Największe wrażenie zrobiło na niej to, że pamiętałem pierwszy lot Lindbergha przez Atlantyk (1927), skoro miałem wtedy dwadzieścia lat. Obliczyła wszystko, zanim uwierzyła! W moim wieku, widzianym oczami Sabeth, nic by się nie zmieniło, myślę, gdybym tym samym tonem opowiedział o Napoleonie. Najczęściej stałem przy balustradzie, bo nie wypadało jakoś, żebym siedział na leżaku, podczas gdy Sabeth (najczęściej w kostiumie kąpielowym) siedziała na ziemi; to byłoby za bardzo po wujowsku – i odwrotnie: gdyby Sabeth siadała na leżaku, a ja przysiadabym obok niej ze skrzyżowanymi nogami, to by było jednak komiczne.

W żadnym razie nie chciałem się narzucać.

Grałem w szachy z mister Lewinem, który miał głowę zajętą rolnictwem, albo z innymi pasażerami, którym dawałem mata w dwudziestu pociągnięciach najwyżej, było to nudne, ale wolałem sam się nudzić niż nudzić dziewczynę, to znaczy, szedłem do Sabeth tylko wtedy, kiedy miałem jej naprawdę coś do powiedzenia.

Zabroniłem jej myśleć o zostaniu stewardessą.

Sabeth najczęściej zatopiona była w jakiejś grubej książce i kiedy mówiła o Tołstoj, pytałem sam siebie, co taka dziewczyna może wiedzieć o mężczyźnie. Nie znałem Tołstoja. Naturalnie kpiła sobie ze mnie, kiedy mówiła:

– Teraz znów pan mówi jak Tołstoj!

Zresztą czciła Tołstoja.

Pewnego razu zacząłem nagle opowiadać w barze – nie wiem dlaczego – o moim przyjacielu, jak to on nie mógł dłużej wytrzymać i jak go znaleźliśmy: – na szczęście za zamkniętymi drzwiami, inaczej sępy rozszarpałyby go jak zdechłego osła.

Sabeth uważała, że przesadzam.

Wypiłem trzeci czy czwarty pernod, roześmiałem się i wyjaśniłem, jak to wygląda, kiedy ktoś wisi na drucie: nogi nad podłogą, jakby fruwał.

Krzesło było przewrócone.

Miał brodę.

Po co to opowiadałem, nie mam pojęcia, Sabeth uznała, że jestem cyniczny, bo się śmiałem; ale on naprawdę był sztywny jak lala—

Mówiąc dużo paliłem.

Jego twarz była czarna od krwi.

Kołysał się jak strach na wróble podczas wiatru.

Cuchnął przy tym.

Paznokcie fioletowe, ramiona szare, ręce białawe, koloru gąbki.

Był nie do poznania.

Język też niebieskawy.

Właściwie nie było o czym opowiadać, po prostu nieszczęśliwy wypadek, kołysał się w ciepłym wietrze, jak wspomniałem, wisząc na drucie, obrzmiały—

Wcale nie chciałem tego opowiadać.

Ramiona miał sztywne jak kije—

Niestety, moje filmy z Gwatemali nie były jeszcze wywołane, tego nie można opisać, trzeba zobaczyć, jak to wygląda, kiedy ktoś wisi.

Sabeth w niebieskiej sukience wieczorowej—

Czasem mój przyjaciel, wiszący, pojawiał mi się przed oczami, jak gdybyśmy go nie pochowali, nagle – może dlatego, że w tym barze również rozbrzmiewało radio, a on nie wyłączył wtedy radia.

Tak to było.

Kiedyśmy go znaleźli, jak mówiłem, radio grało. Niegłośno. Z początku myśleliśmy, że ktoś mówi w sąsiednim pokoju, ale nie było tam wcale sąsiedniego pokoju, mój przyjaciel żył całkiem samotnie, i kiedy usłyszeliśmy muzykę, spostrzeżliśmy, że to musi być radio, naturalnie wyłączyliśmy je natychmiast, bo to niewłaściwie, muzyka taneczna—

Sabeth zadawała pytania.

Dlaczego on to zrobił?

Nie powiedział nam tego, tylko wisiał jak lala i cuchnął, jak już mówiłem, i kołysał się w ciepłym wietrze—

Tak to było.

Kiedy wstałem, przewróciłem krzesło, hałas, sensacja w barze, ale dziewczyna postawiła moje krzesło z powrotem, jak gdyby nic się nie stało, i chciała mnie odprowadzić do kabiny, ale ja nie chciałem.

Chciałem iść na pokład.

Chciałem być sam—

Byłem pijany.

Gdybym wówczas wymienił nazwisko: Joachim Hencke, wszystko by się od razu wyjaśniło. Widocznie nie wymieniłem nawet jego imienia, tylko opowiadałem po prostu o przyjacielu, który powiesił się w Gwatemali, o pewnym tragicznym wypadku.

Raz ją sfilmowałem.

Kiedy Sabeth to wreszcie odkryła, pokazała mi język; sfilmowałem ją z wywieszonym językiem, aż, zła nie na żarty, uczciwie mnie zwymyślała. Co mi przychodzi do głowy? Zapytała otwarcie: czego pan właściwie chce ode mnie?

Było to przed południem.

Powinienem był zapytać Sabeth, czy jest mahometanką, że nie wolno jej filmować, czy też jest przesądna. Co ta dziewczyna sobie wyobrażała? Byłem zupełnie zdecydowany wyciągnąć ten film (wraz ze zdjęciami machającej na pożegnanie Ivy) i potrzymać go na słońcu, żeby wszystko przeświecić: proszę! Najwięcej mnie gniewało, że myślałem całe przedpołudnie o tonie, jakim zadała pytanie, za co mnie miała ta dziewczyna mówiąc:

– Pan obserwuje mnie cały czas, mister Faber, ja tego nie znoszę!

Nie wydawałem się jej sympatyczny.

To było pewne i nie robiłem sobie fałszywych nadziei, kiedy później, wkrótce po obiedzie, przypomniałem jej o mojej obietnicy, że powiem jej, kiedy będę miał zamiar zwiedzić maszynownię.

– Teraz? – zapytała.

Musiła doczytać do końca rozdziału.

– Proszę bardzo! – powiedziałem.

Dałem za wygraną. Nie obrażony, bynajmniej. Zawsze się, tak zachowuję; nie znoszę sam siebie, kiedy jestem innym ludziom ciężarem, i nigdy nie było moim zwyczajem latanie za kobietami, które mnie nie chcą; otwarcie mówiąc, nigdy dotąd nie było mi to potrzebne...

Maszynownia na takim statku ma rozmiary przyzwoitej fabryki, w skład jej wchodzi przede wszystkim wielkie silniki Diesla, prócz tego instalacje do wytwarzania prądu, do ogrzewania wody, do wentylacji. Chociaż dla fachowca nic w tym nie ma niezwykłego, jednakże uważam, że sama taka instalacja, uzależniona od warunków okrętowych, jest godna widzenia niezależnie od tego, że zawsze sprawia przyjemność, kiedy się widzi maszyny w ruchu. Wyjaśniłem działanie głównej tablicy rozdzielczej, nie wdając się w szczegóły; w każdym razie wyjaśniłem pokrótce, co to jest kilowat, co to jest hydraulika, co to jest amper, rzeczy, które oczywiście Sabeth знаła ze szkoły, tylko zapomniała, ale bez trudu zrozumiała je teraz znowu. Najbardziej zaimponowało jej mnóstwo rur, wszystko jedno do czego służących, i głęboki szyb ze schodami, widok w górę przez pięć czy sześć pięter na zakratowane niebo. Poruszyło ją to, że maszyniści, którzy wydali się jej tacy mili, cały czas się pocą i przez całe życie pływają po oceanie nie widząc oceanu. Zauważyłem jak się gapili, kiedy dziewczyna (którą wyraźnie brali za moją córkę) wdrapywała się po żelaznych drabinkach.

Ça va, mademoiselle, ça va?

Sabeth wdrapywała się na górę jak kot.

– Pas trop vite, ma petite!

Ich typowo męskie miny były, moim zdaniem, bezwstydne, ale Sabeth nie zauważyła w ogóle nic, Sabeth w swoich czarnych cowboyskich spodniach ze szwami ongiś białymi, z zielonym grzebykiem, w tylnej kieszeni, z rudawym końskim ogonem, który obijał się o plecy – dwie łopatki pod czarnym pulowerem, względnie w jej smukłych i sprężystych plecach, potem biodra, młodzieńcze uda w czarnych farmerkach, podwiniętych do pół łydki, jej pęcinki – uważałem, że jest śliczna, ale nie podniecająca. Tylko prześliczna! Staliśmy przed szklanym wziernikiem silnika Diesla, który objaśniłem pokrótce, z rękami w kieszeniach, żeby nie dotknąć czasem jej tak bliskiego ramienia czy barku, jak ostatnio baptysta w czasie śniadania.

Nie chciałem dotknąć tej dziewczyny.

Nagle wydałem się sam sobie stary—

Kiedy jej stopa na próżno szukała ostatniego stopnia żelaznej drabiny, chwyciłem ją za biodra i postawiłem na ziemi. Jej biodra były cudownie lekkie, a jednocześnie silne, trochę jak kierownica mego studebakera, wdzięczna, o dokładnie takiej samej średnicy – trwało to sekundę, potem stanęła na podeście z dziurkowanej blachy, nie zaczerwieniwszy się ani trochę, podziękowała za niepotrzebną pomoc i wytarła sobie ręce wiązką pstrych pakuł. Dla mnie też nie było w tym nic podniecającego i poszliśmy dalej do wielkich wałów napędowych, które chciałem jej jeszcze pokazać. Problem wytrzymałości na rozciąganie, współczynnik tarcia, zmęczenie stali na skutek wibracji i tak dalej, o tym wszystkim myślałem tylko w cichości, a raczej w hałasie, w którym niemal nie można było rozmawiać – wyjaśniłem dziewczynie tylko, gdzie się obecnie znajdujemy, a mianowicie, gdzie wały wychodzą z kadłuba, by napędzać śruby okrętowe. Trzeba było wrzeszczeć. Mniej więcej osiem metrów pod poziomem morza! Chciałem się co do tego poinformować. – Mniej więcej! – krzychałem. – Może tylko sześć metrów! – Wziąwszy pod uwagę znaczne ciśnienie wody, które musiała wytrzymać konstrukcja statku, było to znów dla niej za wiele. Jej dziecinna fantazja wybiegła już do ryb, podczas gdy ja pokazywałem konstrukcję. – Tu! – krzychałem, wziąłem jej rękę i położyłem ją na siedemdziesięciomilimetrowym nicie, aby zrozumiała, co chciałem wyjaśnić. Rekiny? Nie rozumiałem innych jej słów. Dlaczego rekiny? Odwrzasnąłem: – Nie wiem! – i pokazywałem jej konstrukcję, oczy dziewczyny spoglądały uporczywie przed siebie.

Chciałem dać jej coś z siebie.

Nasza podróż miała się już ku końcowi, szkoda; nagle ostatnia chorągiewka na mapie Atlantyku i resztką długości siedmiu centymetrów: popołudnie i noc, i przedpołudnie—

Mister Lewin już się pakował.

Rozmowa na temat napiwków—

Kiedy wyobraziłem sobie, jak będziemy się żegnać za dwadzieścia cztery godziny, do widzenia na wszystkie strony, do widzenia, najlepsze życzenia i humor – mister Lewinowi: dużo szczęścia w gospodarzeniu na roli i naszymu baptyście: wiele przyjemności w Luwrze! a dziewczyna z rudawym końskim ogonem i o nieokreślonej przyszłości: wiele szczęścia! – z trudem przychodziło mi myśleć, że nigdy już o sobie nie usłyszymy. Siedziałem w barze—

Znajomości z podróży.

Stawałem się sentymentalny, co nie jest w moim stylu; wydano wielki bal, jak to jest w zwyczaju, był to ostatni wieczór na okręcie, przypadkowo moje pięćdziesiąte urodziny, o tym naturalnie nie powiedziałem nikomu.

Były to moje pierwsze oświadczenia.

Właściwie siedziałem z mister Lewinem, którego również nie obchodził bal ani tańce, zaprosiłem go (nie zdradzając mu niecodziennego powodu) na burgunda, najlepszego, jaki można było dostać na okręcie (raz tylko kończy się pięćdziesiąt lat, myślałem sobie), beaune 1933 ze świetnym bukietem, pozostawiającym po sobie smak nieco cierpki, zbyt krótkotrwały, wino, niestety, nieco mętne, co zresztą mister Lewinowi, któremu smakował nawet kalifornijski burgund, nic nie przeszkadzało. Rozczarowało mnie to wino (otwarcie mówiąc, inaczej wyobrażałem sobie swoje pięćdziesiąte urodziny!), ale na ogół byłem zadowolony. Sabeth ukazywała się tylko przelotnie, żeby wypić łyk citron-pressé, potem zaraz znów jakiś tancerz, ten jej grafik z wąsikami, czasem oficerowie okrętowi w błyszczących mundurach galonowych, jak z operetki, Sabeth w zawsze tej samej niebieskiej wieczorowej sukience, nie można powiedzieć, żeby niegustownej, ale taniej i zbyt dziecinnej... Zastanawiałem się, czy nie iść do łóżka, czułem znów żołądek, siedzieliśmy za blisko orkiestry, piekielny hałas, do tego, gdzie spojrzeć, ta karnawałowa pstrokaczna: lampiony spowite w dym z papierosów i cygar jak słońce w Gwatemali, serpertryny, wszędzie girlandy, dżungla zielonych i czerwonych festonów, panowie w smokingach, czarni jak sępy, których pióra błyszczą tak samo—

O tym wolałem nie myśleć.

Pojutrze, w Paryżu – to było mniej więcej wszystko, o czym mogłem myśleć w tym zamęcie – pójdę do lekarza i nareszcie każę sobie przebadać żołądek.

To był dziwny wieczór—

Mister Lewin był naprawdę zabawny, bo, nie przyzwyczajony do wina, nagle nabrał odwagi, żeby zatańczyć z Sabeth; olbrzymie chłopisko, sięgała mu do piersi, podczas gdy on schylił głowę, aby się nie zaplątać w serpentynach. Sabeth rozmawiając z nim zadzierała głowę. Mister Lewin nie miał ciemnego garnituru i tańczył wszystko w rytmie polki, bo urodził się w Polsce, dzieciństwo w getcie i tak dalej. Sabeth musiała się wspinać, aby mu sięgnąć do ramienia, jak uczennica w tramwaju, kiedy chce złapać uchwyt.

Siedziałem, kołysałem kieliszek z burgundem, zdecydowany nie popadać w sentymentalizm z powodu moich urodzin, i piłem. Wszyscy Niemcy pili sekt czy tam szampana; ciągle myślałem o Herbercie, a raczej o przyszłości niemieckiego cygara i co Herbert robi sam wśród Indian. Później wyszedłem na pokład.

Byłem całkowicie trzeźwy i kiedy odnalazła mnie Sabeth, powiedziałem jej od razu, że się przeziębi w tej cieniutkiej wieczorowej sukience. Ona chciała wiedzieć, czy mi smutno. Bo nie tańczyłem. Uważałem, że te ich dzisiejsze tańce zabawne są, gdy się patrzy, te egzystencjalistyczne hopki, kiedy każdy tańczy dla siebie, wyczynia sam dla siebie różne błżeństwa, zaplątuje się we własne nogi, dygoce jak w febrze, wszystko to trochę epileptyczne, ale wesołe, pełne temperamentu, muszę przyznać, tylko to nie dla mnie.

Dlaczego miałbym być smutny?

Anglii jeszcze nie było widać —

Potem narzuciłem na nią swoją marynarkę, aby się nie zaziębiła; jej włosy nie chciały zwisać z tyłu, taki był wiatr.

Czerwone kominy w świetle reflektorów – Sabeth uważała, że to szalone, taka noc na pokładzie, kiedy wiatr gwizdże we wszystkich linach i trzaska brezent na łodziach ratunkowych, dym z komina—

Ledwo słycać tu było muzykę.

Mówiliśmy o konstelacjach gwiazd – to, co się zwykle mówi, aż do chwili kiedy się okazuje, który z partnerów wie o ciałach niebieskich jeszcze mniej niż ten drugi, reszta to nastrój, czego nie znoszę. Pokazałem jej kometa, którą można było oglądać w owych dniach na północy. Niewiele brakowało, a byłbym powiedział, że to moje urodziny. Stąd ta kometa! Ale to nie nadawało się nawet na żart; kometa widać było już od kilku dni, choć nigdy tak wyraźnie jak tej nocy, co najmniej od 26. IV. Toteż nie powiedziałem nic o swoich urodzinach (28. IV).

Życzę sobie na pożegnanie dwóch rzeczy – powiedziałem. – Po pierwsze, żeby pani nie została stewardessą—

– A po drugie?

Po drugie – powiedziałem – żeby pani nie jechała autostopem do Rzymu. Poważnie! Wolałbym zapłacić za pani bilet kolejowy czy samolot—

Ani przez chwilę wtedy nie przypuszczałem, że kiedykolwiek pojedziemy razem do Rzymu, Sabeth i ja, bo nie miałem w Rzymie nic do roboty. Zaśmiała mi się prosto w twarz.

Źle mnie zrozumiała.

Po północy zastawiono zimny bufet, jak zazwyczaj – powiedziałem, że jestem głodny, i zaprowadziłem Sabeth na dół, bo widziałem, że drży mimo mojej marynarki. Drżał jej podbródek.

Na dole wciąż jeszcze trwał bal – Zdenerwowało mnie jej przypuszczenie, że jestem smutny, bo samotny. Jestem przyzwyczajony do samotnych podróży. Żyję, jak każdy prawdziwy mężczyzna, swoją pracą. Przeciwnie, nie mam zamiaru tego zmieniać i uważam się za szczęśliwego mogąc mieszkać sam, moim zdaniem to jedyna możliwa sytuacja dla mężczyzny; lubię się sam budzić i móc nie mówić ani słowa. Gdzie jest kobieta zdolna to zrozumieć? Samo pytanie, jak spałem, irytuje mnie, bo myślami jestem już dalej, przyzwyczajony planować naprzód, a nie cofać się myślami wstecz. Czułości wieczorem – owszem, ale czułości rano są po prostu nie do zniesienia i więcej niż trzy czy cztery dni spędzone z kobietą były dla mnie, otwarcie mówiąc, zawsze początkiem obłudy. Sentymenty od rana – tego nie zniesie żaden mężczyzna. To już lepiej samemu zmywać!

Sabeth śmiała się—

Śniadanie z kobietą – owszem, wyjątkowo w czasie wakacji, śniadanie na balkonie, ale otwarcie mówiąc, dłużej niż trzy tygodnie nie mogłem tego nigdy wytrzymać; to jeszcze jakoś ujdzie w czasie wakacji, kiedy i tak nie wiadomo, co począć przez cały dzień, ale po trzech tygodniach (najpóźniej) zaczynam tęsknić do turbin; albo to zbijanie bąków przez kobiety rano, na przykład kobieta, która rano, zanim się ubierze, zaczyna inaczej układać kwiaty w wazonie; a przy tym rozmówki o miłości i małżeństwie, tego, uważam, nie wytrzyma żaden mężczyzna – albo udaje. Myślałem o Ivy; Ivy znaczy bluszcz i tak się nazywają dla mnie właściwie wszystkie kobiety. Chcę być sam! Już widok pokoju o dwóch łóżkach, z wyjątkiem pokoju hotelowego, który się wkrótce opuści, już pokój o dwóch łóżkach jako trwałe urządzenie, jest dla mnie czymś takim, że zaczynam myśleć o Legii Cudzoziemskiej—

Sabeth uważała, że jestem cyniczny.

A jednak jest tak jak mówię.

Nie powiedziałem już nic więcej, choć mister Lewin, jak sędzę, nie rozumiał ani słowa; zakrył dłonią swój kieliszek, kiedy chciałem mu dolać, Sabeth, która uważała, że jestem cyniczny, porwano do tańca... Nie jestem cyniczny. Jestem tylko – czego kobiety nie znoszą – bardzo rzeczowy. Nie jestem wcale nieludzki, jak uważa Ivy, i nic nie mam przeciwko małżeństwu; najczęściej kobiety same uważają, że się do niego nie nadają. Nie mogę cały czas doznawać uczuć. Samotność jest jedynym, możliwym dla mnie stanem, bo nie chcę unieszczęśliwiać kobiet, a kobiety mają skłonność do tego, żeby się czuć nieszczęśliwe. Przyznaję: być samemu nie zawsze jest wesoło, nie zawsze jest się w formie. Co prawda przekonałem się, że kobiety, kiedy któryś z nas nie jest w formie, też nie pozostają w formie; zaczynają się nudzić, a wtedy wymówki, że się jest nieczułym. Tak że, otwarcie mówiąc, wolę się nudzić sam. Przyznaję: ja też nie zawsze mam ochotę na telewizję (choć, mówiąc nawiasem, jestem przekonany, że telewizja w najbliższych latach jeszcze się poprawi), wydany jestem na pastwę nastrojów, ale właśnie wtedy wolę być sam. Do najszcześniejszych chwil, jakie znam, należą te, kiedy opuszczam jakieś towarzystwo, wsiadam do swego wozu, zatraskuję drzwiczki i wtykam kluczyk, nastawiam radio, zapalam papierosa zapalniczką, włączam bieg i stopą przyciskam gaz; obcowanie z ludźmi stanowi dla mnie pewien wysiłek, również z mężczyznami. Co się tyczy nastrojów, to nie poddaję się im, jak powiedziałem. Czasem człowiek się rozkleja, ale potem z powrotem zbiera się do kupy. Objawy zmęczenia! Podobnie jak ze stałą. Uczucia, stwierdziłem to, są tylko objawami zmęczenia, nic więcej, w każdym razie u mnie. I wtedy kłapa! Wtedy na samotność nie pomaga nawet pisanie listów. To nic nie zmienia; słyszy się potem tylko własne kroki w pustym mieszkaniu. I jeszcze gorzej: głośnik radiowy, który zachwała pokarm dla psów,

proszek do pieczenia czy co tam jeszcze, nagle milknie. Do usłyszenia jutro rano! A jest dopiero druga. Wtedy gin, choć ja ginu, tak tylko, żeby pić, nie znoszę, potem głosy z ulicy, klaksony albo łoskot kolejki podziemnej, od czasu do czasu warkot samolotów – to zresztą wszystko jedno. Zdarza się, że po prostu zasypiam z gazetą na kolanach, papieros na dywanie. Podrywam się. Po co? Jeszcze jakaś późna audycja symfoniczna, którą wyłączam. I co dalej? Wtedy stoję po prostu z kieliszkiem ginu, którego nie znoszę, i piję; stoję, żeby nie słyszeć kroków w mieszkaniu, tylko moich własnych kroków. Wszystko to nie jest tragiczne, tylko męczące: nie można sobie samemu powiedzieć dobranoc.

Czy to jest powód, żeby się żenić?

Sabeth, wróciwszy po przetańczeniu żeby napić się soku cytrynowego, trąciła mnie: mister Lewin, ten olbrzym, spał uśmiechnięty, jak gdyby i przez sen widział cały ten rejwach, serpentyny, balony dziecinne, którymi ciskają w siebie roztańczone pary.

O czym myślałem cały czas – zapytała.

Nie wiedziałem.

A o czym ona myślała? – spytałem.

Ona wiedziała od razu:

– Pan powinien się ożenić, mister Faber!

Potem znowu ten przyjaciel, który szukał jej po wszystkich pokładach, żeby ją poprosić do tańca, jego spojrzenie w moim kierunku—

– Ależ proszę bardzo! – powiedziałem.

Zatrzymałem tylko jej torebkę.

Wiedziałem dobrze, o czym myślę. Nie ma na to słów. Podniosłem kieliszek, aby powąchać wino, i nie chciałem myśleć o tym, jak parzą się mężczyzna z kobietą, a jednak mimowolny obraz, zdumienie, przestach, jak w półśnie. Dlaczego właśnie tak? Nagle myśl jakby z zewnątrz: dlaczego właśnie podbrzuszem? Kiedy się tak siedzi i patrzy na tańczących, i wyobraża się sobie z całą dokładnością, wydaje się to niemożliwe dla ludzi. Dlaczego właśnie tak? To jest absurdalne, kiedy nie zmusza do tego popęd, człowiekowi zdaje się, że oszalał, jeśli w ogóle taka myśl przyszła mu do głowy, po prostu perwersja.

Zamówiłem piwo—

Może to jest tak tylko ze mną.

Tańczący obok przytrzymywali nosami pomarańczę i tak tańczyli—

A dla Lejzora Lewina jak to jest?

Chrapał naprawdę, nie było co z nim mówić, miał półotwarte usta – jak czerwonawy pyszczyk ryby za zieloną szybą akwarium, stwierdziłem.

Myślałem o Ivy.

Kiedy obejmowałem Ivy, myślałem przy tym: muszę dać do wywołania moje filmy, zadzwonić do Williamsa! Mogłem w pamięci rozwiązywać zadania szachowe, podczas gdy I'm happy, o Dear, so happy, o Dear, o Dear! Czułem jej dziesięć palców na moim karku, widziałem jej epileptycznie szczęśliwe usta i obraz na ścianie, znów krzywo wiszący, słyszałem windę, zastanawiałem się, jaką datę dzisiaj mamy, słyszałem jej pytanie: You're happy? i zamykałem oczy, żeby myśleć o Ivy, którą trzymałem w ramionach, i całowałem przez nieuwagę własny łokieć. Potem jest wszystko jakby zapomniane. Zapominam zadzwonić do Williamsa, choć cały czas o tym myślałem. Stoję w otwartym oknie i palę nareszcie papierosa, podczas gdy Ivy przygotowuje herbatę, i nagle wiem, jaka jest data. Ale to, jaka jest data, nie gra żadnej roli. Wszystko jest tak, jak gdyby się nic nie zdarzyło! Potem słyszę, że ktoś wszedł do pokoju, i odwracam się, a to Ivy w szlafroku, niosąca dwie filiżanki herbaty, podchodzę więc do niej i mówię: Ivy! i całuję ją, bo dobry z niej kompan, choć nie pojmuję, że wolałbym być sam – Nagle nasz okręt się zatrzymał.

Mister Lewin, nagle obudzony, choć nie powiedziałem ani słowa, spytał, czy już jesteśmy w Southampton.

Światła w oddali—

Prawdopodobnie Southampton.

Mister Lewin wstał i wyszedł na pokład.

Ja piłem piwo i usiłowałem sobie przypomnieć, czy i z Hanną (niegdyś) też to wszystko było absurdalne, czy zawsze było absurdalne.

Wszyscy wyszli na pokład.

Kiedy Sabeth znów weszła do sali z serpentynami, aby wziąć swoją torebkę, zdziwiłem się: pożegnała swego przyjaciela, który zrobił kwaśną minę, i usiadła przy mnie. Miała twarz jak Hanna, kiedy była dziewczyną! Poprosiła o papierosy, chciała w dalszym ciągu wiedzieć, nad czym ja medytuję cały czas, coś jednak musiałem powiedzieć: podałem jej ogień, który rozświetlił jej młodą twarz, i, zapytałem, czy chciałaby za mnie wyjść za mąż.

Sabeth zaczerwieniła się.

Czy ja to mówię poważnie?

Czemu nie!

Rozpoczęło się wyładowywanie statku, co trzeba było zobaczyć; było zimno, ale to obowiązek honorowy, panie dygotały w wieczorowych sukniach, mgła, noc pełna świateł, panowie w smokingach, obejmujący swoje panie, aby je rozgrzać, reflektory oświetlające wyładunek, panowie w pstrokatych papierowych czapkach, hałas dźwigów, ale wszystko we mgle; światła latarni morskich na wybrzeżu—

Staliśmy bez ruchu.

Powiedziałem coś, czego nigdy nie chciałem powiedzieć, ale co się rzekło, to się rzekło, napawałem się naszym milczeniem, byłem znów całkiem trzeźwy, nie miałem przy tym najlżejszego pojęcia, o czym myślę, prawdopodobnie o niczym

Moje życie było w jej ręku—

Na chwilę przyszedł mister Lewin, nie przeszkadzał właściwie, przeciwnie, byliśmy bardzo radzi, Sabeth też, jak myślę, staliśmy wzięwszy się pod ręce i gawędziliśmy z mister Lewinem, który odespał już burgunda, naradzaliśmy się na temat napiwków i tak dalej. Nasz okręt stał na kotwicy najmniej godzinę, zaczęło dnieć. Kiedyśmy znów zostali sami na mokrym pomoście i kiedy Sabeth zapytała, czy ja to mówię na serio, pocałowałem ją w czoło, potem w zimne i drżące powieki, drżała na całym ciele, potem w usta – i przeląknęłam się. Była mi bardziej obca niż jakakolwiek inna dziewczyna. Jej półotwarte usta – to było nie do zniesienia; scałowałem łyż z jej oczu, nie było nic do powiedzenia, to było niemożliwe.

Następnego dnia przybycie do Hawru.

Padła deszcz i stałem na górnym pokładzie, kiedy obca dziewczyna z rudawymi włosami, uczesanymi w koński ogon, szła po mostku z pakunkami w obu rękach, co nie pozwalało jej pomachać. Zobaczyła, że ja do niej macham, jak sądzę. Chciałem filmować, machałem ciągle, ale nie widziałem jej w tłumie. Później na komorze celnej, właśnie kiedy miałem otworzyć moją walizę, zobaczyłem jeszcze raz jej rudawe włosy; kiwała do mnie głową i uśmiechała się, z pakunkami w obu rękach, oszczędzała na tragarzu i dźwigała za duży ciężar, nie mogłem jej jednak pomóc, znikła w ścisku – nasze dziecko! Ale tego nie mogłem wówczas wiedzieć, a jednak dławiło mnie coś w gardle, kiedy widziałem, jak ona po prostu znika w tłumie. Lubiałem ją. Tyle tylko wiedziałem. W pociągu bezpośrednim do Paryża mogłem jeszcze raz przejść przez wszystkie wagony. Po co? Przecież pożegnaliśmy się.

W Paryżu natychmiast zatelefonowałem do Williamsa, żeby bodaj ustnie zdać mu raport; powiedział dzień dobry (hello) i nie miał czasu słuchać moich wyjaśnień. Zadałem sobie pytanie, czy coś nie zaszło... Cały tydzień w Paryżu był, jak zwykle, wypełniony konferencjami, mieszkałem jak zwykle na Quai Voltaire, dostałem znów mój pokój z widokiem na Sekwanę i na Luwr, którego jeszcze nigdy nie zwiedzałem, choć był naprzeciw.

Williams był jakiś dziwny—

– It's okay – powiedział. – It's okay – powtarzał, kiedy zdawałem mu sprawę z mojej krótkiej podróży po Gwatemali, która jednak, jak się okazało w Caracas, wcale nie spowodowała zwłoki, bo nasze turbiny nie były gotowe do montażu, nie mówiąc już o tym, że na konferencję w Paryżu, która była najważniejszym wydarzeniem miesiąca, wcale się nie spóźniłem. – It's okay – powiedział jeszcze, gdy mu opowiedziałem o okropnym samobójstwie mego przyjaciela. – It's okay – i na zakończenie: – What about some holidays, Walter?

Nie rozumiałem go.

– What about some holidays? – powiedział. – You're looking like...

Ktoś nam przerwał rozmowę.

– This is Mr. Faber, this is...

Czy Williams wziął mi za złe, że nie poleciałem samolotem, tylko raz, wyjątkowo, wróciłem okrętem, tego nie wiem; jego aluzja, że przydałyby mi się wakacje, mogła być zrozumiana tylko w sensie ironicznym, bo byłem opalony jak rzadko, po tym żarciu na okręcie trochę mniej chudy, a przy tym opalony—

Williams był jakiś dziwny—

Później, po konferencji, poszedłem do restauracji, której dotąd nie znałem, samotny i rozstrojony, bo myślałem wciąż o Williamsie. Dotąd nie bywał małostkowy. Miał może na myśli, że ja w Gwatemali albo gdzie indziej na trasie miałem jakąś love affair? Jego śmieszek uraził mnie, bo w zawodowych sprawach, jak wspomniałem, jestem wcieleniem sumienności; jeszcze nigdy – i o tym Williams dokładnie wiedział! – nie spóźniłem się na konferencję bodaj o pół godziny z powodu jakiejś kobiety. Taka rzecz w ogóle nie mogłaby mi się zdarzyć. Przede wszystkim jednak denerwowało mnie, że w ogóle myślę o tej jego nieufności Czy czymś w tym rodzaju, o tym powtarzaniu: It's okay, i że tak jestem tym zaabsorbowany, że kelner traktuje mnie też jak idiotę.

– Beaune, monsieur, c'est un vin rouge.

– It's okay – odpowiedziałem.

– Du vin rouge – powiedział – du vin rouge avec des poissons?

Zapomniałem po prostu, co zamówiłem, co innego miałem w głowie; nie było jednak powodu, żeby się czerwienić, wściekało mnie, że ten kelner (jakby obsługiwał barbarzyńcę) tak mnie onieśmiela. Ostatecznie nie mam powodu, żeby odczuwać kompleksy niższości, wykonuję swoją pracę, nie mam ambicji, żeby być wynalazcą, ale sądzę, że potrafię tyle samo co ten baptysta z Ohio, który stoił, sobie żarciki z inżynierów; to, co my robimy, jest potrzebniejsze, kieruję montażami, gdzie miliony wchodzi w grę, miewałem już pod sobą całe elektrownie, pracowałem w Persji i w Afryce (Liberia), i w Panamie, Wenezueli, Peru i nie żyję na księżycu, jak najwyraźniej uważał ten kelner.

– Voilà, monsieur!

Całe przedstawienie, kiedy pokazują butelkę, potem ją otwierają, potem nalewają łyk na próbę – pytają:

– Il est bon?

Nienawidzę poczucia niższości.

– It's okay – powiedziałem i nie pozwoliłem się onieśmielić, zauważyłem natychmiast odór korka, ale nie chciało mi się spierać. – It's okay.

Miałem co innego w głowie.

Byłem jedynym gościem, bo to jeszcze wczesny wieczór, i irytowało mnie lustro naprzeciwko, lustro w złotych ramach. Ile razy spojrziałem, widziałem siebie, że tak powiem, w charakterze portretu przodka; Walter Faber jedzący sałatę, w złotych ramach. Miałem cienie pod oczami, nic więcej, poza tym byłem opalony, jak powiedziałem, o wiele mniej chudy niż zazwyczaj, wyglądałem świetnie. Jestem (wiedziałem o tym i bez lustra) mężczyzną w sile wieku, szpakowatym, ale wysportowanym. Nie mam w sobie nic z pięknisia. To, że mój nos jest trochę za długi, niepokoiło mnie, kiedy byłem wyrostkiem, później już nigdy; od tego czasu znalazło się dość kobiet, aby mnie uwolnić od fałszywego poczucia niższości. Irytował mnie tylko i wyłącznie ten lokal: gdzie spojrzeć wszędzie lustra, coś obrzydliwego, i to nie kończące się czekanie na zamówioną rybę. Zareklamowałem stanowczo, choć czasu miałem dość, ale zdawało mi się, że kelner nie traktuje mnie poważnie, nie wiem dlaczego; pusty lokal i pięciu kelnerów, którzy szepczą ze sobą, a jeden jedyny gość: Walter Faber, kruszący chleb, w złotych ramach, na które spoglądałem od czasu do czasu; ryba, kiedy ją wreszcie podano, była wspaniała, ale mi nie smakowała, nie wiem, co się ze mną działo.

– You are looking like...

Tylko z powodu tej głupawej uwagi Williamsa (zresztą on lubi mnie, wiem o tym!) spoglądałem ciągle, zamiast jeść rybę, w to śmieszne lustro, które prezentowało mi osiem moich odbitek: Oczywiście, człowiek się starzeje – Oczywiście, niedługo pojawi się łysina—

Nie jestem przyzwyczajony chodzić po doktorach, nigdy w życiu nie byłem chory, z wyjątkiem ślepej kiszki – spoglądałem w lustro tylko dlatego, że Williams powiedział: What about some holidays, Walter? A przecież byłem opalony jak rzadko. W oczach młodej dziewczyny, która chciała zostać stewardessą, byłem mężczyzną statecznym, być może, ale nie zmęczonym życiem, przeciwnie, zapomniałem nawet pójść w Paryżu do doktora, jak to sobie właściwie postanowiłem.

Czułem się najzupełniej normalnie.

Pewnego dnia (niedziela) poszedłem do Luwru, ale nie było tam ani śladu dziewczyny z rudawym końskim ogonem, mimo to spędziłem w tym Luwrze całą godzinę.

O mojej pierwszej przygodzie z kobietą, takiej najpierwszej, zapomniałem, to znaczy, nic z niej nie pamiętam, jeżeli tego nie chcę. Była to małżonka mego nauczyciela, który mnie wówczas, na krótko przed maturą, zaprosił do siebie na kilka weekendów; pomagałem mu przy korekcie nowego wydania jego podręcznika, żeby coś zarobić. Moim najgorętszym pragnieniem był motocykl, okazjny, mógł sobie być stary, byle tylko jeździł. Musiałem rysować figury geometryczne tuszem, prawo Pitagorasa i tak dalej, bo byłem najlepszym uczniem z matematyki i geometrii. Jego żona była, naturalnie z punktu widzenia mego ówczesnego wieku, poważną kobietą, czterdziestoletnią, jak myślę; była chora na płuca, i kiedy całowała moje chłopięce ciało, wydawała mi się jak obłąkana albo jak suka; przy tym nazywałem ją nadal panią profesorową. To było absurdalne. Zapomniałem o niej od jednego do drugiego razu; tylko kiedy mój nauczyciel wchodził do klasy i bez słowa kładł zeszyty na pulpicie, bałem się, że się dowiedział i że cały świat się o tym dowie. Najczęściej wywoływał mnie pierwszego, kiedy rozdawał zeszyty, i musiałem wychodzić po swój przed całą klasą – jako jedyny, który nie zrobił ani jednego błędu. Umarła jeszcze tegoż lata i zapomniałem o niej, jak się zapomina o wodzie, którą się piło w chwili pragnienia. Naturalnie, uważałem, że to źle tak o niej zapomnieć, i zmuszałem się, aby raz na miesiąc pójść na jej grób; wyjmowałem parę kwiatów z teczki, kiedy nikt nie widział, i kładłem je ukradkiem na grobie, na którym jeszcze nie było płyty, tylko numer. Wstydzilem się przy tym za każdym razem, że jestem rad, kiedy to już mam za sobą.

Tylko z Hanną nie było to nigdy absurdem.

Była wiosna, ale padał śnieg, kiedyśmy siedzieli w Tuileryach, śnieżycą przy błękitnym niebie; nie widzieliśmy się już prawie od tygodnia i ona zdawała się cieszyć z naszego spotkania. Z powodu papierosów, była bez forsy.

– W to także nie wierzyłam – powiedziała – że pan nigdy nie chodzi do Luwru.

– W każdym razie rzadko.

– Rzadko! – zaśmiała się. – Przedwczoraj już pana widziałem na dole, tam gdzie sztuka starożytna, i wczoraj też.

Naprawdę była jeszcze dzieckiem, chociaż zaciekle palaczką, uważała to naprawdę za przypadek, żeśmy się jeszcze raz w tym Paryżu spotkali. Znowu miała na sobie czarne farmerki i espadryle, do tego płaszczyk z kapturem. Była naturalnie bez kapelusza, tylko ten rudawy koński ogon, śnieg padał, że tak powiem, z jasnego nieba.

– Czy nie jest pani zimno?

– Nie – powiedziała – ale panu!

O godzinie szesnastej miałem znowu konferencję—

– Może byśmy się napili kawy? – powiedziałem.

– Och – powiedziała – bardzo chętnie.

Kiedyśmy przechodzili przez Place de la Concorde, popędzani przez gwizdek policjanta, wzięła mnie pod rękę. Tego się nie spodziewałem. Musieliśmy biec, bo policjant właśnie podniósł białą pałkę, lawina aut ruszyła na nas z miejsca; na chodniku, stojąc z nią pod rękę, stwierdziłem, że zgubiłem kapelusz – leżał daleko, w brunatnym błocie, zmiażdżony przez koła. – Eh bien! – powiedziałem i poszedłem dalej, trzymając dziewczynę pod rękę, bez kapelusza, jak młodzieniaszek pośród zamieci.

Sabeth była głodna.

Żeby nie być zrozumiiałym, mówiłem sobie, że ją nasze spotkanie cieszy, bo już prawie nie ma pieniędzy; wcinała ciastka tak, że w ogóle nic nie widziała ani nic nie mówiła... Nie można jej było wyperswadować jazdy do Rzymu autostopem; miała nawet dokładny program: Awinion, Nimes, Marsylia niekoniecznie, ale koniecznie Piza, Florencja, Siena, Orvieto, Asyż i czy ja wiem, co jeszcze, próbowała już dziś przed południem, ale widocznie nie na właściwej arterii wylotowej.

– A pani mama o tym wie?

Twierdziła, że tak.

– Mama nie martwi się z tego powodu?

Siedziałem jeszcze tylko dlatego, że trzeba było zapłacić, gotów już do wyjścia, z teczką na polanach; właśnie teraz, kiedy Williams tak dziwnie się zachowywał, nie chciałem spóźnić się na konferencję.

– Naturalnie, że się martwi – powiedziała dziewczyna wyskrobując łyżeczką resztki ciastka, gdyby nie dobre wychowanie, wylizałaby talerz; zaśmiała się – mama zawsze się martwi.

Potem powiedziała:

– Musiałam jej obiecać, że nie pojedę z byle kim, ale to przecież jasne, nie jestem idiotką.

Zapłaciłem tymczasem.

– Dziękuję panu – powiedziała.

Nie odważyłem się zapytać: co pani robi dziś wieczorem? Coraz mniej wiedziałem, co to właściwie za dziewczyna. Beztroska, ale w jakim sensie? Może pozwala się rzeczywiście zapraszać każdemu mężczyźnie, przypuszczenie, które mnie nie oburzyło, ale sprawiło, że stałem się zazdrosny, nawet sentymentalny.

– Czy zobaczymy się jeszcze? – zapytałem i zaraz dodałem: – Jeżeli nie, to życzę pani wszystkiego dobrego.

Musiałem już naprawdę iść.

– Pani tu jeszcze zostaje?

– Tak – powiedziała – mam przecież czas—

Wstałem.

– Jeżeli pani ma czas – powiedziałem – to może mi pani wyświadczyć przysługę—

Szukałem zgubionego kapelusza.

– Chciałem iść do opery – powiedziałem – ale nie mam jeszcze biletu—

Zdziwiła mnie własna przytomność umysłu, oczywiście nigdy dotąd nie byłem w operze, ale Sabeth ze swoją znajomością ludzi nie wątpiła ani przez sekundę, choć nie wiedziałem, co dają w operze, i wzięła pieniądze na bilet, gotowa wyświadczyć mi przysługę.

– Jeżeli pani ma także otochę – powiedziałem – to niech pani weźmie dwa bilety i spotkamy się tutaj o siódmej.

– Dwa?

– To jest podobno wspaniałe!

Słyszałem o tym od Mrs. Williams.

– Mister Faber – powiedziała Sabeth – ależ ja nie mogę tego przyjąć—

Na konferencję spóźniłem się.

Naprawdę nie poznałem profesora O., kiedy tak nagle stanął przede mną: – Gdzie się panu śpieszy, Faber, dokąd? – Jego twarz nie jest nawet blada, ale całkowicie zmieniona. Wiem tylko tyle: znam tę twarz. Znam jego śmiech, ale skąd? Musiał to zauważyć. – Czy pan mnie nie poznaje? – Jego śmiech stał się wstrętny. – Tak, tak – śmiał się – przeżyłem to i owo. – Jego twarz nie jest już twarzą, tylko czaszką obciągniętą skórą, no i ma jeszcze mięśnie, od których zależy mimika, i ta mimika przypomina mi profesora O., ale to jest czaszka, o wiele za szeroki uśmiech szpeci jego twarz, o wiele za szeroki w stosunku do oczu, które leżą gdzieś głęboko. – Panie profesorze! – mówię i muszę uważać, aby nie powiedzieć: Już wiem, mówiono mi, że pan umarł. Zamiast tego: – Co słyshać? – Nigdy dotąd nie był tak serdeczny, zawsze go ceniłem, ale tak serdeczny jak teraz, kiedy trzymałem drzwiczki taksówki, nie był jeszcze nigdy dotąd. – Wiosna w Paryżu! – zaśmiał się i nie rozumiałem, dlaczego się tak ciągle śmieje. Znam go jako profesora politechniki, a nie jako kłowna, ale on ledwo otworzy usta, wygląda, jakby się śmiał. – Tak, tak – śmieje się – teraz mam się znowu lepiej! – Zresztą on wcale się nie śmiał, czaszka nie może się śmiać, tylko tak wyglądało, i zacząłem przeproszać, że tylko przez pośpiech nie poznałem go od razu. Profesor ma brzuch, jakiego nie miał nigdy przedtem, brzuch-balon, który sterczy spod żeber, wszystko inne jest chude, skóra jak wygarbowana albo jak glina, oczy żywe, ale głęboko zapadnięte. Coś tam zacząłem opowiadać. Uszy ma odstające. – Dokąd to tak śpiesznie! – śmiał się i zapytał, czy bym nie poszedł z nim na aperitif. Jego serdeczność, jak powiedziałem, jest też o wiele za duża; był niegdyś moim profesorem w Zurychu, bardzo go ceniłem, ale naprawdę nie mam czasu na aperitif. – Kochany panie profesorze! – Tego jeszcze nigdy nie powiedziałem. – Kochany panie profesorze! –

powiadam, bo on bierze mnie pod rękę i wiem to, co wszyscy wiedzą; ale on wydaje się o tym nie wiedzieć. Śmieje się. – No, to innym razem! – powiada, a ja wiem dobrze, że ten człowiek właściwie już umarł, i odpowiadam: – Chętnie – po czym wsiadam do taksówki – Konferencja nic mnie nie obchodziła.

Profesor O. był dla mnie zawsze czymś w rodzaju wzoru, choć nie miał nagrody Nobla, nie miał też spośród profesorów Politechniki w Zurychu sławy światowej, jednakże był to poważny fachowiec. Nigdy nie zapomnę, jakżeśmy – studenci w białych fartuchach kreślarskich – stali dookoła niego i śmieli się z jego odkrycia. Podróż poślubna (tak zawsze mówił) wystarcza najzupełniej, potem znajdziecie wszystko, co ważne, w publikacjach, uczcie się obcych języków, panowie, ale podróże, panowie, to średniowieczny zabytek, mamy już dziś środki komunikacji, a cóż dopiero jutro czy pojutrze, środki komunikacji, które nam dostarczają świat do domu, to już tylko atawizm przenosić się z miejsca na miejsce. Panowie się śmieją, ale tak jest, podróżowanie to atawizm, nadejdzie dzień, kiedy w ogóle ustanie ruch komunikacyjny i tylko nowożeńcy będą jeździli dorożkami po świecie, nikt więcej, śmiejcie się, moi panowie, ale wy to jeszcze przeżyjecie!

Nagle znalazł się w Paryżu.

Może dlatego śmiał się cały czas. Może to nieprawda, że on ma (jak mówiono) raka żołądka, i śmieje się, bo już od dwóch lat wszyscy mówią, że lekarze nie dają mu dwóch miesięcy życia, a on się z nas śmieje; jest taki pewny, że jeszcze się kiedyś zobaczymy—

Konferencja trwała niecałe dwie godziny.

– Williams – powiedziałem – I changed my mind.

– What's the matter?

– Well, I changed my mind—

Williams odwiózł mnie do hotelu, po drodze tłumaczyłem mu, że jednak myślę o tym, aby trochę odpocząć, zrobić sobie krótkie wakacje, bo to wiosna, coś około dwóch tygodni, jakąś małą podróż (trip) do Awinionu i Pizy, Florencji i Rzymu; nie był teraz wcale dziwny, przeciwnie, Williams był wspaniały, jak zwykle; natychmiast zaproponował mi swego citroena, bo następnego dnia miał lecieć do New Yorku.

– Walter – powiedział – have a nice time!

Ogoliłem się i przebrałem. Na wypadek, jeżeli coś wyjdzie z tej opery. Stawiłem się o wiele za wcześnie, choć szedłem pieszo przez. Pola Elizejskie. Usiadłem w pobliskiej kawiarni, na oszklonej werandzie ogrzewanej podczerwonymi promieniami, i jeszcze nie zacząłem pić mego pernodu, kiedy obca dziewczyna z rudawym końskim ogonem przeszła tuż obok, nie widząc mnie, również za wcześnie, mogłem na nią zawołać—

Usiadła w kawiarni.

Byłem szczęśliwy i piłem mój pernod nie śpiesząc się, przyglądałem się jej przez szybę werandy, jak zamawiała coś, jak czekała, jak paliła i raz spojrziała na zegarek. Miała na sobie czarny płaszczyk z kapturem, zapinany na kołeczki, pod nim niebieską wieczorową sukienkę, gotowa do pójścia na operę, młoda dama, która sprawdza kolor swej szminki. Piła citron-pressé. Byłem szczęśliwy, jak jeszcze nigdy w tym Paryżu, i czekałem na kelnera, żeby zapłacić i móc wyjść – tam, do dziewczyny, która na mnie czekała! – zresztą byłem całkiem rad, że kelner daje na siebie czekać, choć protestowałem; nie mogłem być już szczęśliwszy niż teraz.

Odkąd wiem, jak to się wszystko stało, przede wszystkim w związku z faktem, że młoda dziewczyna, która towarzyszyła mi do opery paryskiej, była tym samym dzieckiem, którego nie chcieliśmy mieć oboje (Hanna też) ze względu na nasze osobiste warunki, niezależnie od ówczesnej sytuacji politycznej, rozmawiałem z wieloma różnymi ludźmi o tym, jak się ustosunkowują do przerywania ciąży, i stwierdziłem, że oni też (jeżeli się rzecz rozważy gruntownie) stoją na moim stanowisku. Przerywanie ciąży jest dzisiaj rzeczą samą przez się zrozumiałą. Zasadniczo sprawę biorąc: do czego byśmy doszli bez przerywania ciąży? Postępy medycyny i techniki wymagają odpowiedzialnych ludzi do nowych zadań. Potrojenie się liczby ludności w ciągu jednego stulecia. Przedtem nie istniała higiena. Poczynać i rodzić, i pozwalać umrzeć w pierwszym roku życia, jak to się podoba naturze, to prymitywniejsze, ale nie bardziej etyczne. Walka z gorączką popołożową. Cesarskie cięcie. Inkubatory dla wcześniaków. Bierzemy dziś życie poważniej, niż to było dawniej. Jan Sebastian Bach miał trzynaścioro dzieci (albo coś koło tego), ale z tego nie wyżyło nawet 50%. Ludzie to nie króliki, konsekwencja postępu: możemy tę sprawę regulować sami. Przeludnienie zagrażające naszemu globowi. Mój doktor był w Afryce Północnej i mówił dosłownie: kiedy Arabowie dojdą do tego, aby nie załatwiać naturalnych potrzeb dookoła swoich domów, musimy się liczyć z podwojeniem się ludności arabskiej w ciągu dwudziestu lat. Natura tak postępuje wszędzie: nadprodukcja, aby zachować ciągłość gatunku. Mamy inne sposoby, aby zachować ciągłość gatunku. Świętość życia! Naturalna nadprodukcja (jeżeli będziemy rodzili bezmyślnie jak zwierzęta) doprowadzi do katastrofy; nie do utrzymania gatunku, tylko do zniszczenia gatunku. Ilu ludzi może wyżywić ziemia? Pomnożenie dóbr jest możliwe, zadanie UNESCO:

uprzemysłowienie zacofanych gospodarczo krajów, ale to pomnożenie nie jest nieograniczone. Polityka stoi przed zupełnie nowymi problemami. Rzut oka na statystykę: na przykład cofanie się gruzlicy, sukcesy profilaktyki, cofnięcie się z 30% na 8%. Pan Bóg! On to robił przy pomocy zarazy; myśmy mu zarazy wytrącili z rąk. Wniosek stąd: musimy mu dalsze rozmnażanie się też wytrącić z rąk. Nie ma powodów do wyrzutów sumienia, przeciwnie: godność człowieka polega na tym, żeby działać rozsądnie i decydować samemu. Jeżeli nie, to zastąpimy zarazy wojnami. Koniec z romantyką. Kto przeciwstawia się przerywaniu ciąży z powodów zasadniczych, jest romantykiem i człowiekiem nieodpowiedzialnym. To nie powinno się dziać na skutek lekkomyślności, jasne, ale zasadniczo: musimy spojrzeć w oczy faktom, na przykład temu faktowi, że egzystencja ludzka jest, ostatecznie, także sprawą surowców. Nieodpowiedzialne popieranie rozrodczości przez państwo w krajach faszystowskich, ale i we Francji. Zagadnienie przestrzeni życiowej. Nie wolno zapominać o automatyzacji: nie potrzebujemy już tylu ludzi. Rozsądniej byłoby podnieść standard życia. Wszystko inne prowadzi do wojny i totalnego zniszczenia. Wciąż jeszcze bardzo rozpowszechniona ciemnota i brak rzeczowości. Największe nieszczęścia sprowadzają moralisci. Przerywanie ciąży: konsekwencja kultury, tylko w dżungli wszystko poczyną się i rodzi, jak tego chce przyroda. Człowiek planuje. Wiele nieszczęścia płynie z romantyki, niezliczona ilość katastrofalnych małżeństw, które dzisiaj jeszcze zawiera się tylko ze strachu przed przerywaniem ciąży. Różnica między zapobieganiem a przerywaniem? W każdym razie jest sprawą ludzkiej woli nie mieć dzieci. Ile dzieci jest naprawdę pożądanym? Co innego, że kobieta raczej go pragnie, kiedy już do tego doszło – automatyzm instynktu: zapomina, że chciała go uniknąć, przy tym

poczucie władzy nad mężczyzną, macierzyństwo jako środek gospodarczej walki kobiety. Co za przeznaczenie? To śmieszne nazywać przeznaczeniem coś, co płynie z mechaniczno-fizjologicznego przypadku, to niegodne współczesnego człowieka. Dzieci są czymś, czego pragniemy albo nie pragniemy. Szkodliwość zabiegu dla kobiety? Fizjologicznie żadna, jeżeli zabieg nie jest dokonany przez fuszera; psychicznie tylko wtedy, jeżeli dana osoba całkowicie ulega pojęciom religijnym lub moralnym. Odrzucamy przyrodę jako bożka! Wtedy trzeba już być konsekwentnym: nie używać penicyliny, piorunochronów, okularów, DDT, radaru i tak dalej. Żyjemy na pewnym poziomie technicznym, człowiek opanował naturę, człowiek jako inżynier, i kto się wypowiada przeciwko temu, nie powinien także korzystać z mostów, których przyroda nie zbudowała. Tu już trzeba być konsekwentnym i odrzucić wszelką interwencję: umierać na każde zapalenie ślepej kiszki, skoro to ma być przeznaczenie! To już wyrzec się żarówek, silników, energii atomowej, maszyn rachunkowych, narkozy – to już jazda do dżungli!

Nasza podróż przez Włochy – mogę tylko powiedzieć, że byłem szczęśliwy, bo i dziewczyna, jak myślę, była szczęśliwa mimo różnicy wieku.

Jej żarciki na temat młodych mężczyzn.

– Bubki! – mówiła. – Tego nie możesz sobie wyobrazić, ma się uczucie, że się jest ich matką, i to jest okropne!

Mieliśmy fantastyczną pogodę.

Męczyło mnie tylko jej zapotrzebowanie na sztukę, jej mania oglądania wszystkiego. Ledwośmy się znaleźli we Włoszech, nie było miejscowości, w której nie musiałbym się zatrzymać: Piza, Florencja, Siena, Perugia, Arezzo, Orvieto, Asyż. Nie jestem przyzwyczajony do podróży tego typu. We Florencji zbuntowałem się, bo też ten jej Fra Angelico, szczerze mówiąc, wydał mi się nieco kiczowaty. Poprawiłem się potem: naiwny. Nie kwestionowała tego, przeciwnie, była zachwycona. Nic nie mogło być dla niej zbyt naiwne. Delektowałem się natomiast winem campari.

Przypadli mi też do gustu żebracy z mandolinami.

Co mnie interesowało: budowa dróg, mosty, nowy model fiata, nowy dworzec w Rzymie, nowy pociąg-torpeda, nowa maszyna do pisania „Olivetti” —

W muzeach nie mam co robić.

Siedziałem na Piazza San Marco, podczas gdy Sabeth, wyłącznie przez przekorę, jak sądzę, zwiedzała cały klasztor, i piłem campari, jak zwykle. W ostatnich dniach, poczynając od Avinionu, napatrzyłem się różnaitości, byle tylko być blisko niej. Nie widziałem powodu do zazdrości, a jednak byłem zazdrosny. Nie wiedziałem, co taka młodziutka dziewczyna może sobie myśleć. Czy jestem jej szoferem? No, dobrze, w takim razie mam prawo napić się campari, zanim moja pani wyjdzie z następnego kościoła. Nic by mi nie przeszkadzało być jej szoferem, gdyby nie Awinion. Zastanawiałem się czasami, za co ją mam uważać. Jej pomysł: autostopem do Rzymu! Chociaż ostatecznie tego nie zrobiła, sam ten pomysł budził we mnie zazdrość. Czy to, co się stało w Awinionie, stałoby się z każdym innym mężczyzną?

Myślałem o małżeństwie, jak jeszcze nigdy —

Im więcej pragnąłem tego dziecka, im bardziej je kochałem, tym mniej chciałem je sprowadzić na taką drogę. Spodziewałem się dzień po dniu, że będę mógł się z nią rozmówić, byłem zdecydowany na szczerość, bałem się tylko, że ona mi nie uwierzy albo że mnie po prostu wyśmiej... Ciągle jeszcze uważała, jak sądzę, że jestem cyniczny, a nawet impertynecki (nie w stosunku do niej, ale w stosunku do życia w ogóle) oraz ironiczny, czego ona nie znosiła, i często w ogóle nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Czy mnie w ogóle słuchała? Miałem uczucie, że wcale już nie rozumiem młodzieży. Często wydawałem się sam sobie oszustem. Dlaczego właściwie? Nie chciałem niweczyć jej nadziei, że Tivoli przechodzi wszystko, co kiedykolwiek na świecie widziałem, i że na przykład popołudnie spędzone w Tivoli jest szczęściem do kwadratu; tylko że nie mogłem w to uwierzyć. Jej stała troska, że, nie biorę jej poważnie, była niesłuszna; sam siebie nie brałem poważnie i zawsze coś pobudzało mnie do zazdrości, choć starałem się być młody. Zadawałem sobie pytanie, czy młodzież dzisiejsza (1957) tak całkowicie różni się od młodzieży z moich czasów, i stwierdzałem, że w ogóle nie wiem, jaka jest współczesna młodzież. Obserwowałem Sabeth. Zwiedziłem z nią kilka muzeów tylko po to, żeby być blisko niej, żeby ją widzieć bodaj w odbiciu witryny, gdzie roіło się od etruskich skorup, widzieć jej młodą twarz, jej powagę, jej radość. Sabeth nie wierzyła, że wcale się na tym nie znam, i z jednej strony miała do mnie nieograniczone zaufanie, tylko dlatego że byłem od niej o trzydzieści lat starszy, dziecinne zaufanie, z drugiej strony jednak zupełny brak respektu. Denerwowało mnie to, że oczekiwałem od niej respektu. Sabeth słuchała, kiedy mówiłem o swoich doświadczeniach, jednakże tak, jak się słucho starca: nie przerywając, grzecznie, nie wierząc niczemu, nie przejmując się. Najwyżej przerywała i wpadała w

opowiadanie, aby dać do zrozumienia, że raz już to opowiadałem. Wtedy się wstydziłem. W ogóle znaczyła coś dla niej tylko przyszłość i trochę teraźniejszość, a cudzymi doświadczeniami nie przejmowała się zupełnie, jak wszyscy młodzi. Nie interesowało jej ani odrobinę, że wszystko już kiedyś było i czego się ktoś z tego nauczył lub mógł nauczyć. Zastanawiałem się, czego oczekuje Sabeth od przyszłości, i stwierdziłem: ona sama tego nie wie, tylko po prostu się cieszy. Czy ja mogłem oczekiwać od przyszłości czegoś, czego bym jeszcze nie znał? Z Sabeth było inaczej. Cieszyła się na Tivoli, na mamę, na śniadanie, na przyszłość, kiedy, sama będzie miała dzieci, na swoje urodziny, na płytę patefonową, na rzeczy określone, a przede wszystkim na nieokreślone: na wszystko, czego jeszcze w tej chwili nie ma. To mnie pobudzało do zazdrości, być może, ale nieprawda, że ja sam nie umiem się cieszyć, cieszyłem się każdą chwilą, która się do tego nadawała. Nie fikam koziołków, nie śpiewam, ale się cieszę. I nie tylko z dobrego jedzenia! Ja, być może, nie zawsze potrafię się dobrze wyrazić. Ilu ludzi, których się spotyka, interesuje się moją radością, w ogóle moimi uczuciami? Sabeth uważała, że przesadzam albo udaję. Najbardziej mnie cieszyła jej radość. Dziwiłem się czasem, jak ona niewiele potrzebuje, żeby śpiewać, właściwie nic; rozsuwała firanki, stwierdzała, że nie pada, i zaczynała śpiewać. Niestety, wspomniałem jej kiedyś o moich niedomaganiach żołądkowych; odtąd zawsze myśli, że mnie brzuch boli, macierzyńsko zatroskana, jak gdybym był małoletni. Pod tym względem nasza podróż nie zawsze była łatwa, często śmieszna: ja nudziłem ją moimi życiowymi doświadczeniami, a ona sprawiała, że czułem się stary, gdyż od rana do wieczora czekała ciągle na mój zachwyty...

W wielkim krużganku (MUSEO NAZIONALE) odważyłem się nie słuchać jej Baedekera, przysiadłem na balustradzie i usiłowałem czytać włoską gazetę, miałem po uszy tego zbioru kamiennych ruin. Zastrajkowałem, ale Sabeth była nadal przekonana, że kpię sobie z niej twierdząc, że nie znam się na sztuce – opierała się na jakimś twierdzeniu swojej mamy, że każdy człowiek potrafi przeżyć dzieło sztuki, z wyjątkiem kulturalnego filistra.

– Bardzo łaskawa mama! – powiedziałem.

Jakaś włoska para, która szła przez krużganek, zainteresowała mnie bardziej niż wszystkie posągi, przede wszystkim ojciec, niosący w ramionach śpiące dziecko—

Poza tym nikogo.

Ptaszki ćwierkały, zresztą grobowa cisza.

Potem gdy Sabeth zostawiła mnie samego, schowałem gazetę, której i tak nie czytałem, i stanąłem przed jakimś posągiem, żeby sprawdzić twierdzenie jej mamy. Każdy człowiek może przeżyć dzieło sztuki! – ale moim zdaniem mama się myliła.

Po prostu nudziłem się.

Na małym (oszkłonym) krużganku miałem szczęście: grupa niemieckich turystów, prowadzona przez katolickiego księdza, stłoczyła się przed jakąś płaskorzeźbą, jak przed miejscem katastrofy, tak że mnie to zaciekawiło, i kiedy Sabeth mnie odnalazła (A, jesteś, Walterze, myślałam już, żeś znikł, żeby się napić swego campari!), powiedziałem to, co właśnie usłyszałem od księdza: – NARODZINY WENUS. Przede wszystkim dziewczyna z boku, grająca na flecie, wydaje mi się zachwycająca...

– Zachwycająca – powiedziała Sabeth – to nie jest odpowiednie słowo dla takiej płaskorzeźby. – Uważała, że jest szalowa, po prostu obłądna, maksymalna, genialna, przerażająca.

Na szczęście nadeszli ludzie—

Nie znoszę, kiedy mi ktoś mówi, co powinienem odczuwać; wydaję się sobie wówczas ślepcem, choć dobrze widzę, o czym mowa.

GŁOWA ŚPIĄCEJ ERYNII.

To było moje odkrycie (w tej samej bocznej sali na lewo) bez pomocy bawarskiego księdza; nie znałem nawet tytułu, co mi w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało, przeciwnie, bardziej przeszkadzają mi tytuły, bo i tak się nie orientuję w antycznych imionach, człowiek się wtedy czuje jak na egzaminie... Tutaj uznałem: wspaniałe, całkiem wspaniałe, wstrząsające, niezwykle, głęboko wstrząsające. Była to kamienna głowa dziewczyny, tak leżąca, że patrzyło się na nią jak na twarz śpiącej kobiety, kiedy podnosimy się na łokciu.

– O czym ona śni?

Nie było to właściwe podejście do dzieła sztuki, być może, ale interesowało mnie bardziej niż pytanie, czy pochodzi z trzeciego, czy z czwartego wieku przed Chrystusem... Kiedy znowu spojrzałem na „Narodziny Wenus”, Sabeth powiedziała nagle: – Czekaj! – Miałem się nie ruszać. – O co chodzi? – pytam. – Czekaj! – powiada – kiedy tam stoisz, ta erynia jest o wiele piękniejsza, niesłychane, jaki efekt! – Muszę sam się przekonać, Sabeth nalega, abyśmy zamienili się miejscami. Rzeczywiście robi to wrażenie, ale mnie to wcale nie dziwi; kwestia oświelenia. Kiedy Sabeth (lub ktokolwiek inny) staje przy „Narodzinach Wenus”, rzuca cień padający na twarz „Śpiącej erynii”, z powodu jednostronnego oświelenia od razu staje się ona miększa, żywsza, jakaś dzika.

– Niesłychane – mówi Sabeth – jaki efekt!

Zamieniliśmy się jeszcze raz czy dwa razy miejscami, potem nalegałem, żeby wreszcie pójść dalej, czekała nas jeszcze cała sala posągów, które Sabeth chciała obejrzeć—

Byłem głodny.

Wspomnieć o pewnej ristorante, która mi się przypomniała – wykluczone; nie otrzymałem nawet odpowiedzi na pytanie, skąd Sabeth bierze wszystkie te mądre słowa: archaiczne, linearne, helleńskie, dekoracyjne, sakralne, naturalistyczne, elementarne, pełne ekspresji, kubistyczne, alegoryczne, fideistyczne, kompozycyjne i tak dalej; cały słownik highbrow. Dopiero przy wyjściu, gdzie już nie ma nic do oglądania prócz łuków z antycznego kamienia, prosta, ale poprawna robota murarska, która mnie zainteresowała, Sabeth odpowiedziała mi na pytanie. Przechodziła właśnie przez drzwi obrotowe i mimochodem, jak zwykle, gdy mowa była o mamie:

– Od mamy.

Kiedyśmy zasiedli w ristorante, dziewczyna podobała mi się wciąż na nowo, jej radość przy sałacie, jej dziecinny sposób pochłaniania bułeczek, jej ciekawość dotycząca wszystkiego dokoła, żuła bułeczkę za bułeczką i rozglądała się na wszystkie strony, jej zachwyty przy jakimś hors d'oeuvre, jej niesforność...

A jeśli chodzi o mamę:

Obskubywaliśmy nasze karczochy, maczaliśmy listek za listkiem w majonezie i wysysaliśmy liść po listku, kiedy dowiedziałem się czegoś o owej mądrej pani, która jest jej mamą. Nie byłem ciekaw, otwarcie mówiąc, bo nie cierpię pań intelektualistek. Dowiedziałem się, że studiowała właściwie nie archeologię, tylko filologię, pracuje jednak w instytucie archeologicznym, musi zarabiać, bo rozeszła się z panem Piperem – czekałem z kieliszkiem w ręku, żeby się trącić; pan Piper nie interesował mnie, człowiek, który z powodu swoich przekonań żyje w Niemczech Wschodnich. Podniosłem kieliszek i przerwałem: – Na zdrowie! – Wypiliśmy...

Później dowiedziałem się:

Mama też była kiedyś komunistką, ale mimo to z panem Piperem jakoś się nie układało, stąd rozstanie, to mogę zrozumieć, i teraz mama pracuje w Atenach, bo i obecnych Zachodnich Niemiec też nie mogła znieść, to mogę zrozumieć, a Sabeth ze swej strony wcale nie cierpi z powodu tego rozstania, przeciwnie, miała świetny apetyt opowiadając o tym i piła białe orvieto, które mnie wydawało się zawsze za słodkie, ale było jej ulubionym winem: ORVIETO ABBOCATO... Ojca swego nie kochała zanadto, przy tym pan Piper wcale nie jest jej ojcem, bo mama była już przedtem raz zamężna, Sabeth jest dzieckiem z pierwszego małżeństwa, jej mama miała pecha z mężczyznami, tak mi się wydaje, może dlatego, że zbyt wielka z niej intelektualistka, tak sobie myślałem, ale naturalnie nic nie powiedziałem, tylko zamówiłem jeszcze pół butelki ORVIETO ABBOCATO, a potem znów się mówiło o wszystkim, o czym się dało, o karczochach, o katolicyzmie, o cassacie, o „Śpiącej erylai”, o komunikacji, pladze naszych czasów, i jak się dostać na Via Appia—

Sabeth ze swoim Baedekerem:

– VIA APPIA, królowa dróg, w 312 przed Chrystusem zbudowana przez cenzora Appiusa Claudiusa, prowadziła z Terraciny do Capui, skąd później została przedłużona do Brindisi.

Pielgrzymowaliśmy po Via Appia, trzy kilometry, na piechotę, leżeliśmy na jakimś nagrobku, na wzgórku kamiennym, rumowisku kamiennym porośniętym chwastami, o którym, na szczęście, Baedeker nic nie pisze. Leżeliśmy w cieniu pinii i paliliśmy papierosy.

– Walter, śpisz?

Cieszyłem się, że nie muszę nic oglądać.

– Słuchaj – powiedziała Sabeth – tam dalej jest Tivoli.

Miała na sobie jak zwykle czarne farmerki, ze szwami niegdyś białymi, do tego niegdyś białe espadryle, choć kupiłem jej już w Pizie parę włoskich pantofli.

– Czy to cię naprawdę nie interesuje?

– Naprawdę mnie nie interesuje – powiedziałem – ale będę oglądał wszystko, najdroższa. Czego się nie robi podczas podróży poślubnej!

Sabeth znów uznała, że jestem cyniczny.

Mnie wystarczało leżeć na trawie, mniejsza o Tivoli, najważniejsza rzecz to jej głowa na moim ramieniu.

– Jesteś nieznośna – powiedziałem – ani kwadransa nie umiesz uleżeć spokojnie.

Uklękła i zaczęła się rozglądać.

Słysząc było głosy—

– Czy mam... – zapytała układając usta, jak gdyby miała splunąć – czy mam...

Pociągnąłem ją za koński ogon, ale ona tego nie znosiła. Mnie też było szkoda, że nie jesteśmy sami, ale nic nie można było na to poradzić. Nawet jeżeli się jest mężczyzną! Zawsze to jej zabawne twierdzenie: przecież jesteś mężczyzną! Spodziewała się widocznie, że zerwę się i zacznę ciskać kamieniami, aby rozpędzić ludzi jak stado kóz. Była na serio zawiedziona; dziecko, które traktuję jak kobietę, czy też kobietę, którą traktuję jak dziecko, sam już nie wiedziałem.

– Ja uważam – powiedziała – że to nasze miejsce.

Byli to oczywiście Amerykanie, słyszałem tylko głosy, jakieś towarzystwo, które wspinało się do naszego grobowca; sądząc po głosach musiały to być maszynistki z Cleveland.

– OH, ISN'T IT LOVELY?

– OH, THIS IS THE CAMPAGNA?

– OH, HOW LOVELY HERE!

– OH – itd.

Podniosłem się, żeby przypatrzeć się im przez zarośla. Fioletowe fryzury pań, między nimi łysiny panów, którzy pozdejmowali kapelusze panama – wycieczka z domu starców, pomyślałem, ale nic nie powiedziałem.

– Nasz pagórek z grobowcem – powiedziałem – jest widocznie sławny...

Sabeth całkiem nieopanowana:

– Słuchaj, coraz ich więcej!

Stała, ja dalej leżałem na trawie.

– Słuchaj – powiedziała – to cały autokar!

Kiedy tak Sabeth stała nade mną czy też przy mnie: jej espadryle, potem gołe łydki, uda, które nawet w skrócie są bardzo smukłe, jej biodra w wąskich cowboyskich spodniach; trzymała obie ręce w kieszeniach spodni, kiedy tak stała. Talii jej nie było widać w skrócie. Potem piersi i ramiona, podbródek, wargi, tuż nad nimi rzęsy, powieki blade jak marmur, bo widziane w świetle od dołu, potem jej włosy na tle jaskrawego nieba, można by myśleć, że zaplączą się w koronie czarnej pinii te jej rudawe włosy. Tak stała na wietrze, podczas gdy ja leżałem na ziemi. Smukła i prosta, i milcząca przy tym jak posąg.

– Hello! – zawołał ktoś z dołu.

Sabeth niechętnie:

– Hello!

Nie mogłem się z tym pogodzić.

– Słuchaj – powiedziała – oni sobie urządzają piknik!

Potem, jakby na złość oblegającym nas Amerykanom, podeszła do mnie i położyła mi się na piersi, jak gdyby chciała zasnąć; ale nie na długo. Uniosła się na łokciach i zapytała, czy nie jest za ciężka.

– Nie – powiedziałem – jesteś lekka...

– Ale...?

– Nie ma żadnego ale! – odparłem.

– A jednak – powiedziała – coś sobie myślisz.

Nie miałem pojęcia, o czym myślałem; coś tam zawsze się myśli, ale naprawdę nie wiedziałem, co. Zapytałem, o czym ona myślała. Poprosiła o papierosa nie odpowiadając.

– Palisz za dużo – powiedziałem. – Kiedy ja byłem w twoim wieku...

Jej podobieństwo do Hanny coraz rzadziej przychodziło mi na myśl, w miarę jak rosła nasza zażyłość. Od Awinionu w ogóle już nie! Bardzo się dziwiłem, że w ogóle przyszła mi kiedykolwiek myśl o jej podobieństwie do Hanny. Przyglądałem się jej nadal pod tym kątem. O jakimkolwiek podobieństwie ani mowy! Dałem jej ognia, choć byłem przekonany, że za wiele pali, taki dwudziestoletni dzieciak—

Potem zawsze ten jej żarcik:

– Zachowujesz się jak tata.

Może pomyślałem znowu (jeszcze raz), że dla Sabeth, kiedy się tak opierała na mojej piersi i przyglądała mojej twarzy, muszę być starym człowiekiem.

– Słuchaj – powiedziała – to jest ołtarz Ludovisiego, to co nam się przed południem tak podobało. Szalenie sławny!

Pozwoliłem się pouczać.

Zdjęliśmy obuwie, stopy na gorącej ziemi, rozkoszowałem się tym, że jestem boso i w ogóle.

Myślałem o naszym Awinionie (hotel „Henri IV”).

Sabeth ze swoim otwartym Baedekerem wiedziała od początku, że jestem technikiem, że jadę do Włoch, aby wypocząć. Jednakże czytała na głos:

– VIA APPIA, królowa dróg, zbudowana w 312 roku przed Chrystusem przez cenzora Appiusa Claudiusa Caecusa—

Jeszcze dziś słyszę ten jej głos czytający Baedekera!

– Zaczyna się interesująca część drogi, stary bruk leży jeszcze dotąd tu i ówdzie, pierwsze wspaniałe arkady Aqua Marcia (porównaj str. 261).

Za każdym razem szukała odpowiedniej strony.

Raz zadałem jej pytanie:

– Jak ma właściwie na imię twoja mama?

Nie pozwoliła sobie przerwać.

– O kilka minut dalej grobowiec CECYLII METELLI, najśłynniejszy zabytek Kampanii, rotunda o dwudziestometrowej średnicy, o czworokątnej podstawie, pokryta trawertynem. Napis na tablicy marmurowej brzmi: „Caeciliae Q. Cretisi f(iliae) Metellae Crassi, córka Metellusa Cretiusa, synowa triumwira Crassusa”. Wewnątrz (npw.) znajduje się właściwy grobowiec.

Przerwała i zastanowiła się.

– Co to znaczy: npw?

– Napiwek – powiedziałem – ale pytałem cię o co innego—

– Przepraszam.

Zamknęła Baedekera.

– O coś pytał?

Schwyciłem jej Baedekera i otworzyłem go.

– Tam dalej – zapytałem – to Tivoli?

Na równinie Tivoli musi się znajdować lotnisko, choć nie ma go na mapce tego Baedekera; cały czas słychać było silniki, to samo wibrujące brzęczenie co nad moim tarasem na dachu w Central Park West, tam i z powrotem nad naszą pinią latały albo DC-7, albo Super-Constellation, z wysuniętym podwoziem, szykując się do lądowania, i znikwały gdzieś w tej Kampanii.

– Tam musi być lotnisko – powiedziałem.

To mnie naprawdę zainteresowało.

– O co pytałeś? – zagadnęła.

– Jak się właściwie nazywa twoja mama?

– Piper – powiedziała. – Jakże inaczej?

Miałem na myśli, naturalnie, imię.

– Hanna.

Wstała znowu, żeby spojrzeć ponad zaroślami, obie ręce w kieszeniach spodni, rudawe włosy na ramieniu. Nic po mnie nie poznała.

– My goodness! – powiedziała. – Co oni tam na dole pożerają, nie będzie temu końca, teraz biorą się jeszcze do owoców!

Tupała nogami jak dziecko.

– Boże święty – powiedziała – muszę na chwilę zniknąć.

Potem moje pytanie:

– Czy mama studiowała kiedy w Zurychu?

– Co?

– Kiedy?

Pytałem dalej, choć dziewczyna, jak powiedziałem, chciała zniknąć. Jej odpowiedzi trochę niechętne, ale wystarczające.

– Walter, ależ ja tego nie wiem!

Zależało mi, co rozumiała, na dokładnych datach.

– Ja przecież przy tym nie byłam! – powiedziała.

Bawiło ją to, że chciałem wszystko wiedzieć. Nie miała najmniejszego pojęcia, jakie znaczenie mogłyby mieć jej odpowiedzi. To ją bawiło, ale nie zmieniło faktu, że musiała zniknąć na chwilę. Usiadłem, pochwyciłem ją za ramię, żeby mi nie uciekła.

– Ależ proszę cię – mówiła – proszę.

Ostatnie moje pytanie:

– A jej panieńskie nazwisko – Landsberg?

Puściłem jej ramię. Jak gdybym osłabł. Potrzebowałem wszystkich sił na to tylko, żeby usiedzieć na miejscu. Zapewne z uśmiechem. Miałem nadzieję, że teraz pobiegnie.

Zamiast tego usiadła, żeby mnie z kolei zadawać pytania.

– Toś ty znał mamę?

Kiwnąłem głową.

– Niemożliwe – powiedziała – naprawdę?

Po prostu nie mogłem mówić.

– Znaliście się – powiedziała – jeszcze kiedy mama studiowała?

Uważała, że to fantastyczne; tylko fantastyczne.

– Słuchaj – powiedziała odchodząc – napiszę o tym mamie, mama się ucieszy -

Dzisiaj, kiedy wiemy wszystko, wydaje mi się niepodobieństwem, że już wtedy, po rozmowie na Via Appia, nie domyśliłem się wszystkiego. O czym myślałem w ciągu tych dziesięciu minut, zanim dziewczyna wróciła, nie wiem. Rodzaj bilansu chyba. Wiem tylko tyle: najchętniej poszedłbym na lotnisko. Możliwe, że w ogóle nic nie myślałem. Nie było to niespodzianką, tylko zyskaniem pewności. Lubię mieć pewność. Kiedy ją mam, zaczynam się nią niemal bawić. Sabeth: córka Hanny! Co mnie uderzyło: nie może być mowy o ślubie. Ale nie myślałem ani przez chwilę, że Sabeth może być moją własną córką. Leżało to w zakresie możliwości, teoretycznie, ale nie myślałem o tym. Dokładniej mówiąc, nie wierzyłem w to.

Naturalnie pomyślałem o tym wszystkim; nasze dziecko wtedy, cała ta historia, zanim opuściłem Hannę, nasza decyzja, że Hanna pójdzie do doktora, do Joachima... Naturalnie pomyślałem o tym wszystkim, ale po prostu nie mogłem uwierzyć, to było zbyt nieprawdopodobne, że ta dziewczyna, która wkrótce potem wdrapała się znowu na pagórek, jest moim własnym dzieckiem.

– Walter – zapytała – co się stało?

Sabeth nie miała o niczym pojęcia.

– Wiesz – powiedziała – ty także za dużo palisz.

Potem nasza rozmowa o akweduktach.

Żeby tylko o czymś mówić!

Moje wyjaśnienia na temat systemu naczyń połączonych.

– Tak, tak – powiedziała – to wszystko mieliśmy w szkole.

Jej żarty, kiedy dowodziłem, że gdyby starożytni Rzymianie mieli ten mój szkic, narysowany na pudełku od papierosów, mogli byli oszczędzić sobie co najmniej 90% wysiłku przy murowaniu.

Leżeliśmy znów na trawie.

Nad nami samoloty.

– Wiesz co – powiedziała – nie powinieneś lecieć już z powrotem.

To był nasz przedostatni dzień.

– Kiedyś musimy się rozstać, drogie dziecko, tak czy tak—

Patrzyłem na nią.

– Naturalnie – powiedziała, usiadła, żeby wziąć źdźbło trawy, spojrzenie utkwione przed siebie; myśl, że musimy się rozstać, nie działała na nią, tak mi się zdawało, wcale. Nie wetknęła trawki w zęby, tylko owinęła ją koło palca i powiedziała:

– Naturalnie...

Nie myślała wcale o małżeństwie!

– Czy też mama jeszcze sobie ciebie przypomina?

To ją bawiło.

– Nie mogę sobie wyobrazić – mówiła – mamy jako studentki, wiesz, mamy jako studentki, na poddaszu, jak powiadasz, mama nigdy mi o tym nie opowiadała.

To ją bawiło.

– Jaka ona była wtedy?

Trzymałem jej głowę, tak że nie mogła nią poruszać, obiema rękami, tak jak, na przykład, trzyma się głowę psa. Czułem jej siłę, która zresztą nie była jej potrzebna, siłę jej karku; moje ręce niby imadło. Zamknęła oczy. Nie pocałowałem jej. Trzymałem tylko jej głowę. Niby czarę, lekką i kruchą, potem coraz cięższą.

– Słuchaj – powiedziała – to boli.

Trzymałem jej głowę tak długo, aż otworzyła oczy, żeby zobaczyć, czego ja właściwie chcę; sam tego nie wiedziałem.

– Poważnie – powiedziała – to boli!

Na mnie była kolej teraz coś powiedzieć; ona zamknęła znowu oczy jak pies, kiedy się go tak przytrzyma.

Potem moje pytanie—

– Puść mnie! – powiedziała.

Czekałem na odpowiedź.

– Nie – powiedziała – nie jesteś moim pierwszym mężczyzną, przecież wiesz...

Nic nie wiedziałem.

– Nie – powiedziała – nie martw się—

Kiedy sobie odgarniała potargane włosy ze skroni, można było myśleć, że chodzi tylko o włosy. Wyjęła grzebyk ze swoich czarnych farmerek, żeby się przyczesać, podczas gdy opowiadała, a raczej nie opowiadała, tylko jakoś mnie zawiadomiła:

– He's teaching in Yale. – Trzymała klamrę do włosów między zębami. – A tego drugiego – powiedziała, wciąż z klamerką w zębach, podczas gdy rozczesywała włosy – toś przecie widział.

Miała zapewne na myśli tego młodzieńca od ping-ponga.

– On chce się ze mną ożenić – powiedziała – ale to była pomyłka z mojej strony, wiesz, wcale go nie lubię.

Potem potrzebna jej była klamerka, wyjęła ją z ust, które zostały otwarte, ale milczące, dopóki się nie uczesała. Potem schowała grzebyk, spojrzała w stronę Tivoli i była gotowa.

– Idziemy? – zapytała.

Właściwie nie chciałem już siedzieć, tylko wstać, wziąć buty, włożyć buty, najpierw naturalnie skarpetki, potem buty, żeby już móc iść—

– Uważasz, że jestem zepsuta?

Nic nie uważałem.

– Walter – powiedziała—

Wzięłem się w garść.

– It's okay – powiedziałem – it's okay.

Potem pieszo z powrotem po Via Appia.

Siedzieliśmy już w aucie, kiedy Sabeth znów zaczęła (Uważasz, że jestem zepsuta?) – i chciała wiedzieć, o czym myślałem przez cały czas

– wetknąłem kluczyk, żeby puścić w ruch silnik.

– Słuchaj – powiedziałem – nie mówmy o tym.

Teraz chciałem tylko jechać.

Gdy siedzieliśmy w wozie, nie jadąc jeszcze, Sabeth opowiadała o swoim tacie, o rozwodzie, o wojnie, o mamie, o emigracji, o Hitlerze, o Rosji—

– Nie wiemy nawet – powiedziała – czy tata jeszcze żyje.

Zgasilem silnik.

– Czy masz Baedekera? – zapytała.

Studiowała mapę.

– To jest Porta San Sebastiano – powiedziała – teraz na prawo, potem będzie San Giovanni de Laterano!

Znów zapuściłem silnik.

– Znałem go – powiedziałem—

– Tatę?

– Joachima – powiedziałem – tak.

Potem jechałem Wedle rozkazu: do Porta San Sebastiano, potem na prawo, aż znów wyłoniła się przed nami bazylika.

Zwiedzaliśmy w dalszym ciągu.

Może jestem tchórzem. Nie odważyłem się powiedzieć nic więcej, co dotyczyło Joachima, ani pytać. Liczyłem w myślach (mówiąc przy tym więcej niż zwykle, jak sądzę) bez przerwy, póki rachunek nie wypadł tak, jak chciałem: mogła być tylko córką Joachima! Jak to obliczyłem, nie wiem; ustawiałem daty tak, żeby się rachunek zgodził. W pizzerii, kiedy Sabeth odeszła na chwilę, spróbowałem ten rachunek jeszcze pisemnie sprawdzić. Wszystko się zgadzało; miałem przecież daty (oznajmienie Hanny, że spodziewa się dziecka, i mój wyjazd do Bagdadu) tak dobrane, że rachunek się zgadzał; pewny był dzień urodzin Sabeth, reszta była wzięta z sufitu – kamień spadł mi z serca. Wiem, że tego wieczora dziewczyna uważała mnie za weselszego niż kiedykolwiek, żartowałem nawet. Siedzieliśmy do północy w tej skromnej pizzerii między Panteonem i Piazza Colonna, gdzie pieśniarze, akompaniujący sobie na gitarze, kiedy się już nażebrali przed restauracjami pełnymi turystów, jedzą swoją pizzę i piją chianti szklankami; stawiałem im kolejkę za kolejką i nastrój był wspaniały.

– Walter – powiedziała – ależ szafowa zabawa!

W drodze do naszego hotelu (Via Veneto) byliśmy rozbawieni, wcale nie pijani, tylko weseli – aż do hotelu, gdzie otwarto przed nami duże oszklone drzwi i w alabastrowym hallu wręczono klucze od pokoiów, zgodnie z tym, jakeśmy się zameldowali:

– Mister Faber, miss Faber – good night!

Nie wiem, jak długo stałem w swoim pokoju, nie zasuważąc firanek, taki grand-hotelowy pokój: o wiele za duży, o wiele za wysoki. Stałem nie rozbierając się. Jak aparat, który otrzymuje polecenie: umyj się! – ale nie funkcjonuje.

– Sabeth – zapytałem – co się stało?

Stała przed moimi drzwiami; nie zapukała.

– Powiedz!

Stała boso i miała na sobie żółtą pidżamę, a na niej czarny płaszcz z kapturem; nie chciała wejść, tylko jeszcze raz powiedzieć dobranoc. Widziałem jej zapłakane oczy—

– Dlaczego miałbym cię już nie kochać? – zapytałem. – Z powodu tego Hardy, czy jak mu tam?

Nagle jej łkanie—

Potem spała, przykryłem ją, bo noc przy otwartych oknach była chłodna; ciepło, jak się zdaje, uspokoiło ją, tak że naprawdę zasnęła, mimo hałasu z ulicy, mimo lęku, że sobie pójdę. Musiała to być ulica ze znakiem stop, stąd tyle hałasu: motocykle, które wyją trzymane na luzie, potem wrzucanie biegu, najgorsza jakaś alfa-romeo, która wciąż na nowo nadjeżdża i za każdym razem startuje jak do wyścigu, jej warkot między domami, może trzy minuty ciszy; od czasu do czasu bicie dzwonów w jakimś rzymskim kościele, potem znów klaksony, hamowanie na piszczących oponach, pełny gaz na luzie, bez sensu, chuligaństwo, potem znowu blaszane dudnienie, wydaje się, że to naprawdę wciąż ta sama alfa-romeo, która krąży koło nas całą noc. Byłem coraz mniej śpiący. Leżałem przy niej, nie ściągnąłem nawet zakurzonych butów ani nie zdjąłem krawata, nie mogłem się ruszać, bo jej głowa leżała na moim ramieniu. Na firankach widać było odbłask łukowej latarni, która chwiała się tam i z powrotem, leżałem jak na torturach, bo nie mogłem się poruszyć; śpiąca dziewczyna położyła rękę na mojej piersi, raczej na moim krawacie, tak że mnie dusił. Słyszałem, jak biła godzina za godziną, podczas gdy Sabeth spała, czarny kłębek o gorących włosach i oddechu, nie byłem w stanie myśleć, co będzie. Potem znowu alfa-romeo, klakson w wąskiej uliczce, hamulce, pełny gaz na luzie, blaszane dudnienie wśród nocy—

Gdzie tu moja wina? Spotkałem ją na okręcie, kiedyśmy czekali na przydział stolików, dziewczyna z chwiejącym się końskim ogonem przede mną. Zwróciła moją uwagę. Zagabnałem ją, tak jak się zagabuje ludzi na takim okręcie; nie narzucałem się dziewczynie. Nic nie udawałem, rozmawiałem z nią szczerzej, niż to jest w moim zwyczaju, na przykład na temat mojego starokawalerstwa. Oświadczyłem się nie będąc zakochanym i od razu wiedzieliśmy oboje, że to nie ma sensu, i pożegnaliśmy się. Czemuż szukałem jej w Paryżu! Poszliśmy razem do opery, potem zjedliśmy lody, potem odwiozłem ją, nie zatrzymując się dłużej, do jej taniego hotelu koło Saint-Germain, zaproponowałem jej, aby zamiast autostopem pojechała ze mną, bo miałem wóz Williamsa, i w Awinionie, gdzieśmy po raz pierwszy przenocowali, mieszkaliśmy, oczywiście (wszystko inne wskazywałoby na zamiar, którego w ogóle nie miałem), w tym samym hotelu, ale nawet nie na tym samym piętrze; ani przez chwilę nie myślałem, że do tego dojdzie. Pamiętam dokładnie. Była noc (13. V.), zaćmienie księżyca, co nas zaskoczyło; nie czytałem gazety, nie byliśmy na to przygotowani. Powiedziałem: – Co się dzieje z tym księżycem? – Jedliśmy na powietrzu i była mniej więcej dziesiąta, czas ruszyć, bo chcieliśmy jechać nazajutrz raniutko. Zwykły fakt, że słońce, ziemia i księżyc ustawiły się na jednej linii, co jest przyczyną zaćmienia księżyca, wytrącił mnie z równowagi, jak gdybym nie wiedział dokładnie, na czym polega zaćmienie księżyca – zapłaciłem za kawę, kiedy zauważyłem okrągły cień ziemi na księżycu, i poszliśmy, trzymając się pod rękę, na taras nad Rodanem, aby przestać całą godzinę, wciąż pod rękę, w nocy, i śledząc to zjawisko. Objaśniłem dziewczynie, dlaczego księżyc, mimo iż całkiem schowany w cieniu ziemi, świeci jednak tak jasno, że możemy go widzieć wyraźnie, w przeciwieństwie do nowiu, dokładniej niż zwykle, nie jako błyszczącą

tarczę, jak zwykle, tylko wyraźnie, jako kulę, jako piłkę, jako pewne ciało, jako gwiazdę, jako niesłychaną masę w pustce, pomarańczową. Nie pamiętam już wszystkiego, co mówiłem wtedy. Dziewczyna uznała wówczas (to pamiętam) po raz pierwszy, że biorę nas dwoje poważnie, i całowała mnie jak nigdy dotąd. Widok był raczej przygnębiający. Olbrzymia masa, która krąży w przestrzeni, raczej pędzi, co nam uświadamiało, że my, ziemia, również płyniemy w mroku, a raczej pędzimy. Mówiłem o śmierci i życiu, zdaje mi się, zupełnie ogólnikowo, i byliśmy oboje podnieceni, bośmy jeszcze nigdy dotąd nie widzieli tak wyraźnie zaćmienia księżyca, ja też nie, i pierwszy raz miałem niejasne wrażenie, że dziewczyna, którą dotąd uważałem za dziecko, jest we mnie zakochana. W każdym razie to ona tej nocy, kiedyśmy aż do zziębnięcia stali na dworze, przyszła do mego pokoju—

Potem spotkanie z Hanną.

(3. VI. w Atenach)

Poznałem ją, zanim się jeszcze obudziłem. Rozmawiała z zakonnica. Wiedziałem, gdzie jestem, i chciałem zapytać, czy już po operacji, ale spałem, kompletnie wyczerpany, miałem pragnienie, ale nie mogłem tego powiedzieć. Wtedy usłyszałem jej głos mówiący po grecku. Przyniesiono mi herbatę, ale nie mogłem jej wypić; spałem, słyszałem wszystko, wiedziałem, że śpię, i wiedziałem: kiedy się zbudzę, to przy Hannie.

Nagle cisza—

Strach, że dziewczyna nie żyje.

Nagle poczułem, że leżę z otwartymi oczami: biały pokój, laboratorium, jakaś pani stoi przy oknie i myśli, że ja śpię i nic nie widzę. Jej szpakowate włosy, drobna postać. Czeka z rękami w kieszeniach żakietu, patrzy przez okno. Poza tym nikogo w pokoju. Obca osoba. Nie widzę jej twarzy, tylko kark, tył głowy, krótko obcięte włosy. Co pewien czas wyjmuje chusteczkę, aby wytrzeć nos, i chowa ją zaraz z powrotem, a może gniecie nerwowo w rękę. Poza tym stoi nieruchomo. Ma okulary, czarne, rogowe okulary. Może to być lekarka, prawniczka czy coś w tym rodzaju. Płacze. Raz sięgnęła ręką po okulary, jakby chciała zakryć twarz; trwało to chwilę. Potem znów są jej potrzebne obie ręce, aby raz jeszcze rozwinąć wilgotną chusteczkę, potem znów ją chowa i czeka; patrzy w okno, gdzie nie ma nic do oglądania prócz zasłon od słońca. Jej postać: sportowa, prawie dziewczęca, gdyby nie te szpakowate czy też siwe włosy. Potem znów wyjmuje chusteczkę, aby przetrzeć okulary, wtedy widzę nareszcie jej nagą twarz; jest brunatna – mogłaby to być, gdyby nie niebieskie oczy, twarz starego Indianina.

Udałem, że śpię.

Hanna z siwymi włosami!

Widocznie rzeczywiście zasnąłem raz jeszcze – na pół minuty czy też pół godziny, póki głowa moja oparta o ścianę nie ześlizgnęła się, co mnie przeraziło – ona zobaczyła, że nie śpię. Nie powiedziała ani słowa, tylko spojrzała na mnie. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, z podpartą głową, paliła.

– Jak się czuje? – spytałem.

Hanna paliła nadal.

– Miejmy nadzieję – powiedziała – zrobiono, co trzeba, miejmy nadzieję, że będzie dobrze.

– Żyje?

– Tak – powiedziała.

Ani słowa powitania.

– Doktor Eleutheropulos był właśnie tutaj – powiedziała – jego zdaniem to nie była żmija.

Napełniła filiżankę.

– Napij się herbaty – powiedziała.

Nie przyszło mi na myśl (bez udawania), że już od dwudziestu lat nie rozmawialiśmy ze sobą; mówiliśmy o operacji, którą zrobiono godzinę temu, albo milczeliśmy. Czekaliśmy razem na dalsze meldunki doktora.

Piłem filiżankę po filiżance.

– Wiesz pewnie – powiedziała – że i tobie zrobiono zastrzyk?

Tego nie zauważyłem.

– Tylko dziesięć centymetrów, zapobiegawczo – powiedziała – ze względu na słuzówkę w ustach.

Hanna była bardzo opanowana.

– Jak to się stało? – spytała. – Byliście dziś w Koryncie?

Marzłem.

– Gdzie jest twoja marynarka—

Moja marynarka leżała nad morzem.

– Odkąd jesteście w Grecji?

Hanna zdumiewała mnie; żaden mężczyzna, żaden przyjaciel, nie mógłby pytać bardziej rzeczowo. Usiłowałem równie rzeczowo odpowiadać. Po co sto razy zapewniać, że nic nie mogłem na to poradzić! Hanna nie robiła żadnych wymówek, tylko pytała ze spojrzeniem utkwionym w okno. Pytała nie patrząc na mnie:

– Co było między wami?

Teraz była bardzo zdenerwowana, widziałem.

- A więc to nie zmija? – zapytałem.
- Napij się herbaty – powiedziała.
- Od kiedy nosisz okulary? – zapytałem.

Nie widziałem węża, usłyszałem tylko, jak Sabeth krzyknęła. Kiedy się do niej zbliżyłem, leżała nieprzytomna. Widziałem, jak padała, i podbiegłem do niej. Leżała na piasku, nieprzytomna z powodu upadku, tak sądziłem. Wtedy dopiero zobaczyłem znak od ukąszenia nad piersią, malutki, trzy ranki koło siebie, zrozumiałem od razu. Bardzo słabo krwawiły. Naturalnie, natychmiast wyssałem ranę, jak to się zaleca, wiedziałem, że należy ją ścisnąć, aby jad nie doszedł do serca. Ale jak? Ukąszenie było nad lewą piersią. Wiedziałem: natychmiast wyciąć ranę, ewentualnie wypalić. Wołałem o pomoc, ale byłem już bez tchu, zanim dobiegłem do drogi, trzymając dziewczynę na rękach, grzęzłem w miękkim piasku, przy tym rozpacz, kiedy zobaczyłem mijającego nas forda, krzychałem, jak tylko mogłem najgłośniej. Ale ford pojechał dalej. Stałem bez tchu, trzymając nieprzytomną dziewczynę, która stawała się coraz cięższa, nie mogłem jej już utrzymać, bo mi w niczym nie pomagała. Byłem na właściwej drodze, ale żadnego pojazdu na horyzoncie. Wysapałem się, potem dalej tą samą drogą, świeżo wyasfaltowaną, najpierw biegłem, potem wolniej, coraz wolniej, byłem boso. Południe. Płakałem i szedłem, aż nadjechała ta dwukółka. Od strony morza. Robotnik, który mówił tylko po grecku, ale natychmiast zrozumiał, zobaczywszy ranę. Siedziałem na trzęsącym się wózku, naładowanym wilgotnym żwirem, trzymając w ramionach moją dziewczynę, w kostiumie kąpielowym (bikini) i całą zapiaszczoną. Żwir podskakiwał, tak że musiałem nieprzytomną dalej trzymać w ramionach i też podskakiwałem. Prosiłem robotnika, aby jechał prędzej. Osioł nie biegł w szybszym tempie niż człowiek idący na piechotę. Był to skrzypiący wózek o rozchybotanych kołach, kilometr jechało się całą wieczność; siedziałem w ten sposób, że patrzyłem do tyłu. Ale ani śladu samochodu. Nie rozumiałem, co mówi Grek, dlaczego zatrzymał się

przy studni z żurawiem, przywiązał osła; dał mi znak, żebym czekał. Błagałem go, żeby jechał dalej i nie tracił czasu; nie wiedziałem, co ma na myśli, kiedy mnie zostawił samego na wózku, samego z nieprzytomną dziewczyną, której tak potrzebna była surowica. Znowu wysłałem jej ranę. Najwyraźniej szedł w stronę chałup, żeby sprowadzić pomoc. Nie wiedziałem, jak on sobie tę pomoc wyobraża, zioła czy jakieś zaklęcia, czy coś w tym rodzaju. Zagwizdał, po czym poszedł dalej, ponieważ nie było odpowiedzi od strony chałup. Zaczekałem parę minut, potem naprzód, bez zastanowienia, z dziewczyną na rękach, najpierw biegiem, aż do utraty tchu. Po prostu nie mogłem już dłużej. Położyłem ją na skraju drogi, bo biec i tak nie miało sensu; nie mogłem jej przecież donieść do Aten. Albo przyjedzie jakiś pojazd mechaniczny, który nas zabierze, albo nie przyjedzie. Kiedy znowu zacząłem ssać jej ranę powyżej piersi, zobaczyłem, że Sabeth powoli wraca do przytomności: oczy szeroko otwarte, ale nic nie widzące, narzekła, że pić jej się chce, głos miała całkiem ochryply, puls bardzo wolny, zwymiotowała, przy tym poty. Widziałem teraz siny obrzęk dokoła ranki. Pobiegłem, żeby szukać wody. Dokoła tylko janowce, osty, oliwki na suchych półkach, ani śladu człowieka, parę kóz w cieniu, mogłem wołać i krzyczeć, ile tylko chciałem – było południe, śmiertelna cisza, ukląknę koło Sabeth; nie była nieprzytomna, tylko bardzo senna, jakby bezwładna. Na szczęście zobaczyłem ciężarówkę na czas, tak że mogłem wybiec na drogę; ciężarówka stanęła, załadowana była pękiem długich rur żelaznych. Jechała nie do Aten, tylko do Megary, ale to w każdym razie był nasz kierunek. Usiadłem koło kierowcy, trzymając nieszczęsną w ramionach. Łoskot długich rur, przy tym mordercze tempo: zaledwie trzydzieści kilometrów na godzinę na prostej drodze! Moja marynarka została nad morzem, pieniądze w marynarce – w Megarze dałem

kierowcy, który się zatrzymał i który rozumiał tylko po grecku, mój zegarek, omegę, żeby jechał dalej, nie wyładowując rur. W Eleusis, gdzie musiał nabrać benzyny, znów straciliśmy kwadrans. Nie zapomnę nigdy tej drogi. Czy się bał, że zażądam z powrotem omegi, jeżeli będę mógł pojechać jakimś szybszym wozem, czy coś innego myślał, nie wiem, w każdym razie dwa razy przeszkodził mi, gdy chciałem się przesiąść. Raz przejechał autobus, raz limuzyna, którą zdołałem zatrzymać machaniem; mój kierowca zagadał po grecku i tamci pojechali dalej. Nie chciał zrezygnować z tego, że jest naszym zbawcą, a był bardzo słabym kierowcą. Przy wzniesieniu koło Dafni w ogóle nie posuwaliśmy się naprzód. Sabeth spała, a ja nie wiedziałem, czy jeszcze kiedykolwiek otworzy oczy. Nareszcie przedmieścia Aten, ale jechaliśmy coraz wolniej; światła na skrzyżowaniach, zwykle korki, nasza ciężarówka z rurami zwisającymi z tyłu była bardziej nieruchawa niż wszystkie inne, którym niepotrzebna była surowica; wstrętne miasto, zamęt z powodu tramwajów i wózków zaprzężonych w osły, naturalnie nasz kierowca nie wiedział, gdzie jest szpital, musiał pytać, miałem wrażenie, że nie znajdzie go nigdy, zamykałem oczy albo patrzyłem na Sabeth, która oddychała bardzo powoli. (Wszystkie szpitale znajdowały się na przeciwnym krańcu Aten.) Nasz kierowca, jako że przyjechał ze wsi, nie znał nazw ulic, które mu wymieniano, rozumiałem tylko: Leofores, Leofores, usiłowałem pomóc, ale nie mogłem nawet przeczytać napisu – nie znaleźlibyśmy nigdy szpitala, gdyby nie młody chłopak, który wskoczył na stopień samochodu, aby nam wskazać drogę.

Potem poczekalnia—

Wypytywanie mnie po grecku—

Wreszcie zakonnica, która rozumiała po angielsku, osoba szatańsko spokojna, jej główna troska: ustalić nasze personalia!

Doktor, który się zajął dziewczyną, uspokoił nas. Rozumiał po angielsku i odpowiadał po grecku; Hanna tłumaczyła mi to, co najważniejsze, wyjaśnił, dlaczego to nie żmija zygzakowata, tylko żmija Kleopatry (*vipera aspis*), według niego zrobiłem to, co należy: przewiezienie do szpitala. Co do ludowych środków (wysysanie rany, wycięcie albo wypalenie, przewiązanie ukąszonego członka) nie miał o nich, jako fachowiec, zbyt wysokiego wyobrażenia; niezawodna rzecz to zastrzyk surowicy w ciągu trzech do czterech godzin, a wycięcie ukąszonego miejsca tylko jako zabieg dodatkowy.

Nie wiedział, kim jestem.

Ja też byłem w ładnym stanie: spocony, i zakurzony jak robotnik na wózku ze żwirem, nogi oblepione smołą, nie mówiąc o wyglądzie koszuli. Włóczęga bosi i bez marynarki, doktor martwił się o moje nogi, które powierzył zakonniczy, i rozmawiał tylko z Hanną, aż Hanna mnie przedstawiła.

– Mister Faber is a friend of mine.

Uspokoił mnie: śmiertelność od ukąszenia węży (węże, żmije różnych rodzajów) osiąga trzy do dziesięciu procent, nawet ugryzienie kobry nie daje więcej niż dwadzieścia pięć procent, co nie pozostaje w żadnym stosunku do przesądnego lęku przed wężami, który wszędzie jest tak rozpowszechniony.

Hanna też się trochę uspokoiła—

Mieszkać mogłem u Hanny.

Nie chciałem jednak opuścić szpitala nie zobaczywszy Sabeth, upierałem się przy tym, aby ją zobaczyć choćby na minutę, i Hanna wydała mi się bardzo dziwna (doktor zgodził się natychmiast!) – nie zostawiła mnie ani minuty w pokoju chorej, jakbym chciał jej ukraść córkę.

– Chodź – powiedziała – ona teraz śpi.

Może to szczęście, że dziewczyna nie poznawała nas; spała z otwartymi ustami (wcale nie tak jak zwykle) i była bardzo blada, uszko miała jak z marmuru, oddychała niesłychanie powoli, ale równo, jak gdyby z zadowoleniem, i raz, kiedy stałem przy jej łóżku, przekreśliła głowę w moją stronę. Ale spała.

– Chodź – powiedziała Hanna – zostaw ją!

Wolałbym zajechać do jakiegoś hotelu. Dlaczego tego nie powiedziałem? Może i dla Hanny byłoby to przyjemniejsze. Nie podaliśmy sobie nawet rąk. W taksówce, gdy sobie to uprzytomniłem, powiedziałem:

– Jak się masz?

Jej śmiech, jak dawniej, kiedy nie udawał mi się kawał: ze zmarszczką na czole między brwiami.

Była teraz bardzo podobna do córki.

Nie wiedziałem nic, oczywiście.

– Gdzie poznałeś Elsbeth? – zapytała. – Na okręcie?

Sabeth pisała jej o starszym panu, który na okręcie, na krótko przed Hawrem, oświadczył się o jej rękę.

– Czy to prawda? – zapytała.

Nasza rozmowa w taksówce: same pytania, bez odpowiedzi.

Dlaczego nazywam ją Sabeth? Jako pytanie na moje pytanie: dlaczego Elisabeth? A między jednym a drugim zdaniem jej objaśnienia: to jest teatr Dionizosa. Dlaczego ja nazywam ją Sabeth: bo uważam, że Elisabeth to niemożliwe imię. Potem znowu jej uwaga o popękanych kolumnach. Dlaczego właśnie Elisabeth? Nigdy bym tak nie nazwał dziecka. Teraz czerwone światło, zator, jak zwykle. No, ale nazywa się jednak Elisabeth, nie ma na to rady, na życzenie ojca. Tymczasem rozmawiała też z kierowcą, który nawymyślał jakiemuś przechodniowi po grecku, miałem wrażenie, że jeździmy w kółko, i to mnie denerwowało, choć teraz, nagle, mieliśmy dość czasu, potem jej pytanie:

– Czyś widział się jeszcze kiedy z Joachimem?

Uważałem, że Ateny to obrzydliwe miasto, bałkańskie, nie mogłem sobie wyobrazić, gdzie się tu mieszka, małe miasteczko, częściowo nawet wieś, lewantyńskie, tłum ludzi wali środkiem ulicy, potem znów pustkowia, ruiny, gdzieniegdzie imitacja wielkiego miasta, brzydkie to; zatrzymaliśmy się wkrótce po jej pytaniu.

– Tu? – zapytałem.

– Nie – powiedziała – zaraz wrócę.

To był instytut, w którym pracowała Hanna, a ja musiałem czekać w taksówce, nie mając papierosa; usiłowałem czytać napisy i czułem się jak analfabeta, całkowicie zagubiony.

Potem z powrotem do miasta—

Kiedy Hanna wróciła z instytutu, otwarcie mówiąc nie poznałem jej; w przeciwnym wypadku, oczywiście, otworzyłbym przed nią drzwiczki taksówki.

Potem jej mieszkanie.

– Pójdę przodem – powiedziała.

Hanna poszła przodem, pani o szpakowatych, krótko obciętych włosach, w rogowych okularach, obca pani, ale matka Sabeth czy tam Elsbeth (że tak powiem, moja teściowa!), i dziwi mnie, że mówimy sobie tak bezceremonialnie per „ty”.

– Chodź – powiedziała – rozgość się.

Spotkanie po dwudziestu latach, z tym się nie liczyłem, Hanna też nie, miała zresztą rację: dwadzieścia jeden lat, dokładnie licząc.

– Chodź – powiedziała – siadaj.

Bolały mnie nogi.

Wiedziałem naturalnie, że ona to swoje pytanie („Co było między wami?”) wcześniej czy później powtórzy, i mógłbym przysiąc: nic! – wcale nie kłamię, bo sam w to wierzyłem, odkąd zobaczyłem Hannę.

– Walterze – powiedziała – dlaczego nie siadasz?

Uparłem się, by stać—

Hanna podciągnęła zasłony w oknach.

Najważniejsze, że dziecko uratowane! – powtarzałem sobie bez przerwy, podczas gdy coś tam mówiłem, milczałem albo paliłem papierosy Hanny; zabrała książki leżące na krześle, abym mógł usiąść.

– Walterze – zapytała – czy jesteś głodny?

Hanna jako matka—

Nie wiedziałem, co myśleć.

– Masz tu – powiedziałem – ładny widok! Więc to jest ten słynny Akropol?

– Nie – powiedziała – to jest Lykabettos.

Miała zawsze ten sposób, niemal manię, żeby nawet w szczegółach być bardzo dokładną: nie, to jest Lykabettos!

Mówię do niej:

– Wcale się nie zmieniłaś!

– Tak myślisz? – pyta. – A tyś się zmienił?

Jej mieszkanie: jak u naukowca (to też widocznie powiedziałem; później Hanna, w jakiejś rozmowie o mężczyznach, cytowała moją ówczesną wypowiedź o mieszkaniu naukowca jako dowód, że i ja uważam naukę i w ogóle intelekt za monopol męski), przy ścianach pełno książek, na biurku pełno skorup z etykietkami, zresztą na pierwszy rzut oka nie było tam nic z antykwiariatu, przeciwnie, meble całkowicie nowoczesne, co mnie u Hanny dziwiło.

– Hanno – mówią – zrobiłaś się postępową.

Tylko się uśmiechnęła.

– Mówię poważnie! – powiadam—

– Jeszcze ciągle? – zapytała.

Czasami jej nie rozumiem.

– A ty jesteś ciągle jeszcze postępowy? – spytała, więc byłem zadowolony, bo Hanna przynajmniej się uśmiechnęła. Widziałem już: wyrzuty sumienia, jakie zwykle robi sobie mężczyzna, który się nie ożenił z dziewczyną, okazały się zbędne. Hanna nie potrzebowała mnie. Żyła bez samochodu, ale zadowolona; także bez telewizora.

– Ładne mieszkanie – mówię – masz tutaj—

Napomknąłem o jej mężu.

– Piper – powiedziała.

Jego też nie potrzebowała, na to wyglądało, w każdym razie nie ze względów materialnych. Od lat już żyła ze swojej własnej pracy (na czym ta praca polegała, nie bardzo mogę sobie i dziś jeszcze wyobrazić, otwarcie mówiąc), nie wspaniale, ale zawsze jako tako. To było widoczne. Jej suknie mogłyby ująć nawet w oczach Ivy i wyjąwszy archaiczny zegar ścienny z pękniętym cyferblatem, jej mieszkanie jest, jak powiedziałem, całkowicie nowoczesne.

– A jak tobie się powodzi? – zapytała.

Miałem na sobie cudzą marynarkę, którą pożyczono mi w szpitalu, i to mnie krępowało, marynarka była na mnie za duża, czułem to cały czas: za szeroka, bo jestem chudy, a przy tym za krótka, rękawy jak z wyrostka. Zdjąłem ją natychmiast, kiedy Hanna poszła do kuchni; ale koszula była także do niczego, cała zakrwawiona.

– Jeżeli chcesz się wykapać – powiedziała Hanna – zanim coś ugotuję—

Nakryła do stołu.

– Tak – powiedziałem – jestem spocony—

Była wzruszająca, a przy tym wciąż bardzo rzeczowa; zapaliła piecyk gazowy i wyjaśniła, jak go zgasić; przyniosła czysty ręcznik i mydło.

– Jak z twoimi nogami? – zapytała.

Cały czas się krzątała.

– Po co do hotelu? – zapytała. – To przecież samo przez się zrozumiałe, że możesz tu mieszkać—

Czułem się strasznie zarośnięty.

Wanna napełniała się bardzo powoli, woda parowała, Hanna puściła zimną, jak gdybym ja sam nie mógł tego zrobić; siedziałem na stołku nic nie robiąc, jak gość, nogi bolały mnie bardzo, Hanna otworzyła okienko, przez parę widziałem tylko jej ruchy, które się nie zmieniły, wcale się nie zmieniły.

– Zawsze myślałem, że zła jesteś na mnie – powiedziałem – za to, co było wtedy.

Hanna tylko się zdziwiła.

– Dlaczego bym miała być zła? Żeśmy się nie pobrali? – powiedziała. – To byłoby nieszczęście—

Po prostu mnie wyśmiała.

– Na serio – powiedziała – wyobrażałeś sobie, że ja jestem na ciebie zła, Walterze, przez dwadzieścia jeden lat?

Wanna była już pełna.

– Dlaczego nieszczęście? – zapytałem.

Później już nigdy nie mówiliśmy o tej historii ze ślubem. Hanna miała rację, mieliśmy inne zmartwienia.

– Wiedziałaś o tym – zapytałem – że śmiertelność z powodu ukąszenia żmii wynosi tylko trzy do dziesięciu procent?

Byłem zdumiony.

Hanna nie ma pojęcia o statystyce, zauważyłem to wkrótce. Pozwoliła mi wygłosić cały wykład – wtedy w łazience – na temat statystyki, żeby potem powiedzieć:

– Kąpiel ci wystygnie.

Nie wiem, jak długo leżałem w wodzie, z obandażowanymi stopami na krawędzi wanny – myśli o statystyce, myśli o Joachimie, który się powiesił, myśli o przyszłości, aż dostałem dreszczy, nie wiedziałem sam, o czym myślę, nie mogłem się, że tak powiem, zdecydować na to, żeby wiedzieć, o czym myślę. Patrzyłem na flakony i słoiki, tubki, same damskie utensylia, nie mogłem już sobie Hanny wyobrazić, dawnej Hanny, Hanny dzisiejszej, żadnej. Miałem dreszcze, ale nieprzyjemnie mi było znów kłaść zakrwawioną koszulę – nie odpowiedziałem, kiedy mnie Hanna zawołała.

Co się ze mną dzieje?

Sam nie wiedziałem.

– Kawę czy herbatę?

Wyczerpał mnie ten dzień, stąd moje niezdecydowanie, co wcale nie jest w moim stylu, stąd to majaczenie (wanna jako sarkofag etruski), wręcz delirium dygoczącego niezdecydowania...

– Tak – powiedziałem. – Już idę.

Właściwie wcale nie myślałem o zobaczeniu się znowu z Hanną; chciałem natychmiast po naszym przybyciu do Aten pojechać na lotnisko—

Urlop mój minął.

Jak dostarczę z powrotem do Paryża citroena, którego mi pożyczył Williams i który stał w Bari, było dla mnie zagadką. Nie znałem nawet nazwy tego garażu!

– Tak – zawołałem. – Już idę!

Ale leżałem w wannie dalej.

Via Appia—

Mumia w Watykanie—

Moje ciało pod wodą—

Nie jestem za samobójstwem, to nie zmienia faktu, że się było na tym świecie, a ja w tej chwili chciałem tylko jednego: nigdy na tym świecie nie być!

– Walterze – zapytała Hanna – idziesz?

Nie zamknąłem drzwi od łazienki i Hanna (tak pomyślałem) mogłaby po prostu wejść, żeby mnie z tyłu rąbnąć siekierą w głowę; leżałem z zamkniętymi oczami, aby nie widzieć swego starego ciała—

Hanna telefonowała.

Dlaczego nie mogło się obejść beze mnie?

Później, w ciągu wieczoru, rozmawiałem znowu, jakby się nic nie stało. Bez obłudy; naprawdę nic, najważniejsze, że Sabeth jest uratowana. Dzięki surowicy. Zapytałem Hannę, dlaczego nie wierzy w statystykę, tylko w przeznaczenie i tak dalej.

– Ty ze swoją statystyką! – powiedziała. – Gdybym miała sto córek, wszystkie pogryzione przez żmije, to tak! Wtedy straciłabym tylko trzy do dziesięciu córek. Zdumiewająco mało! masz zupełną rację.

Zaśmiała się.

– Ale mam jedno jedyne dziecko! – powiedziała.

Nie przeczyłem, ale byliśmy bliscy kłótni, nagle zawiodły nas nerwy. Zaczęło się od mojej uwagi.

– Hanno – powiedziałem – zachowujesz się jak kwoka.

Tak mi się wyrwało.

– Przepraszam – powiedziałem – ale tak jest!

Później dopiero zauważyłem coś, co mnie zirytowało; wyszedłem z kąpieli, Hanna przy telefonie, zadzwoniła do szpitala, podczas gdy byłem w łazience – rozmawiała z Elsbeth.

Słyszałem wszystko, choć nie chciałem.

Ani słowa o mnie—

Rozmawiała tak, jakby była tylko Hanna, matka, która bała się o Sabeth i cieszyła się, że dziewczynie z wolna wraca dobre samopoczucie, że już może mówić, rozmawiały po niemiecku, póki nie wszedłem do pokoju, wtedy Hanna przeszła na grecki. Nie rozumiałem ani słowa. Potem odwiesiła słuchawkę.

– Jak się czuje? – zapytałem.

Po Hannie widać było ulgę—

– Czyś powiedziała – zapytałem – że ja tu jestem?

Hanna wzięła papierosa.

– Nie – odparła.

Hanna zachowuje się bardzo dziwnie, ale ja po prostu nie wierzę, że dziewczyna o mnie nie zapytała; mam chyba prawo, tak mi się zdaje, wiedzieć przynajmniej, o czym mówiły.

– Chodź – powiedziała Hanna – zjemy coś.

Wściekał mnie jej uśmiezek – jakbym nie miał prawa wiedzieć wszystkiego.

– Siadaj – powiedziała Hanna.

Ale ja nie usiadłem.

– Dlaczego jesteś urażony, że mówię z moim dzieckiem? – zapytała.

– Dlaczego?

Zachowywała się naprawdę (robią to, jak sędzę, wszystkie kobiety, nawet jeżeli są nie wiem jakimi intelektualistkami) jak kwoka, która bierze swoje młode pod skrzydła; stąd moja uwaga o kwoce, tak od słowa do słowa, Hannę rozgniewała moja uwaga, że stała się bardziej kobieca niż dawniej. Jej wieczny argument:

– To moje dziecko, nie twoje.

I wtedy moje pytanie:

– Czy to prawda, że Joachim jest jej ojcem?

Milczenie.

– Daj spokój! – powiedziała. – Czego ty w ogóle chcesz ode mnie?

Nie widziałam Elsbeth pół roku i nagle twój telefon ze szpitala, przyjeżdżam i zastaję ją nieprzytomną – nie wiem, co się stało.

Odwołałem wszystko.

– Słuchaj – powiedziała – o czym chcesz rozmawiać z moją córką?

Czego w ogóle od niej chcesz? Co cię z nią łączy?

Widziałem, że dygoce.

Hanna nie jest bynajmniej starą kobietą, ale ja widziałem naturalnie jej zwiotczałą skórę, worki pod oczami, kurze łapki na skroniach, nic mi to nie przeszkadzało, ale widziałem. Hanna zeszczułała, wydelikatniała. Było jej ładnie ze starością, szczególnie ładną miała twarz, tak uważałem, jeżeli nie brać pod uwagę skóry pod brodą, która mi się wydała podobna do skóry jaszczurki. Odwołałem wszystko.

Rozumiałem dobrze, że Hanna jest przywiązana do córki, że liczyła dni, kiedy mała wróci do domu, i że to dla matki niełatwe, kiedy jej dziecko, jedyne dziecko, po raz pierwszy wyjeżdża w świat.

– Ona już nie jest dzieckiem – powiedziała Hanna – ja ją sama wysłałam w tę podróż, kiedyś musi zacząć żyć własnym życiem, to dla mnie jasne, że pewnego dnia nie powróci do mnie—

Pozwoliłem Hannie mówić.

– Tak już jest – powiedziała – nie możemy zatrzymać życia, Walterze, ty też nie możesz, – Wiem! – powiedziałem.

– Więc dlaczego usiłujesz? – zapytała.

Nie zawsze rozumiałem Hannę.

– Życie odchodzi razem z dziećmi – powiedziała.

Zacząłem wypytywać się o jej pracę.

– Tak to już jest – powiedziałem – nie możemy się żenić ze swymi dziećmi.

Nie odpowiedziała mi.

– Walterze – zapytała – ile masz teraz lat?

I to jej powiedzenie: nie ma stu córek, tylko jedną jedyną (o czym wiedziałem), a jej córka ma tylko jedno życie (o czym też wiedziałem), jak każdy człowiek; i ona, Hanna, miała tylko jedno życie, spartaczone, i ja też (czy wiem o tym?) miałem tylko jedno życie.

– Hanno – powiedziałem – to przecież wiemy.

Jedzenie ostygło.

– Dlaczego spartaczone? – zapytałem.

Hanna paliła. Zamiast jeść.

– Jesteś mężczyzną – powiedziała. – Ja jestem kobietą, to jest różnica, Walterze.

– Mam nadzieję! – zaśmiałem się.

– Nie będę miała więcej dzieci—

Powtórzyła to w ciągu wieczora dwukrotnie.

– Nad czym pracuję? – powiedziała. – Widzisz przecie, nad tymi skorupami. To musiała być waza. Kreta. Zlepiałam przeszłość.

Nie uważam, żeby życie Hanny było spartaczone. Przeciwnie. Nie znam jej drugiego męża, tego Pipera, poznała go na emigracji; Hanna prawie nie wspomniała o nim, chociaż (co mnie jeszcze dziś za każdym razem dziwi) nosi jego nazwisko: Dr Hanna Piper. Poza tym Hanna zawsze robiła to, co uważała za stosowne, a dla kobiety, sędzę, to bardzo wiele. Prowadziła takie życie, jakiego chciała. Dlaczego nie udało jej się z Joachimem, nie powiedziała. Powiedziała, że to był kochany człowiek. Ani śladu jakichś zarzutów; najwyżej uważała, że jesteśmy śmieszni, wszyscy mężczyźni w ogóle. Hanna może sobie za dużo po mężczyznach obiecywała, choć sędzę, że ich lubi. Jeżeli chodzi o zarzuty, to stawiała je sobie samej; gdyby mogła albo musiała żyć raz jeszcze, kochałaby mężczyzn zupełnie inaczej. Uważała za naturalne (tak mówiła), że mężczyźni są ograniczeni, i żałowała tylko własnej głupoty, że każdego z nas (nie wiem, ilu ich było) uważała za wyjątek. Przy tym Hanna, jak sędzę, bynajmniej nie jest głupia. Ale tak uważa. Uważa za głupie ze strony kobiety, że chce, by ją mężczyzna rozumiał; mężczyzna (tak mówi Hanna) chce, żeby kobieta była tajemnicza, żeby go jego własne niezrozumienie podniecało i uwznioślało. Według Hanny mężczyzna jest wsłuchany tylko w siebie, dlatego życie kobiety, która chce być zrozumiana przez mężczyznę, musi być spartaczone. Tak mówi Hanna. Mężczyzna siebie uważa za pana świata, a kobietę tylko za swoje zwierciadło! Pan nie potrzebuje uczyć się mowy swego poddanego, a kobieta musi nauczyć się mowy swego pana, choć to jej nic nie daje, przeciwnie, uczy się języka, w którym jej się zawsze odmawia racji. Hanna żałuje, że została doktorem filozofii. Jak długo Bóg jest mężczyzną, a nie parą ludzi, może życie kobiety, twierdzi Hanna, być jedynie takie, jakie jest dotychczas, to znaczy godne politowania; kobieta to proletariusz stworzenia, choćby była nie wiem jak elegancko

ubrana. Wydawała mi się komiczna ta pięćdziesięcioletnia kobieta, która filozofuje jak podłotek, kobieta, która wygląda tak bez zarzutu jak Hanna, nawet atrakcyjnie, przy tym indywidualność, to było jasne, kobieta tak wyglądająca – myślałem o tym, jak na przykład Hannę traktowano w szpitalu, ją, cudzoziemkę, która mieszka w Atenach dopiero od trzech lat, jak uczoną, jak laureatkę Nobla! – Żał mi jej było.

– Walterze, ty nic nie jesz.

Schwyciłem ją za ramię:

– Ach, ty proletariuszko stworzenia!

Hannie nie chciało się śmiać, czekała tylko, kiedy puszcze jej ramię.

– Gdzie – zapytała – byliście w Rzymie?

Złożyłem raport.

Jej spojrzenie—

Można by sądzić, że jestem upiorem, tak spójrzała na mnie Hanna, kiedy składałem jej sprawozdanie o Rzymie; potwór z ryjem i pazurami, potwór pijący herbatę.

Tego spojrzenia nigdy nie zapomnę.

Nie powiedziała ani słowa—

Mówiłem znowu, bo milczenie stało się nie do wytrzymania, na temat śmiertelności z powodu ukąszeń węży i o statystyce w ogóle.

Hanna jakby ogłuchła.

Nie miałem odwagi spojrzeć jej w oczy – kiedy choćby przez sekundę (dłużej nie mogłem) myślałem o tym, że obejmowałem Sabeth albo że Hanna, która siedzi przede mną, jest jej matką, matką mojej kochanki i ona sama jest moją kochanką.

Nie wiem, co mówiłem.

Jej ręka (przemawiałem, że tak powiem, już tylko do jej ręki) była zdumiewająca; miała jak dłoń dziecka, starsza niż cała Hanna, nerwowa, bezwolna, brzydka, właściwie wcale nie dłoń, tylko coś okaleczonego, miękkiego i kościstego, zwiędniętego, wosk pokryty piegami, właściwie nie brzydka, przeciwnie, coś miłego, ale obcego, coś smutnego, okropnego, ślepego; mówiłem i mówiłem, milczałem, usiłowałem sobie wyobrazić dłoń Sabeth, ale na próżno, widziałem tylko to, co leżało na stole obok popielniczki, ludzkie mięso z żyłami pod skórą, wyglądające jak zmięta bibułka, takie kruche i jednocześnie błyszczące.

Byłem śmiertelnie zmęczony.

– Właściwie ona jest dzieckiem – powiedziała Hanna – czy też myślisz może, że miała już do czynienia z mężczyzną?

Spojrzałem Hannie w oczy.

– Życzę jej tego – powiedziała – życzę jej tego!

Nagle zaczęła sprzątać ze stołu.

Pomagałem.

Co się tyczy statystyki: Hanna nic nie chciała o niej wiedzieć, bo wierzy w przeznaczenie, zauważyłem to od razu, choć Hanna nie powiedziała tego wyraźnie. Wszystkie kobiety mają skłonność do przesądów, ale Hanna jest wysoce wykształcona, dlatego tak mnie to zdziwiło. Mówiła o mitach, jak my o zasadach termodynamiki, jak o prawie fizycznym, które każde oświadczenie tylko potwierdza, i dlatego wręcz obojętnym tonem. Bez zdziwienia. Edyp i Sfinks na rozbitej wazie ukazani w dziecinny sposób, Atena czy też erynie lub eumenidy – i jak tam się to wszystko nazywa – to są dla niej fakty; jej nic nie przeszkadza wyjeżdżać z nimi w samym środku poważnej rozmowy. Niezależnie od tego, że w mitologii i w ogóle w beletrystyce nie jestem mocny, nie chciałem się sprzeczać; mieliśmy dość konkretnych zmartwień.

5. VI miałem być w Paryżu—

7. VI w New Yorku—

10. VI (najpóźniej) w Wenezueli—

Hanna pracuje w instytucie archeologicznym, bogowie należą do jej fachu, musiałem to sobie ciągle powtarzać: wszyscy mamy z pewnością, nie zdając sobie z tego sprawy, deformację zawodową. Śmieszyło mnie, kiedy Hanna tak mówiła.

– Ty z twoimi bogami!

Wtedy dała temu spokój.

– Nie wyjechałbym – powiedziałem – gdyby nie było pewne, że Sabeth jest uratowana, możesz mi wierzyć.

Hanna miała dla tego całkowite zrozumienie, zdawało się; zmywała, podczas gdy ja opowiadałem jej pokrótce o moich obowiązkach zawodowych, wycierałem naczynia – jak przed dwudziestu laty, zauważyłem – raczej przed dwudziestu jeden.

– Tak uważasz?

– A ty tak nie uważasz? – powiedziałem.

Jak Hanna liczyła, że doliczyła się dwudziestu jeden lat, nie wiem. Ale trzymałem się tego, aby mnie za każdym razem nie poprawiała.

– Ładna kuchnia – mówię.

Nagle znowu jej pytanie:

– Czyś widział się kiedy z Joachimem?

Raz wreszcie, to było jasne, będę jej musiał powiedzieć, że Joachim nie żyje, ale nie akurat dzisiaj, nie akurat pierwszego wieczoru.

Mówiłem o byle czym—

Nasze kolacje niegdyś na jej mansardzie!

– Pamiętasz jeszcze panią Oppikofer?

– Bo co? – zapytała.

– Nic, tylko tak – powiedziałem. – Jak pukała zawsze kijem od szczotki, kiedy po dwudziestej drugiej godzinie jeszcze u ciebie siedziałem—

Naczynia były już zmyte i wytarte.

– Walterze – spytała – napijesz się kawy?

Wspomnienia to zabawna rzecz.

– Tak – powiedziałem – po dwudziestu latach można się z tego śmiać.

Hanna nastawiła wodę.

– Walterze – zapytała – czy napijesz się kawy?

Nie chciała słuchać żadnych wspomnień.

– Tak – powiedziałem – proszę.

Nie rozumiem, dlaczego jej życie miałyby być spartaczone. Przeciwnie. Uważałem, że to nie byle co, jeżeli ktoś może żyć mniej więcej, tak, jak to sobie raz postanowił. Podziwiam ją. Szczerze mówiąc, nigdy nie uwarzyłbym, że filologia i historia sztuki mogą się opłacić. Przy tym nie można nawet powiedzieć, by Hanna była niekobieca. Praca do niej pasuje. Już będąc żoną Joachima, zdaje się, pracowała, tłumaczenia i tak dalej, a w czasie emigracji w każdym razie. W Paryżu, po rozstaniu z Joachimem, pracowała w jakimś wydawnictwie. Kiedy weszli Niemcy, uciekła do Anglii i tam sama utrzymywała dziecko. Joachim był lekarzem w Rosji, tak że nie mógł jej pomagać. Hanna pracowała jako niemiecka spikerka w BBC. Dziś jeszcze jest obywatelką angielską. Pan Piper zawdzięcza jej życie, tak mi się zdaje; Hanna poślubiła go, gdy wyszedł z obozu koncentracyjnego (jeżeli dobrze zrozumiałem), bez wielkiego namysłu, dzięki swej dawnej sympatii do komunistów. Pan Piper rozczarował ją. Hanna tylko się śmieje: mężczyzna! Niczym się nie przejmuje, byleby tylko mógł robić swoje filmy. Zagubił spontaniczny stosunek do rzeczywistości. W kwietniu 1953 roku Hanna porzuciła go. On tego wcale nie zauważył. Hanna niechętnie o nim mówi, jednak tym szczegółowiej, im mniej on mnie interesuje. Hanna nie stawia mu zarzutów; właściwie śmieje się tylko z siebie samej, ewentualnie ze swojej miłości do mężczyzn.

– Dlaczego twoje życie miałyby być spartaczone – powiedziałem. – Wmówiłaś to sobie, Hanno.

Uznała, że jestem ślepy.

– Widzę tylko – powiadam – to, co jest; twoje mieszkanie, twoją pracę naukową, twoją córkę – powinnaś dziękować Bogu!

– Dlaczego Bogu?

Hanna jest zawsze taka: wie dobrze, co człowiek ma na myśli. Lubi słowa! Jak gdyby chodziło o słowa. Kiedy się mówi najpoważniej, nagle zaczyna się czepiać słów.

– Walterze, odkąd to wierzysz w Boga?

– Słuchaj – mówię – zrób kawę!

Hanna wiedziała dokładnie, że Bóg mi niepotrzebny, i kiedyśmy się ostatecznie dogadali, okazało się, że tego poważnie nie bierze.

– Dlaczego myślisz – pyta – że jestem religijna? Sądzisz pewno, że kobiecie w okresie klimaterium nic innego nie pozostaje.

Zaparzyłem kawę.

Nie mogłem sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy Sabeth wyjdzie ze szpitala, Sabeth i Hanna, i ja w tym samym pomieszczeniu, na przykład w kuchni: Hanna, która zdaje sobie sprawę, jak muszę panować nad sobą, żeby nie pocałować jej dziecka albo przynajmniej nie położyć jej ręki na ramieniu, i Sabeth, która wykrywa, że właściwie (jak oszust, który zdjął obrączkę) należę do mamy, choć ją, Sabeth, obejmuję ramieniem.

– Nie powinna tylko zostać stewardessą – powiadam – usiłowałem jej to wyperswadować.

– Dlaczego?

– Bo w ogóle nie ma o czym mówić – mówię – to nie dla dziewczyny jak Sabeth, która ostatecznie nie jest byle kim—

Kawa już była gotowa.

– Dlaczego nie miałyby zostać stewardessą?

Wiedziałem zresztą, że i Hanna jako matka nie jest w najmniejszym stopniu zachwycona tym pomysłem podlotka; sprzeciwiała się tylko, żeby mi okazać, że to w najmniejszym stopniu mnie nie powinno obchodzić:

– Walterze, to jest jej sprawa!

Innym razem.

– Walterze, nie jesteś jej ojcem.

– Wiem! – powiedziałem.

W chwili, w której usiadziemy, bo nie będzie się kolo czego krzątać, bałem się od początku – teraz właśnie nadeszła.

– Proszę cię – powiedziała – mów.

Było to łatwiejsze, niż się spodziewałem, prawie zwyczajne.

– Opowiedz mi – powiedziała – co zaszło.

Dziwi mnie jej spokój.

– Możesz sobie wyobrazić mój przestrah – powiedziała – kiedy przyszedłem do szpitala i zobaczyłam ciebie, jakieś tak siedział i spał—

Jej głos się nie zmienił.

W pewnym sensie wszystko było tak, jakby nie upłynęło te dwadzieścia lat, dokładniej, jak gdybyśmy mimo rozłąki cały ten czas spędzili razem. To, czegośmy o sobie nawzajem nie wiedzieli, było czymś czysto zewnętrznym, czymś, co nie warte było słów. Kariera i tak dalej. Co miałem powiedzieć? Hanna czekała jednakże.

– Bierzesz cukier? – zapytała.

Opowiadała o swoim zawodzie.

– Dlaczego podróżowałaś razem z Elsbeth? – zapytała.

Hanna jest kobietą, ale nie taką jak Ivy i inne, które znałem, nie można ich nawet porównać; jest też inna niż Sabeth. Hanna budzi ufność; patrzyła na mnie bez gniewu. To mnie dziwiło.

– Kochasz ją? – zapytała.

Piłem kawę.

– Od kiedy wiedziałeś, że jestem jej matką? – zapytała.

Piłem kawę.

– Nie wiesz jeszcze – powiedziałem – że Joachim umarł—

Nie chciałem tego powiedzieć.

– Umarł? – zapytała. – Kiedy?

Dałem się porwać, no i było za późno, musiałem opowiedzieć – akurat tego pierwszego wieczoru! – całą historię gwatemalską, Hanna chciała wszystko wiedzieć, to wszystko, co ja sam wiedziałem; o jego powrocie z Rosji, o jego pracy na farmie, od czasu rozwodu nie wiedziała, co się dzieje z Joachimem, ostatecznie nie powiedziałem jednak, że Joachim się powiesił, tylko skłamałem: angina pectoris. Zdumiony byłem, jak spokojnie to przyjęła.

– Powiedziałeś o tym Sabeth? – zapytała.

Po czym milczenie bez końca.

Podniosła znowu rękę do swoich rogowych okularów, jakby chciała zasłonić twarz; wydałem się sobie potworem.

– Co można na to poradzić – powiedziała.

To, że Hanna nie płakała, czyniło wszystko jeszcze cięższym; wstała. Była północ czy coś koło tego, nie miałem przecież zegarka, ale pomijając to, było tak, jakby czas stanął.

– Dostaniesz pokój Elsbeth.

Staliśmy w jej pokoju.

– Hanno – powiedziałem – powiedz prawdę: czy on jest jej ojcem?

– Tak! – powiedziała. – Tak!

Od razu zrobiło mi się lżej, nie miałem przecież powodu myśleć, że Hanna kłamie, i uznałem w tej chwili (o przyszłości i tak nie było co myśleć) za ważniejsze niż wszystko inne to, że dziewczyna dostała zastrzyk surowicy i jest uratowana.

Podaliśmy jej rękę.

Siedzieliśmy, nieprzytomni ze zmęczenia, Hanna też, jak myślę, w każdym razie powiedzieliśmy już sobie dobranoc – kiedy Hanna znowu zapytała:

– Walterze, co było między tobą i Elsbeth?

A przecież wiedziała na pewno.

– Słuchaj – powiedziała – powiedz!

Nie wiem, co odpowiedziałem.

– Tak czy nie? – zapytała.

Stało się—

Hanna uśmiechała się jeszcze, jak gdyby nie słyszała, było mi lżej, że wreszcie powiedziałem, jakoś raźniej, w każdym razie lżej.

– Gniewasz się na mnie? – zapytałem.

Wolałbym spać na podłodze, Hanna nalegała, że muszę naprawdę wypocząć, pościel była świeżo powleczone – wszystko dla córki, która pół roku spędziła za granicą: nowa pidżama, którą Hanna zabrała, kwiaty na nocnym stoliku, czekolada – to zostało.

– Gniewasz się na mnie? – zapytałem.

– Czy masz wszystko? – zapytała. – Tu jest mydło—

– Nie mogłem wiedzieć – powiedziałem.

– Walterze – powiedziała – musimy iść spać.

Nie gniewała się, tak mi się zdawało, nawet podała mi jeszcze raz rękę. Była zdenerwowana, nic więcej. Śpieszyła się. Słyszałem, że poszła do kuchni, gdzie wszystko już było zrobione.

– Czy mogę ci w czymś pomóc?

– Nie powiedziała – śpij już!

Pokój Sabeth: trochę mały, ale miły, dużo książek, widok na Lykabetos, stałem jeszcze długo w otwartym oknie—

Nie miałem pidżamy.

Nie mam zwyczaju myszkować po cudzym pokoju, ale fotografia stała tuż, na półce z książkami, i ostatecznie znałem jej ojca, Joachima – wzięłem fotografię do ręki.

Zdjęcie z 1936 roku, robione w Zurychu.

Właściwie zdecydowałem się iść do łóżka, nie myśleć już, ale nie miałem pidżamy, jak wspomniałem, tylko moją brudną koszulę—

Wreszcie Hanna poszła do swego pokoju.

Musiąco być koło drugiej, siedziałem na czysto posłanym łóżku, jak siedzą bezdomni na ławkach w parkach, kiedy śpią, skuleni jak embryony – to mi zawsze przychodzi na myśl, gdy widzę tak śpiących – ale ja nie spałem.

Umyłem się.

Raz zapukałem w jej ścianę.

Hanna udawała, że śpi.

Nie chciała ze mną mówić, w którymś momencie tego wieczoru powiedziała, że powinienem milczeć: wszystko stanie się takie małe, jeżeli będziesz o tym mówił!

Może Hanna spała naprawdę.

Jej listy z Ameryki – mam na myśli listy Sabeth – leżały na stole, cała paczka, ze stemplem z Yale, jeden z Hawru, potem widokówki z Włoch, przeczytałem jedną jedyną, bo upadła na ziemię: pozdrowienia z Asyżu (bez napomknięcia o mojej osobie), tysiące całusów dla mamy, serdeczne uściski—

Wypaliłem jeszcze jednego papierosa.

Potem usiłowałem uprać koszulę—

Nie wiem, jak wpadłem na myśl, że wszystko już przetrzymałem, w każdym razie najgorsze, i jak mogłem wierzyć w to, że Hanna śpi.

Prałem najciszej, jak tylko mogłem.

Przyznaję, że na kwadrans zapomniałem po prostu, co się stało, albo też wydawało mi się to jak gdyby snem: kiedy człowiek śni, że jest skazany na śmierć, wie, że to nic nie znaczy, że wystarczy się tylko obudzić—

Rozwiesiłem mokrą koszulę w oknie.

Twarz Joachima patrzyła na mnie, sympatyczna, męska twarz, ale podobieństwa z Sabeth nie widziałem.

– Hanno? – zawołałem – śpisz?

Milczenie.

Drzałem bez koszuli, nie przyszło mi na myśl wziąć jej szlafrok, który wisiał na drzwiach, widziałem go—

W ogóle jej dziewczęce rzeczy!

Flet na półce z książkami—

Zgasilem światło.

Zapewne Hanna płakała już dłuższy czas, z twarzą schowaną w poduszki, póki jej starczyło łez – przeląknęłam się, kiedy to usłyszałam; pierwsza moja myśl: skłamała, to ja jestem ojcem. Łkała coraz głośniej, aż podszedłem do jej drzwi i zapukałem.

– Hanno – powiedziałem – to ja.

Zamknęła drzwi na klucz.

Stałem i słyszałem tylko jej łkania, daremnie prosiłem, żeby wyszła do przedpokoju i powiedziała, o co chodzi, w odpowiedzi tylko łkanie, czasem ciche, czasem znowu głośne, nieprzerwane, gdy milkła, było jeszcze gorzej, przytknąłem ucho do drzwi, nie wiedziałem, co mam myśleć, często to już nie był głos, tylko jakieś kwilenie, tak że lżej mi się robiło, kiedy znów łkała.

Nie miałem scyzoryka ani nic—

– Hanno – mówiłem – otwórz.

Kiedy mi się udało wyważyć drzwi pogrzebaczem, Hanna oparła się o nie. Krzyknęła, kiedy mnie zobaczyła. Stałem goły do pasa, może dlatego. Naturalnie było mi jej żal i przestałem pchać drzwi.

– Hanno – powiedziałem – to ja!

Chciała być sama.

Przed dwudziestoma czterema godzinami (wydawało mi się to wspomnieniem z młodości) siedzieliśmy na Akrokoryncie, Sabeth i ja, i czekaliśmy na wschód słońca. Nigdy tego nie zapomnę! Przybyliśmy z Patras i wysiedliśmy w Koryncie, żeby obejrzeć siedem kolumn świątyni, potem kolacja w dobrym guest-house w pobliżu. Poza tym Korynt jest zwykłą wsią. Kiedy się okazało, że nie ma pokoi, zaczęło się zmierzchać; Sabeth uznała, że miałem świetną myśl, aby nocą powędrować dalej i przespać się pod jakimś drzewem figowym. Z początku żartowałem, ale kiedy Sabeth uznała to za wspaniały pomysł, powędrowaliśmy przed siebie, żeby naprawdę znaleźć jakieś drzewo figowe, po prostu na przełaj przed siebie. Potem szczekanie psów pasterskich, alarm dookoła, stada była w nocy; musiały to być groźne bestie sądząc po ich ujadaniu, a na górze, gdzie nas zagoniły, nie było żadnych drzew figowych, tylko osty i w dodatku wiatr. O spaniu ani mowy! Nie przypuszczałem nigdy, że noc w Grecji może być tak zimna, noc czerwcową, w dodatku wilgotną. Przy tym nie mieliśmy pojęcia, dokąd nas zaprowadzi ścieżka między skałami, kamienista, pokryta pyłem, dlatego w świetle księżycy biała jak gips. Sabeth uznała: jak śnieg! Zgodziliśmy się: jak jogurt! Dokoła czarne skały. Jak węgiel, powiedziałem, ale Sabeth znów znalazła coś innego i tak bawiliśmy się na drodze, która prowadziła nas coraz wyżej. Ryk osła w nocy: jak wprawka na wiolonczeli! Uznała Sabeth, ja zaś powiedziałem: jak nie naoliwiony hamulec! poza tym śmiertelna cisza; psy wreszcie umilkły, gdy przestały słyszeć nasze kroki. Białe chatki Koryntu: jak gdyby ktoś wysypał kostki cukru z puszki! Ja określiłem to inaczej, po prostu żeby kontynuować naszą grę. Ostatni czarny cyprys: jak wykrzyknik, powiedziała Sabeth. Zacząłem się z nią sprzeczać: wykrzyknik jest zaostroszony nie w górze, lecz w dole. Wędrowaliśmy całą noc. Nie

spotkaliśmy żywej duszy. Raz przestraszyło nas beczenie kozy, potem znów cisza wśród czarnych nawisów, które pachniały miętą, cisza i bicie serca, i pragnienie, nic tylko wiatr w suchych trawach: jak gdyby ktoś szeleścił jedwabiem, powiedziała Sabeth; musiałem się namyślać i często nie przychodziło mi nic do głowy, to był punkt na korzyść Sabeth, tak brzmiała reguła gry. Sabeth zawsze coś znajdowała. Wieże i mury jakiejś średniowiecznej twierdzy: jak kulisy w operze! Przechodziliśmy przez wrota i znowu przez wrota, nigdzie szmeru wody, słyszeliśmy echo swoich kroków wśród tureckich murów, a kiedyśmy stawali, śmiertelna cisza. Nasze cienie w świetle księżyca: jak wycinanki, uznała Sabeth. Graлиśmy do dwudziestu jeden punktów, jak w ping-pongu, potem rozpoczynała się nowa partia, aż nagle w środku nocy znaleźliśmy się na samej górze. Naszej komety nie było już widać. W oddali morze. Jak blacha cynkowa, powiedziałem, podczas gdy Sabeth mówiła, że jest zimno, ale mimo wszystko to wspomniała pomysł raz przenocować nie w hotelu. Była to jej pierwsza noc pod otwartym niebem. Sabeth dygotała w moich ramionach, podczas gdy czekaliśmy na wschód słońca. Przed wschodem słońca jest najzimniej. Potem wypalaliśmy jeszcze wspólnie naszego ostatniego papierosa; nie mówiliśmy ani słowa o nadchodzącym dniu, który dla Sabeth oznaczał powrót do domu. Koło piątej pierwszy blask jutrzeńki: jak porcelana! Z minuty na minutę robiło się jaśniej, na morzu i na niebie, nie na ziemi; widać było, gdzie muszą się znajdować Ateny, czarne wyspy w jasnych zatokach, odróżniała się woda od lądu, nad tym parę porannych obłoków: jak saszetki z różowym pudrem, powiedziała Sabeth, ja nie znalazłem żadnego porównania i znowu straciłem punkt: 19-9 dla Sabeth! Powietrze o tej godzinie jak jesienne astry. Ja powiedziałem: jak celofan, za którym nie ma nic. Teraz już było widać fale bijące o brzeg:

jak piana z piwa. Sabeth powiedziała: jak falbanka. Cofnąłem moją pianę z piwa i znalazłem: jak szklana wata! Ale Sabeth nie wiedziała, co to jest szklana wata – i wtedy ukazały się pierwsze promienie słońca znad morza. Jak snop, jak oszczep, jak pęknięcia na szkle, jak monstrancja, jak fotografie bombardujących się elektronów. Za każdą rundę liczył się tylko jeden punkt; nie było po co robić pół tuzina porównań; wkrótce potem wzeszło słońce, które nas oślepiło; jak pierwszy spust z wielkiego pieca, powiedziałem, podczas gdy Sabeth milczała i z kolei straciła punkt... Nigdy nie zapomnę, jak siedziała na tej skale z zamkniętymi oczami, jak milczała, a słońce na nią padało. Powiedziała, że jest szczęśliwa, i tego nigdy nie zapomnę: morze, które stawało się coraz ciemniejsze, bardziej niebieskie, fiołkowe, Morze Korynckie i to drugie, Morze Attyckie, czerwone pola, oliwki zielone jak grynszpan, ich długie poranne cienie na czerwonej ziemi, pierwsze ciepło i Sabeth, która obejmowała mnie tak, jakbym jej to wszystko podarował, morze, słońce i wszystko, i nigdy nie zapomnę, jak Sabeth śpiewała!

Znalazłem śniadanie, które przygotowała Hanna, i jej kartkę: Zaraz wracam, Hanna. Czekałem. Czułem się bardzo nie ogolony i przewróciłem do góry nogami całą łazienkę w poszukiwaniu żyletki; ale nic, tylko flakoniki, pudełeczka z pudrem, pomadki do ust, tubki, lakier do paznokci, kiamerki do włosów – w lustrze zobaczyłem swoją koszulę: wstrętniejsza niż wczoraj, plamy krwi nieco bledsze, ale cała brudna. Czekałem co najmniej godzinę.

Hanna wróciła ze szpitala.

– Jak ona się ma? – zapytałem.

Hanna jakaś dziwna.

– Myślałam – powiedziała – że powinieneś się wyspać.

Dalej bez ogródek:

– Chciałam być sama z Elsbeth, nie bierz mi tego za złe, Walterze, od dwudziestu lat jestem sama z dzieckiem.

Nie powiedziałem ani słowa.

– To nie jest wymówka – powiedziała – ale musisz to zrozumieć.

Chciałam być z nią sama. Tylko to. Chciałam z nią pomówić.

O czym chciała pomówić?

– O wszystkim i niczym.

– O mnie?

– Nie – powiedziała – mówiła o Yale, tylko o Yale, o jakimś młodym człowieku, który nazywa się Hardy, ale jakby bredziła.

Nie podobało mi się to, co Hanna powiedziała mi o jej stanie: skoki tętna, wczoraj szybkie, dzisiaj wolne, o wiele za wolne, przy tym twarz zaczerwieniona, jak twierdziła Hanna, i bardzo małe źrenice, a w dodatku zaburzenia w oddychaniu.

– Chcę ją zobaczyć! – powiedziałem.

Hanna uważała, że najpierw trzeba kupić koszulę—

Zgodziłem się.

Hanna przy telefonie.

– W porządku! – powiedziała. – Dostanę wóz z instytutu, żebyśmy mogli pojechać do Koryntu, wiesz, przywieźć jej rzeczy i twoje rzeczy, buty, marynarkę.

Hanna jako impresario.

– W porządku – powiedziała – taksówka już zamówiona—

Hanna chodziła tam i z powrotem, niepodobna było rozmawiać, opróżniała popielniczki, potem spuściła story.

– Hanno – powiedziałem – dlaczego nie patrzysz na mnie?

Może o tym nie wiedziała, ale tak było. Hanna tego ranka w ogóle na mnie nie patrzała. Cóż ja byłem winien, że tak się stało! To prawda: Hanna nie robiła mi przecież wymówek, nie narzekała, opróżniała tylko popielniczki pozostałe z wczorajszego wieczora.

Nie mogłem dłużej wytrzymać.

– Słuchaj – zapytałem – czy nie możemy pomówić?

Wziąłem ją za ramiona.

– Słuchaj – powiedziałem – spojrzij na mnie!

Jej budowa – przestraszyłem się, kiedy ją tak trzymał – jest delikatniejsza, mniejsza niż córka, subtelniejsza; nie wiem, czy Hanna zrobiła się mniejsza; jej oczy stały się piękniejsze; chciałem, żeby na mnie popatrzyła.

– Walterze – powiedziała – to boli.

Mówiłem nonsensy, widziałem po jej twarzy, że mówię od rzeczy, tylko dlatego że milczenie, jak uważałem, byłoby jeszcze bardziej nie do zniesienia; trzymałem obiema dłońmi jej głowę. Czego chciałem? Nie myślałem nawet o tym, żeby Hannę pocałować. Dlaczego się broniła? Nie miałem pojęcia, co mówię. Widziałem tylko jej przerażone oczy, jej szarobiałe włosy, jej czoło, nos, wszystko delikatne, szlachetne (albo jak to tam nazwać) i kobiece, szlachetniejsze niż u córki, jej jaszczurcza skóra pod brodą, kurze łapki na skroniach, oczy nie zmęczone, tylko przerażone, piękniejsze niż dawniej.

– Walterze – powiedziała – przerażasz mnie!

To powiedziała dwa razy.

Pocałowałem ją.

Hanna tylko patrzyła na mnie rozszerzonymi oczyma, póki nie puściłem jej twarzy, milczała, nie uporządkowała nawet włosów, milczała, przeklinała mnie.

Potem taksówka.

Pojechaliśmy do miasta, żeby kupić nową koszulę, to znaczy kupiła ją Hanna, ja nie miałem przecież pieniędzy i czekałem w taksówce, żeby nie pokazywać się w starej koszuli – Hanna była wzruszająca; wróciła nawet po chwili, żeby mnie zapytać o numer kołnierzyka! – potem do instytutu, gdzie Hanna, jak było umówione, dostała auto, opła, i potem nad morze, żeby zabrać suknie Sabeth i mój pugilares, czy raczej moją marynarkę (przede wszystkim ze względu na paszport) i aparat filmowy.

Hanna przy kierownicy—

W Daphni, czyli tuż za Atenami, jest zagajnik, gdzie mógłbym zmienić koszulę, tak mi się zdawało; Hanna potrząsnęła głową i prowadziła auto dalej, ja otworzyłem paczkę.

O czym mieliśmy rozmawiać!

Ja mówiłem o sytuacji ekonomicznej Grecji, zobaczyłem przed Eleusis duży plac budowy GREEK GOVERNMENT OIL RAFINERY, wszystko oddane w ręce niemieckich firm, co Hanny teraz (i w ogóle) nie interesowało; ale nasze milczenie było też nie do zniesienia. Tylko raz zapytała:

– Nie wiesz, jak tamta miejscowość się nazywa?

– Nie.

– Theodohori?

Nie wiedziałem, przyjechaliśmy z Koryntu autobusem i wysiedliśmy gdzieś, gdzie spodobało się nam morze, na siedemdziesiąt sześć kilometrów przed Atenami, to wiedziałem; przypomniała mi się tablica w eukaliptusowej alei.

Hanna przy kierownicy milczała.

Ja szukałem okazji, aby móc włożyć czystą koszulę; nie chciałem tego robić w aucie—

Przejechaliśmy przez Elesis.

Przejechaliśmy przez Megarę.

Mówiłem o moim zegarku, który oddałem kierowcy ciężarówki, i w ogóle o czasie; o zegarach, które mogłyby sprawić, aby czas biegł wstecz—

– Stop! – powiedziałem. – To tutaj—

Hanna zatrzymała wóz.

– Tutaj? – zapytała.

Chciałem tylko pokazać skarpe, na której musiałem ją położyć, zanim nadjechała ciężarówka z rurami. Skarpa jak wiele innych, skałki i osty, między nimi czerwony mech, obok prosta jak pod sznur droga, gdzie usiłowałem biegnąc nieść Sabeth, czarna, smoła ze żwirem, potem studnia z żurawiem, drzewo oliwkowe, kamieniste pólka, białe chatki kryte blachą falistą—

Znowu było południe.

– Proszę cię – powiedziałem – jedź wolniej.

To, co trwa wieczność, kiedy się idzie boso, trwa dwie minuty, gdy się jedzie oplem. Poza tym wszystko jak wczoraj. Tylko wózek ze żwirem, zaprzęgnięty w osła, nie stał już koło cysterny. Hanna wierzyła mi na słowo; nie wiem, czemu chciałem jej wszystko pokazać. Miejsce, gdzie nadjechał wózek, z którego sypał się żwir, było nietrudne do odnalezienia, widać było ślady kół, ślady kopyt oślich.

Myślałem, że Hanna zaczeka w aucie.

Ale ona wysiadła, poszła pieszo po rozgrzanej, wysmołowanej drodze, szła za mną, szukałem pinii, potem w dół poprzez janowce, nie rozumiem, dlaczego Hanna nie chciała zostać w aucie.

– Walterze – powiedziała – tu jest ślad!

Ale ja uważałem, żeśmy tu nie przyjechali po to, żeby szukać śladów krwi, tylko żeby znaleźć moją teczkę, marynarkę, paszport, moje buty – Wszystko leżało nietknięte.

Hanna poprosiła o papierosa—

Wszystko jak wczoraj.

Tylko dwadzieścia cztery godziny później: ten sam piasek, te same fale, słabe, małe falki, na których nie robiły się grzebienie, to samo słońce, ten sam wiatr w janowcach – tylko że nie Sabeth stała przy mnie, ale jej matka, Hanna.

– Tu kąпалиście się?

– Tak – powiedziałem.

– Ładnie tu – powiedziała.

To było straszne.

Co się tyczy wypadku, nie mam nic do zatajenia. Brzeg jest płaski. Można tu brodzić co najmniej trzydzieści metrów, zanim da się popłynąć, i w chwili kiedy usłyszałem jej krzyk, byłem oddalony od brzegu co najmniej o pięćdziesiąt metrów. Widzę, że Sabeth zerwała się z miejsca. Wołam: co się stało? Ona biegnie – po naszej bezsennej nocy na Akrokoryncie spaliśmy na piasku, potem poczułem, że chciałbym wejść do wody i zostać na chwilę sam, podczas gdy ona śpi. Przedtem, nie budząc jej, zakryłem jej jeszcze ramiona bielizną; żeby się nie spiekły na słońcu. Mało tu cienia, jedna jedyna pinia; położyliśmy się w małej kotlinie. Ale, jak było do przewidzenia, cień przesunął się, a raczej słońce, i wtedy, jak się zdaje, obudziłem się, bo nagle spotniałem, i ta cisza południowa, przestraszyłem się, może coś mi się śniło, czy też zdawało mi się, że słyszę kroki. Byliśmy jednak zupełnie sami. Może słyszałem wózki ze źwirem, przesypywanie żwiru łopatami; ale nic nie widać, Sabeth śpi, nie ma powodu do strachu, zwyczajne południe, nie ma przyływu, tylko słaby szum fal, które biegną po kamykach, czasem szurgot żwiru, raczej dzwonienie, poza tym cisza, pszczoła krąży nad nami. Zastanawiałem się, czy to rozsądnie pływać, kiedy się ma bicie serca. Chwilę stałem niezdecydowany; Sabeth poczuła, że nikt już przy niej nie leży, i poruszyła się, ale nie zbudziła. Posypałem piaskiem jej kark, ale ona spała. Ostatecznie poszedłem się kąpać – w chwili kiedy Sabeth krzyknęła, byłem oddalony najmniej o pięćdziesiąt metrów. Sabeth biegnie nie odpowiadając.

Nie wiem, czy mnie słyszała. Wtedy ja usiłuję biec w wodzie. Wołam, żeby się zatrzymała, czuję się jak sparaliżowany, wreszcie wychodzę z wody; człapię za nią, póki nie stanęła – Sabeth w górze, na skarpie:

Trzymała prawą rękę na lewej piersi, czekała i nie odpowiadała, póki nie wszedłem na skarpe (nie zdawałem sobie sprawy, że jestem nagi) i nie zbliżyłem się do niej – ten nonsens, że ona przede mną, jedynym, który może jej pomóc, powoli się cofa, aż wreszcie (mimo że stanąłem natychmiast!) pada na wznak.

Oto całe nieszczęście.

Nie spadła nawet z wysokości dwóch metrów, wzrostu ludzkiego; kiedy do niej podszedłem, leżała na piasku nieprzytomna. Zapewne uderzyła się w tył głowy. Dopiero po chwili zobaczyłem ślad po ukąszeniu, trzy małe kropelki krwi, które otarłem natychmiast, natychmiast włożyłem spodnie, koszulę, butów nie, potem chwytam dziewczynę w ramiona, i na drogę, gdzie przejeżdża koło mnie ford i nie słyszy mego wołania—

Hanna, stojąca w tym nieszczęsnym miejscu, Hanna z papierosem, podczas gdy ja zdawałem sprawę z tego, co było, najdokładniej, jak tylko mogłem, pokazywałem skarpe i wszystko; Hanna była niesłychana, jak przyjaciel, a przecież byłem przekonany, że ona, matka, przeklina mnie w żywy kamień, choć ja, faktycznie biorąc, nic nie byłem temu winien.

– Chodź – powiedziała – weź swoje rzeczy.

Gdybyśmy nie byli przekonani, że mała jest uratowana, nie rozmawialibyśmy tak, naturalnie na tej plaży.

– Czy wiesz – powiedziała – że to twoje dziecko?

Wiedziałem.

– Weź swoje rzeczy.

Staliśmy trzymając rzeczy; ja moje zakurzone buty, Hanna czarne cowboyskie spodnie naszej córki.

Sam nie wiedziałem, co chcę powiedzieć.

– Chodźmy – powiedziała.

Raz tylko moje pytanie:

– Dlaczegoś to przede mną ukryła?

Nie dostałem odpowiedzi.

Znów błękitny żar nad morzem, jak wczoraj o tej porze, południe i płaskie fale, które nie mają grzebieni, tylko trochę piany, potem dźwięczą na żwirze, ciszą, a potem znów wszystko się powtarza.

Hanna zrozumiała mnie bardzo dobrze.

– Zapominasz – powiedziała – że jestem zameżna—

Innym razem:

– Zapominasz, że Elsbeth cię kocha—

Nie byłem w stanie wziąć wszystkiego w rachubę; ale jakieś wyjście, uważałem, zawsze musi się znaleźć.

Staliśmy jeszcze długo.

Dlaczego nie miałbym sobie znaleźć jakiejś pracy w tym kraju? – powiedziałem. – Technicy są wszędzie potrzebni, widziałaś, Grecja też się uprzemysławia—

Hanna zrozumiała dokładnie, jak ja to sobie wyobrażam, nie romantycznie, nie moralnie, tylko praktycznie: wspólnie mieszkanie, wspólne finanse, wspólna starość. Czemu nie? Hanna wiedziała to, kiedy mnie jeszcze nie przychodziło do głowy, od dwudziestu lat wiedziała; mimo to była bardziej zdumiona niż ja.

– Hanno – zapytałem – czemu się śmiejesz?

Jakaś przyszłość, uważałem, istnieje zawsze, świat nie stoi w miejscu, życie idzie dalej!

– Tak – powiedziała – ale może bez nas.

Ująłem ją za ramiona.

– Słuchaj – powiedziała – oboje nie jesteśmy wolni, Walterze, nie jesteśmy wolni! Nie dotykaj mnie.

Potem z powrotem do auta.

Hanna miała rację, o czymś zawsze zapomniałem; ale i wtedy, kiedy mi przypomniała, byłem zdecydowany prosić o przeniesienie do Aten albo poprosić o zwolnienie, żeby osiedlić się w Atenach, choć w tej chwili nie wiedziałem jeszcze, jak załatwić to nasze wspólne mieszkanie; jestem przyzwyczajony szukać rozwiązań, aż je znajdę... Hanna pozwoliła mi usiąść przy kierownicy, jeszcze nigdy nie prowadziłem opla-olimpia, a Hanna też nie spała całą noc; udawała teraz, że śpi.

W Atenach kupiliśmy jeszcze kwiaty.

Na krótko przed piętnastą.

Jeszcze w poczekalni, gdzie musieliśmy poczekać, nie mieliśmy o niczym pojęcia, Hanna odwijiała kwiaty z papieru—

Potem ta twarz zakonnicy!

Hanna przy oknie, jak wczoraj, ani słowa między nami, nie patrzymy nawet na siebie—

Potem przyszedł doktor Eleutheropulos.

Wszystko po grecku; ale zrozumiałem.

Umarła wkrótce po czternastej.

—— Potem koło jej łóżka, Hanna i ja, w to nie można było po prostu uwierzyć, nasze dziecko z zamkniętymi oczyma, jakby spało, ale biała jak gips, jej długie ciało pod prześcieradłem, ręce wzdłuż bioder, nasze kwiaty na piersi, pomyślałem, nie żeby się pocieszyć, naprawdę: ona śpi! I dziś jeszcze nie mogę w to uwierzyć. – Ona śpi! – mówię wcale nie do Hanny, która nagle na mnie krzyknęła, Hanna ze swoimi piąstkami przede mną, nie poznawałem jej, nie bronię się, nie uważam, jak jej piąstki tłuką mnie po czole. Co to zmieni! Ona krzyczy i bije mnie po twarzy, aż do utraty tchu – cały czas trzymam tylko rękę przed oczami.

Jak dziś już wiadomo, śmierć naszej córki nie była spowodowana ukąszeniem węża, czemu skutecznie zapobiegła surowica; śmierć nastąpiła wskutek nie zauważonego złamania podstawy czaszki, compressio cerebri, wywołanego jej upadkiem ze skarpy. Uszkodzenie arterii meningica media, tzw. epidural-haematom, co interwencja chirurgiczna (jak mi powiedziano) mogłaby usunąć.

Pisane w Caracas od 21 czerwca do 8 lipca.

DRUGI ETAP

Ateny, szpital, zacząłem notować 19 lipca.

Zabrali moją Hermes-Baby i zamknęli w białej szafie, bo to południe, godzina ciszy. Mam pisać ręcznie! Nie cierpię ręcznego pisania, siedzę na łóżku nagi do pasa, mój mały wentylator (podarunek Hanny) kręci się od rana do wieczora; poza tym śmiertelna cisza. Dziś znowu czterdzieści stopni w cieniu! Te godziny ciszy (13.00–17.00) są najgorsze. Przy tym mam już mało czasu na prowadzenie moich notatek. Hanna odwiedza mnie co dzień, mój przestach za każdym razem, kiedy ktoś puka do białych podwójnych drzwi; Hanna w żałobie wchodzi do mego białego pokoju. Czemu nigdy nie siada? Chodzi co dzień na grób, to właściwie wszystko, co wiem o Hannie, i co dzień jest w instytucie. Jej stanie w oknie, podczas gdy ja muszę leżeć, denerwuje mnie, i to jej milczenie. Czy może mi przebaczyć? Czy ja mogę coś naprawić? Nie wiem nawet, co Hanna robiła od tego czasu; ani słowa na ten temat. Pytałem, czemu nie siada. W ogóle nie rozumiem jej, jej uśmiezku, kiedy pytam, jej spojrzenia, które mnie omija, czasem się boję, czy nie popadnie w obłąd. Dziś minęło sześć tygodni.

8. VI. New York.

Zwykła saturday-party w ogrodzie u Williamsów, nie chciałem pójść, ale musiałem, to znaczy: właściwie nikt mnie nie mógł zmusić, ale poszedłem. Nie wiedziałem, co z sobą robić. Na szczęście czekała na mnie przynajmniej wiadomość, że turbiny dla Wenezueli są wreszcie gotowe do montażu, więc dalszy lot możliwie jak najszybciej – pytałem sam siebie, czy dorosłem do tego zadania. Kiwnąłem głową, gdy Williams, optymista, położył mi rękę na ramieniu; ale zadawałem sobie to pytanie.

– Come on, Walter, have a drink!

Zwykłe rozmówki na stojąco—

– Roman holidays, oh, how marvellous!

Nie powiedziałem nikomu, że moja córka umarła, bo nikt nie wie, że w ogóle miałem córkę, nie noszę też żałobnej wstążki w butonierce, bo nie chcę, żeby mnie pytano to ich wszystkich nic nie obchodzi.

– Come on, Walter, another drink!

Piję o wiele za dużo—

– Walter has trouble – mówi Wiliams wszystkim dookoła! – Walter can't find the key of his home!

Williams uważa, że ja powinienem grać jakąś rolę, lepiej komiczną niż żadną. Nie można tak po prostu stać w kącie i jeść migdały.

– Fra Angelico, oh, I just love it!

Wszyscy wiedzą o wiele więcej niż ja—

– How did you enjoy the Masaccio-fresco?

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Semantics! You've never heard of semantics?

Sam sobie wydaję się idiotą—

Mieszkałem w hotelu Times Square. Tabliczka z moim nazwiskiem wisiała jeszcze na drzwiach mego mieszkania; ale Freddy, doorman, nic nie wiedział o kluczu. Ivy powinna go była zostawić, dzwoniłem do własnych drzwi. Byłem bezradny. Wszystko otwarte: office i kino, i subway, tylko nie moje mieszkanie. Potem wsiadłem do sightseeingboat, tylko żeby jakoś zabić czas; drapacze chmur jak grobowce (tak mi się zawsze zdawało), słuchałem objaśnień z głośników: Rockefeller-Center, Empire State, United Nations i tak dalej, jak gdybym nie przeżył w tym Manhattanie jedenastu lat. Potem kino. Później pojechałem subwayem, jak zawsze: IRT, EXPRESS UPTOWN, bez przesiadania na Clumbus Circle, choć linią INDEPENDENT byłoby bliżej mego domu, ale w ciągu jedenastu lat nie przesiadałem się ani razu, wysiadłem tam, gdzie wysiadałem zawsze, i zaszedłem jak zwykle mimochodem do mojej chińskiej pralni, gdzie mnie znają. Hello, mister Faber, potem z trzema koszulami, które czekały na mnie od paru miesięcy, z powrotem do hotelu, gdzie nie miałem nic do roboty, skąd telefonowałem kilkakrotnie do siebie do domu – naturalnie bez skutku! – po czym, niestety, znalazłem się tutaj.

Nice to see you, itd.

Przedtem poszedłem jeszcze do mego garażu, aby zapytać, czy mój studebaker jeszcze istnieje; nie potrzebowałem zresztą pytać, widać go było z daleka (ta czerwień pomadki do ust) na podwórzu, między czarnymi murami.

Potem, jak powiedziałem, znalazłem się tutaj.

– Walter, what's the matter with you?

Tych saturday-party nienawidziłem od dawna.

Nie jest mi dane być dowcipnym. Ale nie mam ochoty znosić z tego powodu czyjejs ręki na ramieniu—

– Walter, don't be silly!

Wiem, że nie dorosłem do swoich zadań. Byłem pijany i wiedziałem o tym. Oni myśleli, że ja tego nie dostrzegam. Znałem ich. Kiedy kogoś już nie ma, nikt tego nie zauważa. Mnie już tam nie było. Szedłem w nocy przez Times Square (ostatni raz, mam nadzieję), żeby w kabinie telefonicznej jeszcze raz nakręcić mój numer – nie rozumiem jeszcze dotąd, jakim cudem ktoś przyjął telefon.

– This is Walter – powiedziałem.

– Who?

– Walter Faber – powiedziałem – tutaj Walter Faber—

Nieznany.

– Sorry! – powiedziałem.

Może zły numer; biorę olbrzymią księgę telefoniczną Manhattanu, żeby sprawdzić swój numer, i próbuję raz jeszcze.

– Who's calling?

– Walter – mówię – Walter Faber.

Odpowiedział ten sam głos co poprzednio, tak że zamilkłem na chwilę; nie rozumiem.

– Yes, what do you want?

Ostatecznie, nic mi się nie stanie, jeżeli odpowiem. Zbieram się na odwagę, zanim tamten odwiesi słuchawkę, i pytam, po prostu żeby coś powiedzieć, o numer.

– Yes, this is Trafalgar 4-5571.

Jestem pijany.

– That's impossible – mówię.

Może moje mieszkanie jest wynajęte, może zmieniono numer, wszystko możliwe, rozumiem, ale nic mi to nie pomaga.

– Trafalgar 4-5571 – powiadam – that's me!

Słyszę, jak on zasłania ręką słuchawkę i mówi z kimś (z Ivy?), słyszę śmiechy, po czym:

– Who are you?

Ja w odpowiedzi też pytam:

– Are you Walter Faber?

W końcu odwiesiłem słuchawkę, siedziałem w barze, kręciło mi się w głowie, już źle znoszę whisky, potem poprosiłem barmana, żeby odszukał numer mister Waltera Fabera i żeby mnie połączył, co też uczynił; dał mi słuchawkę, usłyszałem długi dzwonek, potem ktoś powiedział:

– Trafalgar 4-5571 – Hello?

Odwiesiłem słuchawkę bez słowa.

Operacja uwolni mnie od wielu dolegliwości na zawsze, operacja, która według statystyki udaje się w 94,6 na 100 przypadków, ale denerwuje mnie to oczekiwanie z dnia na dzień. Nie jestem przyzwyczajony do chorowania. Denerwuje mnie też, kiedy Hanna mnie pociesza, bo nie wierzy w statystykę.

Jestem naprawdę pełen ufności, zadowolony przy tym, że nie kazałem sobie tego zrobić w New Yorku albo Düsseldorfie, albo Zurychu; muszę widywać Hannę, rozmawiać z nią. Nie mogę sobie wyobrazić, co Hanna robi poza tym pokojem. Czy je? Czy śpi? Chodzi codziennie do instytutu (08.00–11.00 i 17.00–19.00) i co dzień na grób naszej córki. Co poza tym? Prosiłem Hannę, żeby usiadła. Dlaczego ona nic nie mówi? Kiedy Hanna siada, nie mija minuta, żeby się nie okazało, że czegoś brakuje, popielniczki albo zapalniczki, zrywa się więc i znów stoi. Jeżeli Hanna mnie nie znosi, to po co przychodzi? Poprawia mi poduszki. Gdyby to był rak, wzięto by mnie natychmiast pod nóż, to jasne. Wyjaśniłem to Hannie i przekonałem ją, mam nadzieję. Dzisiaj bez zastrzyku! Ożenię się z Hanną.

9, VI. Lot do Caracas.

Tym razem lecę przez Miami i Meridę, Youcatan, skąd jest prawie codziennie połączenie z Caracas, i przerywam podróż w Meridzie (bóle żołądka)—

Potem jeszcze raz do Campeche.

(Sześć i pół godziny autobusem z Meridy.)

Na małej stacji kolejki wąskotorowej, gdzie kaktusy rosną między podkładami kolejowymi, tam gdzie już raz, przed dwoma miesiącami, czekałem na pociąg z Herbertem Hencke, teraz z głową opartą o mur, z zamkniętymi oczyma, rozłożonymi rękami i nogami, wydaje mi się wszystko, co zaszło od ostatniego czekania na ten pociąg, niby jakaś halucynacja – nic się tutaj nie zmieniło:

Lepkie powietrze—

Zapach ryb i ananasów—

Chude psy—

Zdechłe psy, których nikt nie zakopuje, sepy na dachach wokół rynku, skwar, smród od morza, spілsnione słońce nad morzem, nad ładem błyska spomiedzy czarnych chmur jakby drzące, białoniebieskie światło lampy kwarcowej.

Jeszcze raz podróż pociągiem!

Ponowny przyjazd do Palenque ucieszył mnie, nic się nie zmieniło: weranda z naszymi hamakami, nasze piwo, drążek z papugą, poznają mnie tu jeszcze, w każdym razie dzieci znają mnie, kupuję i rozdaję meksykańskie słodycze, raz pojechałem nawet do ruin, gdzie w ogóle nic się nie zmienia, ani żywej duszy, skwir ptaków jak ongiś, wszystko dokładnie tak samo jak przed dwoma miesiącami – noc też, kiedy już umilkł dieslowski silnik z Palenque: indyk w ogrodzeniu koło werandy gulgoce, gdyż boi się błyskawic, sarna, czarna maciora uwiązana do kołka, księżyc z waty, pasący się koń wśród nocy...

Wciąż moje daremne myśli:

Gdyby wróciły tamte dni! Cofnąć się tylko o dwa miesiące, które tutaj nic nie zmieniły: dlaczego nie może być teraz kwiecień! I żeby wszystko inne było tylko moją halucynacją.

Potem sam w samochodzie...

Rozmawiam z Herbertem.

Rozmawiam z Marcelem.

Kąpię się w Rio Usumancinta, która się zmieniała; jest w niej więcej wody, na powierzchni nie robią się pęcherzyki, bo szybciej płynie, wątpliwe, czy da się teraz przejechać samochodem i nie zatonać—

Jakoś poszło.

Herbert się zmienił, widać to na pierwszy rzut oka, Herbert zarośnięty i w ogóle, nieufny jak zawsze:

– Człowieku, czego tu szukasz?

Herbert przypuszcza, że przyjechałem na polecenie jego rodziny czy też firmy, żeby go ściągnąć z powrotem do Düsseldorfu, i nie wierzy, że przyjechałem tylko po to, żeby go znowu zobaczyć, ale tak jest: nie ma się zbyt wielu przyjaciół.

Złamała mu się oprawka okularów.

– Dlaczego ich nie skleisz? – pytam.

Sklejam mu okulary—

Podczas ulewy siedzimy w baraku, że tak powiem, jak w arce Noego, bez światła, gdyż bateria, która w swoim czasie zasilala także i radio, wyczerpała się już dawno, a wiadomości ze świata w ogóle go nie interesują, wypadki w Niemczech ani apel profesorów z Getyngi, nie mówiąc o sprawach prywatnych.

Pytam go o jego nasha—

Herbert ani razu nie był w Palenque!

Przywiozłem benzynę, pięć kanistrów dla Herberta, żeby mógł w każdej chwili wyjechać; ale on nawet o tym nie myśli.

Jego szyderczy uśmieszek w gęstwie brody.

W ogóle nie mogliśmy się zrozumieć.

Jego szyderczy uśmiech, kiedy widzi, że gołę się starą żyłką, bo tutaj nie ma prądu, a ja nie chcę zapuszczać brody, bo muszę jechać dalej—

On nie ma żadnych planów!

Jego nash 55 stał pod dachem z wyschniętych liści, jak poprzednim razem, nawet kluczyk jeszcze tkwił; widocznie Indianie nie wiedzieli, jak się zapala motor, nic nie było uszkodzone, ale całość zapuszczona, tak że natychmiast wziętem się do roboty.

– Jeżeli ci to sprawia frajdę – powiedział – to proszę.

Herbert poluje na guany.

Motor był zupełnie zamulony wskutek deszczu, trzeba było wszystko oczyścić, wszystko zatkane i brudne, zapach pyłków kwiatowych, które lepią się do smaru i gniją, ale rad jestem, że mam robotę—

Dzieci Majów otaczają mnie.

Przypatrują się całymi dniami, jak rozbieram silnik, liście bananowe leżą na ziemi, na nich części maszyny—

Błyskawice bez deszczu.

Matki też się gapią, wygląda na to, że rodzą bez przerwy, ostatnie niemowlę trzymają przy brunatnej piersi, oparte na znów ciężarnym brzuchu i tak stoją, podczas gdy ja czyszczę silnik, i gapią się bez słowa, bo i tak bym ich nie zrozumiał.

Herbert z pękiem guan.

Żyją, są zupełnie nieruchome, póki się ich nie dotknie, jaszczurcze pyszczki mają związane słomą, bo gryzą, ugotowane smakują jak kura.

Wieczór w hamakach.

Nie ma piwa, tylko to mleko kokosowe—

Błyskawice.

Mój niepokój, że mogą ukraść coś, czego nie będzie można zastąpić, nie wzrusza Herberta; jest przekonany, że nie ruszą części maszyn. Nie mówi już o buncie! Pracują nawet całkiem pilnie, powiada Herbert, są posłuszni, choć przekonani, że to wszystko na nic.

Szyderczy uśmiech w gęstwie brody—

Przyszłość niemieckiego cygara!

Pytam Herberta, co on sobie właściwie myśli; czy chce tu zostać, czy wrócić do Düsseldorfu; co zamierza—

Nada! Wszystko jedno!

Raz powiedziałem, że spotkałem Hannę, że się z nią ożenię; ale nawet nie wiem, czy Herbert to usłyszał.

Herbert jest jak Indianin.

Skwar—

Świetliki—

Pot kapie jak w łaźni.

Następnego dnia zaczął padać deszcz, nagle – tylko przez kwadrans –: potop, potem znowu słońce; ale potworzyły się brunatne kałuże, a ja wypchnąłem nasha z szopy, żeby móc pracować na powietrzu, nie mogłem przewidzieć, że akurat w tym miejscu powstanie staw. Nie wiedziałem w tym nic zabawnego, w przeciwieństwie do Herberta. Woda sięgała powyżej osi, nie mówiąc już o częściach rozebranego silnika, które poukładałem na ziemi. Byłem przerażony, kiedy to zobaczył. Herbert dał mi dwudziestu Indian, żeby mnie uspokoić, i zachowywał się, jakby go nie obchodziło ścinanie drzew, które zarządziłem, aby porobić kozły, żeby się można było dostać od spodu. Straciłem cały dzień, nim zebrałem wszystkie części składowe silnika, brodziłem w mętnych kałużach, macałem w ciepłym szlamie, musiałem sam wszystko robić, bo Herbert się w ogóle niczym nie interesował.

– Daj spokój! – powiedział tylko. – Po co to?

Postawiłem dwudziestu Indian do kopania rowów, aby woda spłynęła; tylko w ten sposób można było znaleźć poszczególne części, a i tak było dość ciężko, bo niektóre zatonęły w szlamie, wprost je wessało.

Jego co drugie słowo: Nada!

Pozwoliłem mu robić z siebie wariata, nie odpowiadałem. Bez nasha Herbert był zgubiony. Nie pozwoliłem się zarazić, pracowałem.

– Co zrobisz bez wozu? – powiedziałem.

Kiedy nareszcie złożyłem z powrotem silnik, tak że zaczął działać, Herbert uśmiechnął się znów szyderczo i powiedział: – Brawo – nic więcej, poklepał mnie po ramieniu: mogę sobie wziąć jego nasha, on mi go darowuje.

– Po co mi on! – powiedział—

Herbert nie dawał się odwieść od tej bzdury; potem Herbert jako policjant kierujący ruchem, podczas, gdy ja, w wozie stojącym jeszcze na koźlach, siadłem za kierownicą, aby jeszcze raz wszystko sprawdzić, i włączam silnik; dokoła dzieci Majów, matki w białych koszulach, wszystkie z niemowlętami, później też i mężczyźni, stojący w zaroślach, wszyscy z zagiętymi nożami, od wielu miesięcy już nie słyszeli motoru, włączyłem go i dodałem gazu, koła na luzie zakręciły się w powietrzu, Herbert dał znak: stop!, zgasilem silnik, zatrąbiłem, Herbert dał znak: jazda! Indianie (coraz ich było więcej) gapili się na nas bez uśmiechu, gdy tak wyglądaliśmy się, w milczeniu, wprost z nabożeństwem, podczas gdy my (po co właściwie?) bawiliśmy się w regulowanie ruchu w Düsseldorfie—

Dyskusja z Hanną! – na temat techniki, która (zdaniem Hanny) jest podstępem zmierzającym do urządzenia świata tak, byśmy go nie musieli przeżywać. Mania technika, żeby uczynić wszechświat czymś użytkowym, ponieważ nie wie, co ma z nim począć jako uczestnik gry. Technika jako podstęp, aby wyeliminować świat, jako akt buntu przeciwko światu, na przykład aby go rozcieńczyć przy pomocy tempa, tak żebyśmy go nie musieli przeżyć (nie wiem, jak Hanna to rozumie). Utracenie świata przez techników (co Hanna ma tu na myśli, nie rozumiem). Hanna nie robi żadnych wyrzutów, nie uważa za niepojęte mojego zachowania się wobec Sabeth, przeżyłem (zdaniem Hanny) taki rodzaj stosunku, jakiego dotąd nie znałem, i określałem go fałszywie, wmawiając sobie, że jestem zakochany. To nie był przypadkowy błąd, lecz błąd, który jest częścią mnie (?) jak mój zawód, jak całe moje dotychczasowe życie. Mój błąd: że my technicy usiłujemy żyć bez śmierci. Dosłownie: traktujesz życie nie jako pewną postać, ale jako zwyczajne sumowanie, dlatego nie masz żadnego stosunku do czasu, bo nie masz żadnego stosunku do śmierci. Życie jest pewną postacią w czasie. Hanna przyznaje, że nie potrafi wyjaśnić, co ma na myśli. Życie nie jest materią, nie można go opanować techniką. Mój błąd z Sabeth: powtórzenie, zachowałem się tak, jakby nie było starości, i dlatego wbrew naturze. Nie możemy zlikwidować starości, sumując w dalszym ciągu, żeniąc się z własnymi dziećmi.

20.VI. Przybycie do Caracas.

Wreszcie wszystko klapowało; turbiny były na miejscu, podobnie jak potrzebne siły robocze. Trzymałem się, dopóki się dało, i to, że teraz, kiedy montaż wreszcie jest w toku, musiałem się wyłączyć z powodu dolegliwości żołądkowych, to już pech, ale nic nie można poradzić; podczas mojej poprzedniej bytności (15 i 16.IV) mogłem zacząć pracę, ale poza tym wszystko niegotowe. O tyle moja wina, że nie mogłem doglądać montażu; musiałem leżeć w hotelu, co bynajmniej nie jest zabawne, przeszło dwa tygodnie. W Caracas spodziewałem się też listu od Hanny. Depesza do Aten, którą nadałem poprzednio, pozostała bez odpowiedzi. Chciałem napisać do Hanny i zacząłem nawet parę listów, ale nie miałem pojęcia, gdzie ona się znajduje, nie pozostało mi więc nic innego (coś musiałem przecież robić w tym hotelu!), jak napisać sprawozdanie nie adresując go do nikogo.

Montaż odbywał się jak należy – beze mnie.

Zakonnica przyniosła mi wreszcie lusterko – przestraszyłem się. Zawsze byłem chudy, ale nie tak jak teraz; nie jak ten stary Indianin w Palenque, który nam pokazywał wilgotne groby. Naprawdę jestem trochę przestraszony. Poza goleniem nie mam zwyczaju patrzeć w lustro; czeszę się bez lustra, a jednak wiem, jak wyglądam, a raczej, jak wyglądałem. Miałem nos zawsze nieco za długi, jednakże uszy niczym nie zwracały mojej uwagi. Co prawda, mam pidżamę bez kołnierzyka, dlatego wygląda z niej teraz zbyt długa szyja, ścięgni na szyi, kiedy odwracam głowę, i doły między ścięgniami, bruzdy, których dotąd nie zauważyłem. Moje uszy: jak u starożytnych więźniów! Nie mogę sobie naprawdę wyobrazić, żeby czaszka mi się zmniejszyła. Zadaję sobie pytanie, czy mój nos stał się sympatyczniejszy, i dochodzę do wniosku, że nosy nigdy nie są sympatyczne, raczej absurdalne, często sprośne. Na pewno nie wyglądałem tak wtedy w Paryżu (przed dwoma miesiącami), bo Sabeth nie chciałaby ze mną pójść do opery. Skórę mam jeszcze trochę opaloną, tylko szyja została biaława. Pory jak na obskubanej kurzej szyjce! Usta nadal mi się podobają, nie wiem dlaczego, usta i oczy, które wcale nie są piwne, jak zawsze myślałem, bo tak mam napisane w paszporcie, tylko szarozielone; wszystko inne mogłoby należeć do kogo innego, kogoś, kto jest przepracowany. Swoje zęby zawsze przeklinałem. Kiedy tylko stanę na nogi, muszę iść do dentysty, ze względu na kamień nazębny a może i ziarninę; nie czuję bólu, tylko pulsowanie w szczęce. Włosy nosiłem zawsze krótko ostrzyżone, bo to praktyczniej, i na skroniach mi się nie przeredziły ani z tyłu. Siwy jestem już od dawna, srebrny blondyn, co mnie zresztą nie martwi. Kiedy leżę na wznak i trzymam nad sobą lusterko, wyglądam wciąż jeszcze tak, jak wyglądałem; tylko trochę chudszy, skutki diety oczywiście! Może to białawe światło, jakie przesącza się przez żaluzje w tym pokoju, sprawia, że wyglądam tak blado pod opalenizną, nie biało, tylko żółto. Fatalnie tylko z zębami. Zawsze się o nie bałem, próchnieją, cokolwiek się na to robi. I w ogóle cały człowiek! Konstrukcja znośna, ale materiał chybiony; mięso to żaden

materiał, tylko przekleństwo.

P. S.

Chyba nigdy jeszcze nie zmarło tyle osób, co w ostatnim kwartale. Teraz profesor O. z Zurychu, z którym przed tygodniem osobiście rozmawiałem, też zmarł.

Ogoliłem się i wymasowałem sobie skórę. Śmieszne, co sobie człowiek wyobraża z samej beczynności! Nie ma powodu do obaw, brak mi tylko ruchu i świeżego powietrza, to wszystko.

9–13.VII na Kubie.

Jedno tylko miałem do zrobienia w Hawanie: przesiąść się na inny samolot, bo w żadnym razie nie chciałem lecieć nad New Yorkiem, KLM z Caracas, Cubaną do Lizbony, gdzie zatrzymałem się na cztery dni.

Cztery dni tylko oglądałem—

EL PRADO:

Stara ulica ze starymi platanami, jak Rambla w Barcelonie, korso wieczorem, aleja pięknych ludzi, niesłychane, idę i idę, nie mam nic innego do roboty—

Żółte ptaki, ich zgiełk o zmierzchu—

Wszyscy chcieli mi czyścić buty—

Hiszpańska Murzynka pokazała mi język, kiedy ją podziwiałem, różowy język w brunatnej twarzy, zaśmiałem się, pozdrowiłem – i ona zaśmiała się, białe zęby w czerwonym kwiecie jej warg (jeżeli można tak powiedzieć) i te jej oczy; niczego od niej nie chciałem.

– How do you like Habana?

Gniewa mnie, że zawsze mnie biorą za Amerykanina, tylko dlatego, że jestem białym człowiekiem; alfonsi krok w krok za mną.

– Something very beautiful! D’you know, what I mean? Something very young!

Wszyscy spacerują, wszyscy się śmieją.

Wszystko jak we śnie.

Biali policjanci palący cygara; marynarze palący cygara; chłopaczki, ich biodra w wąskich spodniach.

CASTILLO DEL MORO (Filip II).

Pozwalam sobie czyścić buty.

Postanawiam żyć inaczej—

Cieszę się—

Kupuję cygara; dwie skrzyneczki.

Zachód słońca—

Nadzy chłopcy w morzu, ich skóra, słońce na ich wilgotnej skórze, upał, siedzę i palę cygaro, chmury zapowiadające burzę nad białym miastem: czarnofiołkowe chmury i ostatnie błyski zachodu na wieżowcach.

EL PRADO:

Zielony zmierzch, sprzedawcy lodów; na murkach pod latarniami siedzą dziewczęta (grupkami) i śmieją się.

TAMALES:

Kukurydza zawinięta w bananowe liście, zakąska, którą sprzedają na ulicach – je się to idąc i nie traci się czasu.

Niepokój we mnie. Dlaczego właściwie?

Nie mam nic do roboty w Hawanie.

Odpoczynek w hotelu – wciąż na nowo – prysznic, potem bez ubrania na łóżku, powiew wentylatora, leżę i palę cygara. Nie zamykam drzwi i pokoju; na korytarzu dziewczyna sprząta i śpiewa, też Murzynka hiszpańska, palę bez przerwy.

Pożądanie—

Dlaczego ona po prostu nie wchodzi!

Jestem zmęczony, jestem zbyt zmęczony, aby przynieść sobie popielniczkę; leżę na wznak i palę cygaro tak, żeby biały popiół nie opadał, trzymam je pionowo.

PARTAGAS.

Kiedy idę znów na Prado, znów doznaję jakby halucynacji: same piękne dziewczyny, mężczyźni też bardzo piękni, sami wspaniali ludzie, skrzyżowanie Murzynów i Hiszpanów, ale przestają się gapić, ich prosty i płynny chód, dziewczęta w niebieskich kloszowych sukniach, z białymi chusteczkami na głowach, kostki jak u Murzynek, ich nagie karki są równie ciemne jak cienie pod platanami, toteż na pierwszy rzut oka widzi się tylko ich suknie, niebieskie albo lila, białe chusteczki i białe zęby, kiedy się śmieją, białka ich oczu, kolczyki błyszczą.

THE CARIBBEAN BAR.

Znowu palę—

ROMEO Y JULIETA.

Jakiś młody człowiek, którego z początku biorę za alfonsa, nalega, aby zapłacić za moje whisky, bo został ojcem:

– For the first time!

Obejmuje mnie i powtarza wciąż:

– Isn't it a wonderful thing?

Przedstawia się i chce wiedzieć, jak się nazywam, ile mam dzieci, przede wszystkim synów; mówię:

– Five.

Na to on chciał zaraz zamówić pięć whisky.

– Walter – powiedział – you're my brother!

Ledwośmy się trącili, odszedł, aby komu innemu postawić whisky i zapytać, ile tamten ma dzieci, przede wszystkim synów—

Wszystko jakieś zwariowane.

Wreszcie burza; siedzę sam pod arkadami na żółtym bujającym się krześle, dokoła szum, nagła ulewa i wicher, nagle w alei nie ma ani żywej duszy, jakby był alarm, łomot żaluzji, na dworze woda bryzga na bruk: jakby nagle klomb narcyzów (zwłaszcza pod latarniami), biało—

Patrzę i bujam się.

Cieszę się, że jestem tu teraz—

Od czasu do czasu przysznic pod arkadami, kwiatowe confetii, potem zapach gorących liści i nagły chłodek na skórze, co chwila błyskawice, ale szum wody jest głośniejszy niż grzmoty, kołysze się i śmieje. Wiatr, kiwanie się pustych krzesel koło mnie, flaga kubańska.

Gwizdzę.

Jestem zły na Amerykę!

Kołyszę się i drzę z zimna—

THE AMERICAN WAY OF LIFE! Postanawiam żyć inaczej—

Światło błyskawic; potem się prawie ślepnie, przez chwilę było widać: siarczanozielona palma wśród wichru, chmury fioletowe z niebieskawym błyskiem żaru palnika acetylenowego, morze, powiewająca w wietrze blacha falista; brzęk tej falistej blachy, moja dziecinna radość z tego powodu, moja rozkosz – śpiwam.

THE AMERICAN WAY OF LIFE:

Już choćby to, co jedzą i piją, te wymoczki, które nie wiedzą, co to jest wino, ci pożeracze witamin, pijący zimną herbatę i żujący gumę, którzy nie wiedzą, co to jest chleb, ten coca-colowaty naród, którego nie znoszę—

Zresztą żyję z ich pieniędzy!

Pozwalam sobie oczyścić buty—

Za ich pieniądze!

Siedmioletni chłopak, który już raz czyścił mi buty, teraz wygląda jak utopiony kot; chwytam go za kędzierzawe włosy—

Szczerzy zęby.

Jego włosy nie są czarne, raczej szare jak popiół, brunatnoszare, młode, w dotyku jak trawa morska, ale kędzierzawe i krótkie, czuje się pod nimi dziecinną czaszkę, ciepłą, jak gdyby się gładziło ostrzyżonego pudła.

Śmieje się tylko i dalej czyści buty—

Kocham go.

Jego zęby—

Jego młoda skóra—

Jego oczy przypominają mi murzyńską sprzątaczkę w Houston (Texas), która, kiedy miałem zawrót głowy i poty, klęczała koło mnie w toalecie, białka jej dużych oczu, które w ogóle są jakieś inne, piękne jak oczy zwierząt. W ogóle to ich ciało!

Gawędzimy o różnych markach samochodowych.

Ma zwinne ręce—

Nie ma już nikogo prócz nas, tego dzieciaka i mnie, dokoła ulewa, chłopak przykucnął i glansuje moje buty szmatkami, że aż klaszcze –
THE AMERICAN WAY OF LIFE:

Już choćby ich brzydota w porównaniu z tutejszymi ludźmi: różowi jak prosiaki, ohydni, żyją dlatego, że istnieje penicylina, to wszystko, a zachowują się, jak gdyby byli szczęśliwi, bo są Amerykanami, bo nie mają oporów, a przy tym są niezdarni i hałaśliwi – takie facety jak Dick, którego sobie obrałem za wzór! – jak oni stoją, z lewą ręką w kieszeni spodni, oparci ramieniem o ścianę, w drugiej ręce kieliszek, niewymuszeni obrońcy ludzkości, klepią się po ramionach, optymiści, póki się nie upiją, wtedy kłapa, koniec białej rasy, pustka w lędźwiach.

Jestem zły na siebie samego!

(Gdybyż to można było żyć po raz drugi!)

W nocy piszę list do Hanny—

Następnego dnia pojechałem na plażę, niebo było bez chmurki, upał, południe i słaby przyptyw: nadbiegające fale, grzechotanie kamyczków, każda plaża przypomina mi Thedohori.

Płaczę.

Woda przezroczysta, widać dno morskie, płynę z twarzą pod wodą, żeby widzieć dno; mój własny cień na dnie morskim: fioletowa żaba.

List do Dicka.

Co Ameryka może ofiarować: komfort, najlepsze instalacje na świecie, ready for use, świat jako zamerykanizowana próżnia, gdzie się zjawia, wszystko jest highway, świat jako dwustronna ściana do nalepiania plakatów, miasta, które nie są miastami, iluminacja, następnego dnia widzi się puste rusztowania, zgiełk, wszystko infantylne, reklama optymizmu jako neonowa tapeta chroniąca przed nocą i śmiercią.

Potem wynająłem łódkę.

Żeby być sam!

Nawet w kostiumach kąpielowych widać po nich, że mają dolary; ich głosy (jak na Via Appia) są nie do wytrzymania, ich gumowe głosy wszędzie, plebs w dobrobycie.

List do Marcela.

Marcel ma rację: to ich fałszywe zdrowie, fałszywa młodość, te ich kobiety, które nie chcą pogodzić się z tym, że się starzeją, kosmetyki nakładane trupom, w ogóle ich pornograficzny stosunek do śmierci, ich prezydent, który na każdej tytułowej stronie musi się uśmiechać jak różowe niemowlę, bo inaczej nie wybiorą go ponownie, ta ich sprośna młodość—

Powiosłowałem na pełne morze.

Upał na wodzie.

Jestem bardzo samotny.

Przeczytałem moje listy do Dicka i Marcela i podarłem je, bo były nierzeczowe; białe strzępy na wodzie; białe włosy na mojej piersi—

Jestem bardzo samotny.

Potem zachowuję się jak uczeń: rysuję kobietę na gorącym piasku i kładę się przy tej kobiecie, która jest tylko piaskiem, i mówię do niej głośno—

Dzikuska!

Nie wiedziałem, co począć ze sobą tego dnia, zabawny dzień, nie znałem sam siebie, nie mam pojęcia, jak przeszło popołudnie, które wyglądało po prostu jak wieczność, niebieskie, nie do wytrzymania, ale piękne, nie kończące się – aż znów siedziałem na Prado (wieczorem), z zamkniętymi oczami; usiłuję wyobrazić sobie, że jestem w Hawanie, że siedzę na murze na Prado. Nie mogę sobie tego wyobrazić, przerażenie.

Wszyscy chcą czyścić moje buty—

Sami piękni ludzie, podziwiam ich jak nie znane mi zwierzęta, mają białe zęby w mroku, brunatne ramiona i ręce, oczy – śmieją się, bo lubią życie, bo to wieczór świąteczny, bo są piękni. Patrzę na nich z rozkoszą—

Czuję żądzę—

Pustka między łędźwiami—

Istnieję jeszcze tylko dla czyścicieli butów! Alfonsi—

Sprzedawcy lodów—

Ich pojazdy: kombinacja starych wózków dzieciennych i kredensów, do tego pół roweru, baldachim z zardzewiałych żaluzji; światło karbidowe; dookoła zielony zmierzch i niebieskie kloszowe spódniczki.

Księżyc koloru lila—

Potem historia w taksówce: był jeszcze wczesny wieczór, ale już nie mogłem znieść tego dłużej, przechadzać się jak trup po korso między żyjącymi, i chciałem wrócić do hotelu, wziąć proszek nasenny, skinąłem na taksówkę, otwieram drzwiczki, a tam siedzą już dwie panie, jedna czarna, druga blondynka, mówię: sorry, zatraskuję drzwiczki z powrotem, ale kierowca wyskakuje na ulicę, żeby mnie zawrócić: – Yes, sir! – woła i otwiera drzwiczki znowu: – For you, sir! – rozśmieszyła mnie taka usłużność, wsiałam – Nasza kosztowna kolacja!

Potem kompromitacja—

Wiedziałem, że kiedyś dojdzie do tego, leżę później w swoim hotelu, nie śpię, ale jestem spokojny, noc jest gorąca, co pewien czas puszczam sobie prysznic na to ciało, które mnie zdradza, ale nie biorę proszka, moje ciało nadaje się już tylko do tego, żeby rozkoszować się powiewem z wentylatora, który mnie wachluje: wietrzyk na pierś, wietrzyk na nogi, wietrzyk na pierś.

Obsesja: rak żołądka.

Poza tym jestem szczęśliwy—

Zgiełk ptaków w szarości świtu, biorę moją Hermes-Baby i wystukuję na niej wreszcie mój raport dla UNESCO, dotyczy ukończonego już montażu w Wenezueli.

Potem śpię do południa.

Jem ostrygi, bo nie wiem, co robić, moja robota jest skończona, palę za dużo cygar.

(Stąd bóle żołądka.)

Wieczorem niespodzianka:

Siadam na murku w Prado obok obcej dziewczyny i zagaduję do niej, moim zdaniem jest to ta sama, która mi przedwczoraj pokazała różowy język. Ona sobie tego nie przypomina. Śmieje się, kiedy mówię, że nie jestem Amerykaninem.

Po hiszpańsku mówię za wolno—

– Say it in English!

Jej długie, wąskie dłonie—

Mój hiszpański wystarcza w sprawach zawodowych: komiczne, mówię nie to, co chcę, tylko to, czego żąda ten język. A ona się śmieje. Jestem ofiarą mego skąpego słownika. Dziwi się, ma miłe oczy, ja sam się chwilami dziwię: memu życiu, które mnie samemu wydaje się takie bez znaczenia.

Juana ma osiemnaście lat.

(Jeszcze młodsza niż nasza córka.)

Suiza: ma na myśli Szwecję.

Jej brunatne ramiona oparte z tyłu, głowa dotyka latarni z lanego żelaza, jej biała chusteczka i czarne włosy, niewiarygodnie piękne nogi; palimy, obie moje białe ręce oparłem na prawym kolanie.

Jest naiwna.

Nigdy dotąd nie opuszczała Kuby—

To mój trzeci wieczór tutaj, ale wszystko już wydaje się swojskie: zielony zmierech i neonowe reklamy, sprzedawcy lodów, cętkowana kora platanów, ptaki, ich świergot, siatka cienia na ziemi, czerwone kwiaty ich ust.

Celem jej życia jest New York!

Ptasi pomiot pada z góry—

Jest naiwna.

Juana jest pakowaczką, a prostytutką tylko podczas week-endów, ma dziecko, nie mieszka w samej Hawanie.

Znowu snują się młodzi marynarze.

Opowiadam o mojej córce, która umarła, o podróży poślubnej z moją córką, o Koryncie, o żmii, która ukąsiła ją ponad lewą piersią, o jej pogrzebie i o mojej przyszłości.

– I'm going to marry her.

Nie rozumiała mnie.

– I think she's dead.

Prostuję.

– Oh – śmieje się – you're going to marry the mother of the girl, I see!

– As soon as possible.

– Fine! – mówi ona.

– My wife is living in Athens—

Jej kolczyki, jej skóra.

Czeka tutaj na brata—

Pytam, czy Juana wierzy w grzech śmiertelny albo w bogów; białe błyśnięcie śmiechu; pytam, czy Juana sądzi, że żmijami (ogólnie biorąc) kierują bogowie albo demony.

– What’s your opinion, sir?

Potem przychodzi chłopak w prążkowanej hollywoodzkiej koszuli, młodociany alfons, który już mnie zagabywał, jej brat. Klepie mnie po ramieniu:

– Hello, camerad!

Nic szczególnego, wszystko bardzo pogodnie, Juana gasi papierosa obcasem, a brunatną rękę kładzie na moim ramieniu.

– He’s going to marry his wife – he’s a gentleman!

Juana znika—

– Wait here! – mówi on i rozgląda się, żeby mnie skłonić do zostania. – Just a moment, sir, just a moment!

Moja ostatnia noc w Hawanie.

Nie ma czasu na spanie na tej ziemi!

Nie miałem żadnego specjalnego powodu, aby być szczęśliwy, a jednak byłem. Wiedziałem, że opuszczę to wszystko, co widzę, ale nie zapomnę: arkady nocą, gdzie kołyszę się i patrzę albo słucham, jakiś dorożkarski koń rzy, hiszpańska fasada z żółtymi firankami, które powiewają z czarnych okien, potem znowu gdzieś blacha falista, jej dźwięk przenika do szpiku kości, przyjemność i rozkosz, wiatr, nic tylko wiatr, który kołysze palmami, wiatr bez chmur, bujam się i pocę, zielona palma jest gietka jak pręt, w jej liściach dźwięk, jakby ktoś ostrzył noże, potem żeliwna latarnia, która dźwięczy jak flet, bujam się i śmieję, jej chwiejne, zamierające światło, musi być straszny podmuch, rżący koń nie może utrzymać dorożki, wszystko fruwa, szylt nad sklepem balwierza, mosiądz, jego brzęczenie wśród nocy, a niewidzialne morze brzyzga o mury, potem za każdym razem grzmot gdzieś w ziemi, syczy coś jak express do kawy, pić się chce, sól na wargach, burza bez deszczu, nie spada ani kropla, nie może, bo nie ma chmur, nic, tylko gwiazdy, nic, tylko gorący i suchy kurz w powietrzu, żar jak z pieca, bujam się i piję scotch whisky, jedną jedyną, nie znoszę więcej, bujam się i śpiewam. Godzinami. Śpiewam! Nie umiem śpiewać, ale nikt mnie nie słyszy, ani koń dorożkarski na pustej jezdni, ani ostatnie dziewczyny w powiewających sukniach, ich brunatne nogi, gdy suknie powiewają, czarne włosy też powiewają, zielona żaluzja oberwała się, białe uśmiechy wśród kurzu, zielona żaluzja zsuwa się po jeczini aż do morza, malinowe światło wśród kurzu ponad białym miastem w nocy, upał, kubańskie flagi – bujam się i śpiewam, nic więcej, puste krzesło koło mnie kołysze się również, dźwięczące jak flet żeliwo, chaos kwiatów. Głoszę chwałę życia!

Sobota 13.VII. Dalszy lot.

Rankiem na Prado, po powrocie z banku, gdzie wymieniałem pieniądze, pusta aleja, śliska od ptasiego pomiotu i białego kwiecica—

Słońce.

Wszyscy przy robocie—

Ptaki—

Potem jakiś mężczyzna, który mnie prosi o ogień do cygara, zajęty interesami, ale idzie mimo to ze mną, aby zapytać:

– How do you like Habana?

– I love it! – powiadam.

Znowu jakiś alfons, jego zainteresowanie.

– You're happy, aren't you?

Podziwia moją kamerę.

– Something very beautiful! D'you know what I mean? Something very young!

Kiedy mówię mu, że wyjeżdżam, chce wiedzieć, o której muszę być na lotnisku.

– Ten o'clock, my friend, ten o'clock.

Spogląda na zegarek.

– Well – powiada – now it's nine o'clock, sir, that's plenty of time!

Wlokę się jeszcze raz nad morze.

Daleko, daleko łodzie rybackie.

Pożegnanie.

Siedzę jeszcze raz na kamieniach nadbrzeżnych i palę cygaro, już nie filmuję. Po co? Hanna ma rację: potem trzeba oglądać jako film to, czego już nie ma, a przecież wszystko mija—

Pożegnanie.

Była u mnie Hanna. Powiedziałem jej, że wygląda jak panna młoda. Hanna na biało! Nagle przestała chodzić w żałobie; jej wymówka: na dworze jest za gorąco. Opowiadałem jej tyle o sępach, że nie chce teraz siedzieć przy moim łóżku jak czarny ptak – i myśli, że ja nie zauważam tej jej delikatności, dlatego że dawniej jeszcze (przed paroma tygodniami) nie zauważyłem tylu rzeczy. Hanna opowiadała mi dużo.

PS.

Kiedys, jako dziecko, Hanna mocowała się z bratem i poprzysięgła sobie, że nigdy nie pokocha mężczyzny, bo młodszemu bratu udało się ją położyć na łopatki. Bardzo się wtedy obruszyła na Pana Boga za to, że sprawił, iż chłopcy silniejsi są niż dziewczynki, uznała, że to nie fair, nie ze strony brata, tylko ze strony Pana Boga. Hanna postanowiła stać się mądrzejsza od wszystkich chłopców z Monachium-Schwabing i stworzyła tajny klub dziewczynek, żeby usunąć Jehowę. W każdym razie miała być mowa tylko o takim niebie, w którym będą również boginie. Hanna zwróciła się najpierw do Matki Boskiej, pociągnęły ją obrazy kościelne, gdzie Maria króluje pośrodku; klękała, jak jej koleżanki katoliczki, i żegnała się, o czym tata nie powinien się być dowiedzieć. Jedyнным mężczyzną, do którego miała zaufanie, był starzec nazwiskiem Armin, który odegrał pewną rolę w jej dziewczęcych latach. Nie wiedziałem, że Hanna ma brata. Hanna mówi: mieszka w Kanadzie i jest bardzo dzielny, jak sądzę, wszystkich kładzie na łopatki. Pytam, jak jej się żyło z Joachimem, jak i gdzie, i jak długo. Pytałem wiele, ale za każdym razem Hanna odpowiadała: wiesz przecież! Najwięcej opowiadała o Arminie. Był to ślepiec. Hanna kocha go jeszcze, choć umarł już dawno czy też zaginął. Hanna była jeszcze uczennicą, dziewczynką w skarpetkach, spotykała go regularnie w parku, gdzie siadywał zawsze na tej samej ławce, i potem oprowadzała go po Monachium. Lubił Monachium. Był stary, według jej ówczesnych pojęć nawet prastary: między pięćdziesiątym a sześćdziesiątym rokiem życia. Mieli zawsze mało czasu, tylko we wtorki i w piątki, kiedy Hanna brała lekcje gry na skrzypcach, spotykali się bez względu na pogodę, Hanna prowadziła go i pokazywała mu wystawy. Armin był całkowicie ślepy, ale mógł sobie wszystko wyobrazić, kiedy mu się opowiadało. Hanna mówi: to było cudowne, iść z nim razem przez świat. Pytałem ją też, jak to było przy urodzeniu naszego dziecka. Nie byłem przecież przy tym; jakże mogę to sobie wyobrazić? Joachim, naturalnie, był przy tym. Wiedział, że nie jest ojcem, ale zachowywał się, jakby był prawdziwym ojcem.

Poród był lekki, twierdzi Hanna; pamięta tylko, że jako matka czuła się bardzo szczęśliwa. Nie wiedziałem też, że moja matka zdawała sobie sprawę, iż dziecko jest moje, poza tym nikt w Zurychu, ojciec nie miał pojęcia. Zapytałem, dlaczego w żadnym liście moja matka nie wspomniała, że wie. Zmowa kobiet? Nie wspomną nawet o tym, czego my nie rozumiemy, i traktują nas jak nieletnich. Moi rodzice, jak twierdzi Hanna, byli zupełnie inni, niż mnie się wydaje; w każdym razie inni w stosunku do Hanny. Kiedy Hanna opowiada o mojej matce, mogę słuchać jak ślepy! Długie lata jeszcze korespondowały ze sobą, Hanna i moja matka, która wcale nie umarta na skrżep, jak sądziłem. Hanna jest zdziwiona, że ja tylu rzeczy nie wiem. Była na jej pogrzebie w 1937 roku. Jej zamiłowanie do starożytnych Greków też się zaczęło, twierdzi Hanna, w tym parku; Armin znał grecki i dziewczynka musiała mu czytać głośno z podręczników, żeby mógł się nauczyć na pamięć. To było, że tak powiem, zgwałcenie. Armin nie zaprowadził Hanny nigdy do swego mieszkania. Hanna nie wie, gdzie on mieszkał i jak. Spotykała go w parku i opuszczała w parku, i nikt na świecie nie wiedział o ich umowie, że pojedą razem do Grecji, Armin i ona, jak tylko Hanna dorośnie i będzie wolna, i że Hanna pokaże mu greckie świątynie. Nie wiadomo, czy starzec liczył na to naprawdę; Hanna wzięła to na serio. Hanna w skarpetkach! Kiedyś pamiętam, siadywał w Cafe Odeon, w Zurychu, pewien starszy pan, po którego Hanna musiała zawsze przychodzić, aby go odprowadzić do tramwaju. Nie cierpiałem tej Cafe Odeon, emigranci i intelektualiści, cyganeria, profesorowie i stare kokoty dla ludzi interesu z prowincji, tylko dla Hanny chodziłem do tej kawiarni. Ów starszy pan mieszkał w pensjonacie Fontana; czekałem na małym skwerku (schowany) przy Gloriamstrasse, aż Hanna odprowadzi starego wuja. Więc to był Armin! Nie zauważyłem go właściwie; ale on ciebie zauważył, mówi Hanna. Hanna jeszcze dziś mówi o Arminie, jakby żył, jakby wszystko widział. Zapytałem, dlaczego Hanna nigdy nie pojechała z nim do Grecji. Zaśmiała się jakby to wszystko było

żartem, dziecinadą. W Paryżu (1938 do 1940) żyła Hanna z pewnym francuskim pisarzem, podobno dość znanym; zapomniałem jego nazwiska. Nie wiedziałem też, że Hanna była w Moskwie (1948) ze swoim drugim mężem. Raz przejeżdżała przez Zurych (1953), bez naszej córki – bardzo lubi Zurych, jakby tam nic nie zaszło – i była też w Cafe Odeon. Zapytałem, jak umarł Armin. W Londynie (1942) spotkała go jeszcze raz. Armin chciał wyemigrować i Hanna odprowadziła go jeszcze na statek, którego nie mógł zobaczyć i który prawdopodobnie został zatopiony przez niemiecką łódź podwodną, w każdym razie nie dołynął do miejsca przeznaczenia.

15.VII. Düsseldorf.

Nie wiem, co ten młody technik, którego mi panowie z firmy Hencke-Bosch oddali do dyspozycji, o mnie pomyślał; mogę tylko powiedzieć, że tego popołudnia trzymałem się w cuglach tak długo, jak tylko mogłem.

Wieżowiec, dużo chromu—

Uważałem za swój przyjacielski obowiązek poinformować tych panów, jak wygląda ich plantacja w Gwatemali, to znaczy poleciałem z Lizbony do Düsseldorfu, nie zastanawiając się nad tym, co właściwie mam do zrobienia czy do powiedzenia w Düsseldorfie, i po prostu siedziałem u nich, bardzo uprzejmie przyjęty.

– Mam filmy – powiedziałem.

Miałem wrażenie, że wyrzekli się już tej plantacji; interesowali się nią wyłącznie przez uprzejmość.

– Jak długo trwa wyświetlanie pańskich filmów?

Zdaje się, że im po prostu przeszkadzałem.

– Jak to wypadek? – powiedziałem. – Mój przyjaciel powiesił się, panowie o tym nie wiedzieli?

Naturalnie wiedzieli.

Miałem uczucie, że nie biorą mnie poważnie, ale to musiało się odbyć, wyświetlenie mojego filmu z Guatemali. Technik, oddany mi do dyspozycji, żeby w sali posiedzeń zarządu przygotować wszystko, co potrzebne jest do wyświetlenia, tylko mnie denerwował; był bardzo młody, miły, ale zbędny, potrzebna mi była aparatura, ekran, kable, niepotrzebny był mi technik.

– Dziękuję panu! – powiedziałem.

– Proszę pana bardzo.

– Znam aparaturę – powiedziałem.

Nie mogłem się go pozbyć.

Pierwszy raz widziałem te filmy (jeszcze nie poobcinane), przekonany, że będzie się tam roić od powtórzeń; zdziwiłem się, ile było zachodów słońca, trzy zachody na samej tylko pustyni Tamaulipas, można by pomyśleć, że podróżuję jako agent od zachodów słońca, śmieszne; wstydziłem się po prostu młodego technika, stąd moje zniecierpliwienie.

– Nie wychodzi ostrzej, proszę pana.

Nasz samochód przy Rio Usumancinta—

Sępy przy robocie—

– Proszę dalej – powiadam.

Potem pierwsi Indianie, spotkani rankiem, którzy meldują nam, że señor nie żyje, potem koniec taśmy – zmiana taśmy, co zajmuje trochę czasu; w trakcie tego rozmowa o ektachromie. Siedzę na wyściełanym fotelu i palę, bo nie mam nic do roboty, obok mnie puste fotele członków zarządu; tylko że nie huśtają się na wietrze.

– Proszę dalej – powiadam.

Teraz Joachim na drucie.

– Stop! – powiadam – niech pan zatrzyma.

Jest to, niestety, bardzo ciemne zdjęcie, nie od razu widać, co to jest, nie doświetlone, bo zrobione w baraku z tą samą przesłoną, z którą przedtem filmowałem sępy na zdechłym osle w porannym słońcu; powiadam:

– To jest dr Joachim Hencke.

Technik patrzy na ekran:

– Nie wychodzi ostrzej, proszę pana, bardzo żałuję.

To wszystko, co miał do powiedzenia.

– Proszę dalej – mówię.

Jeszcze raz Joachim, wiszący na drucie, ale tym razem z boku, tak że lepiej widać, co się dzieje; to zdumiewające, nie tylko nie robi to wrażenia na młodym techniku, ale też i na mnie, po prostu film, jakich się już wiele widziało, przegląd tygodniowy, brakuje w tym smrodu, prawdy, mówimy o oświetleniu z tym młodym człowiekiem, tymczasem widać grób z modlącymi się dookoła Indianami, ciągle dłużyzny, potem nagle ruiny w Palenque, papuga z Palenque. Koniec taśmy.

– Czy nie można by tu otworzyć okna – powiedziałem. – Temperatura tropikalna.

– Proszę bardzo.

Fatalne nieporozumienie wynikło stąd, że na cle pomieszano moje szpule z taśmami, albo stąd, że szpule z ostatniego okresu (poczynając od podróży okrętem) nie zostały należycie oznaczone; chciałem przecież tym panom z firmy Hencke-Bosch, którzy mieli przyjść o 11.30, pokazać tylko to, co dotyczyło Gwatemali. Potrzebna mi była przede wszystkim moja ostatnia wizyta u Herberta.

– Stop – powiedziałem – to jest Grecja.

– Grecja?

– Stop! – krzyknąłem. – Stop!

– Proszę bardzo.

Ten chłopak doprowadzał mnie do szału, jego uprzejme „proszę bardzo”, jego wyniosłe „proszę bardzo”, jak gdyby był pierwszym człowiekiem, który zna się na takiej aparaturze, jego brednie na temat optyki, o której nie ma pojęcia – przede wszystkim jednak to „proszę bardzo”, to przekonanie, że wie lepiej.

– Nie ma innej rady, proszę pana, jak wyświetlić wszystko i zobaczyć. Nie ma innej rady, skoro szpule nie są oznaczone.

To nie jego wina, że nie było napisów; co do tego przyznawałem mu rację.

– Zaczyna się – powiedziałem – od pana Herberta Hencke, brodatego człowieka w hamaku, jeżeli dobrze pamiętam.

Zgasił światło, ciemność, szum aparatu.

Zupełna loteria! – Wystarczyły pierwsze metry – Ivy na molo w Manhattanie, macha chusteczką w moim teleobiektywie, poranne słońce nad Hudsonem, czarne holowniki, manhattańskie drapacze chmur, mewy...

– Stop – powiedziałem – poproszę następną.

Zmiana szpuli.

– Objechał pan pół świata, i ja chciałbym tak...

Była godzina 11.00.

Musiałem zażyć tabletki, żeby być w formie, kiedy nadejdą panowie z firmy, tabletki bez wody, nie chciałem, żeby to zauważono.

– Nie – powiedziałem – to także nie ta.

Znowu zmiana taśmy.

– To był dworzec w Rzymie, prawda?

Nie odpowiedziałem. Czekałem na następną szpulę. Czekałem, żeby móc natychmiast zatrzymać. Wiedziałem: Sabeth na okręcie, Sabeth przy ping-pongu na pokładzie spacerowym (i ten jej kawaler z wąsikami), Sabeth w bikini, Sabeth pokazująca język, kiedy zauważyła, że filmuję – to wszystko musiało być na pierwszej szpuli, która zaczęła się od Ivy; na bok. Ale na stole leżało jeszcze sześć czy siedem szpul i nagle, jakby nie istniała inna możliwość, zjawiała się – naturalnej wielkości – Sabeth na ekranie. Kolorowa.

Wstałem—

Sabeth w Awinionie.

Nie kazałem jednak zatrzymać, tylko pozwoliłem przekrócić się całej taśmie, choć technik parę razy zwracał uwagę, że to nie może być Gwatemala.

Widzę jeszcze ten film:

Jej twarz, której już nigdy nie będzie—

Sabeth w czasie mistralu idzie pod wiatr; taras, Jardin des Papes; wszystko fruwa, włosy powiewają, jej suknia jak balon; Sabeth przy balustradzie, macha ręką.

Jej ruchy—

Sabeth karmiąca gołębice.

Jej śmiech, ale bezgłośny—

Pont d'Avignon, stary most, który pośrodku się urywa. Sabeth coś mi pokazuje, jej mina, kiedy zauważa, że ja ciągle filmuję zamiast patrzeć, marszczy brwi, coś mówi.

Krajobrazy—

Woda Rodanu, zimna, Sabeth zanurza w niej palce stopy i potrząsa głową, zachodzące słońce, mój długi cień.

Jej ciało, którego już nie ma—

Antyczny teatr w Nimes.

Śniadanie pod platanami, kelner, który jeszcze raz przynosi nam briosze, jej rozmówka z kelnerem, spogląda na mnie, napełnia moją filiżankę czarną kawą.

Jej oczy, których już nie ma—

Pont du Gard.

Sabeth kupująca widokówki, żeby napisać do mamy; Sabeth w czarnych cowboyskich spodnach, nie zauważa, że filmuje, Sabeth odrzucająca na plecy swój koński ogon.

Hotel Henri IV.

Sabeth siedzi w głębokiej wnęce okiennej, ze skrzyżowanymi nogami, bosy, je czereśnie, spogląda w dół, na ulicę, wypluwa pestki, deszczowy dzień.

Jej usta—

Sabeth rozmawia z francuskim mułem, którego według niej obładowano zbyt ciężko.

Jej ręce—

Nasz citroen, model 57.

Jej dłonie, których już nigdzie nie ma, głaszczą muła; jej ramiona, których już nie ma—

Walka byków w Arles.

Sabeth czesząca włosy, trzymająca młodymi zębami klamerkę, zauważa, że filmuje, i wyjmuje klamerkę z ust, żeby mi coś powiedzieć, mówi zapewne, żebym jej nie filmował, nagle wybucha śmiechem.

Jej zdrowe zęby—

Jej śmiech, którego już nigdy nie usłyszę.

Jej młodzieńcze czoło—

Procesja (również w Arles, jak sądzię). Sabeth wyciąga szyję i pali z oczyma zmrużonymi z powodu dymu, trzyma ręce w kieszeniach spodni. Sabeth na jakimś cokole, żeby móc patrzeć ponad tłumem. Baldachimy, zapewne bicie dzwonów, ale niedosłyszalne, Matka Boska, chór chłopców, ale bezgłośny.

Aleja w Prowansji, platanowa aleja.

Nasz piknik w drodze. Sabeth pije wino. Trudno jej pić z flaszki, zamyka oczy i próbuje znowu, potem ociera usta, nie udaje jej się, oddaje mi flaszkę, wrusza ramionami.

Pinie w czasie mistralu.

Jeszcze raz pinie w czasie mistralu.

Jej chód—

Sabeth idzie do kiosku po papierosy. Idąca Sabeth. W czarnych spodniach, jak zwykle, staje na chodniku, aby popatrzeć w lewo i w prawo, włosy związane w koński ogon, potem przechodzi przez ulicę, idzie ku mnie.

Idąc podskakuje trochę—

Znowu pinie w czasie mistralu.

Sabeth śpiąca, ma półotwarte usta, dziecinne usta, włosy rozpuszczone, powaga, zamknięte oczy—

Jej twarz, jej twarz—

Jej oddychające ciało—

Marsylia. Ładowanie byków w porcie, brunatne byki wprowadzono na rozłożoną sieć, potem wciągają je w górę, przerażone, nagle bezsilne, kiedy tak wiszą w powietrzu, cztery nogi sterczące przez oka wielkiej sieci, epileptyczne oczy—

Pinie w czasie mistralu; znowu.

L'Unité d'Habitation (Corbusier)—

Na ogół filmy zrobione w niezłym oświetleniu, w każdym razie lepszym niż filmy z Gwatemali; kolory wypadły znakomicie, jestem zdumiony.

Sabeth zrywa kwiaty—

Przestałem (nareszcie!) poruszać kamerą, stąd ruchy obiektów wypadły o wiele ostrzej.

Przyплыw—

Jej palce; Sabeth widzi po raz pierwszy drzewo korkowe, palcami kruszy korę, rzuca nią we mnie.

(Defekt.)

Przyплыw morza w południe, nic więcej.

Sabeth znów się czesze, ma wilgotne włosy, zadziera głowę w górę, żeby się uczesać, nie widzi, że filmuję, i czesząc się opowiada coś, włosy ma ciemniejsze niż zwykle, bo mokre, bardziej rude, zielony grzebień widocznie zapiaszczony, czyści go, jej marmurowa skóra, na niej krople wody, ciągle jeszcze coś opowiada—

Łodzie podwodne pod Tulonem.

Młody wólczega z homarem, który się porusza. Sabeth boi się, kiedy homar się rusza.

Nasz hotelik w Le Trayaz.

Sabeth siedzi na moło—

Znów przyплыw.

(O wiele za długo!)

Znowu Sabeth na moło, teraz stoi, nasza zmarła córka, i śpiewa, znowu z rękami w kieszeniach, myśli, że jest zupełnie sama, i śpiewa, ale bezgłośnie—

Koniec taśmy.

Nie wiem, co młody technik o mnie myślał i mówił, kiedy nadeszli tamci panowie, siedziałem w wagonie restauracyjnym (HELVETIA-EXPRESS albo SCHAUINSLAND-EXPRESS, już nie pamiętam) i piłem steinhagera. Nie wiem także, jak opuściłem firmę Hencke-Bosch; bez wytłumaczenia, bez wyjaśnień, po prostu wyszedłem.

Filmy zostawiłem.

Powiedziałem młodemu technikowi, że muszę wyjść, i podziękowałem za jego usłużność. Wyszedłem do przedpokojku, gdzie wisiał mój płaszcz i kapelusz, i poprosiłem panienkę o teczkę, która została w dyrekcji. Stałem już koło windy; była 11.32, wszyscy czekali na pokaz filmów, ja wymówiłem się bólami żołądka (co nie było prawdą) i wszedłem do windy. Chciano mnie zawieźć autem do hotelu albo do szpitala; ale mnie przecież wcale nie bolał żołądek. Podziękowałem i poszedłem pieszo. Bez pośpiechu, nie wiedząc, dokąd iść; nie wiem, jak wygląda obecnie Düsseldorf, szedłem przez miasto, przez największy ruch, nie patrząc na światła na skrzyżowaniach, myślę, że tak jak ślepiec. Podszedłem do okienka, kupiłem bilet, potem do najbliższego pociągu – siedzę w wagonie restauracyjnym, piję steinhagera i wyglądam przez okno, nie płacząc, chciałbym tylko nie być, nie być nigdzie. Po co wyglądam przez okno? Nie mam już na co patrzeć. Jej obie ręce, których już nie ma, jej ruchy, kiedy odrzuca włosy na plecy albo kiedy się czesze, jej zęby, usta, oczy, których już nigdy nie będzie, jej czoło: gdzie mam ich szukać? Chciałbym, żeby mnie nigdy nie było. Po co jechać do Zurychu? Po co do Aten? Siedzę w wagonie restauracyjnym i myślę: dlaczego nie miałbym wziąć tych dwóch widelców, postawić na sztorc i pozwolić, żeby moja twarz na nie opadła i żeby mi wykluły oczy?

Moją operację wyznaczono na pojutrze.

P.S.

W ciągu całej podróży nie miałem najmniejszego pojęcia, co robiła Hanna po tym nieszczęściu. Nie dostałem ani jednego listu od niej! I dziś jeszcze tego nie wiem. Kiedy ją pytam, odpowiada: A cóż ja mogę zrobić! Już nic w ogóle nie rozumiem. Jakim sposobem Hanna po wszystkim, co zaszło, może znieść moją obecność? Przychodzi tutaj i odchodzi, wraca, przynosi mi, czego pragnę, słucha mnie. Co myśli? Jej włosy mocniej posiwiały. Dlaczego nie mówi, że zniszczyłem jej życie? Nie mogę po tym wszystkim, co zaszło, wyobrazić sobie jej życia. Jeden jedyny raz rozumiałem Hannę, kiedy mnie obiema pięściami biła po twarzy, przy łóżku zmarłej. Od tej chwili przestałem ją rozumieć.

16.VII. Zurych.

Z Düsseldorfu pojechałem do Zurychu, jak sądzę dlatego, że od dziesiątków lat nie widziałem mego ojczyzno miasta.

Nie miałem w Zurychu nic do roboty.

Williams czekał na mnie w Paryżu—

W Zurychu, kiedy zatrzymał się przy mnie i wysiadł z auta, żeby się ze mną przywitać, znowu go nie poznałem; zupełnie jak ostatnim razem: czaszka obciążnięta skórą, skóra żółtawa, brzuch jak balon, odstające uszy; bardzo serdeczny, śmieje się jak trupia czaszka, oczy ma wciąż jeszcze żywe, ale głęboko zapadnięte, wiedziałem tylko, że go znam, ale w pierwszej chwili nie byłem pewny, kto to jest.

– Zawsze się pan śpieszy – zaśmiał się – zawsze się pan śpieszy!

Co robię w Zurychu.

– Znów mnie pan nie poznaje? – zapytał.

Wyglądał okropnie, nie wiedziałem, co powiedzieć, naturalnie znałem go, tylko ten pierwszy lęk, potem strach, że powiem coś niewłaściwego, powiedziałem:

– Oczywiście, mam czas.

Potem poszliśmy do Cafe Odeon.

– Bardzo mi przykro – powiedziałem – że nie poznałem pana ostatnim razem w Paryżu.

Nie miał mi tego za złe, śmiał się, słuchałem, patrząc na jego starcze zęby, on tylko wyglądał tak, jakby się śmiał, miał zęby o wiele za długie, mięśni nie starczało już na tę twarz bez śmiechu; rozmowa z trupią czaszką, musiałem się wziąć w garść, żeby nie zapytać profesora O., kiedy zamierza umrzeć. Zaśmiał się:

– Co pan rysuje, panie Faber?

Rysowałem na marmurowym blacie stolika spiralę, nic więcej, w żółtym marmurze był skamieniały ślimak, stąd moja spirala, schowałem automatyczny ołówek; rozmowy o sytuacji światowej, jego ciągły śmiech przeszkadzał mi do tego stopnia, że nie wiedziałem, co mówię.

Powiedział, że jestem taki małowówny.

Jeden z kelnerów w Odeonie, Piotr, stary wiedeńczyk, jeszcze mnie pamiętał; powiedział, że się zmieniłem—

Profesor O. zaśmiał się.

Uważał, że to szkoda, iż wtedy nie napisałem swojej rozprawy (o tzw. demonie Maxwella).

W Odeonie siedziały kokoty, jak dawniej.

– Nie wie pan – śmiał się znowu – że Odeon został zburzony?

Nagle zadał pytanie:

– Jak się ma pańska córka?

Widział Sabeth, kiedyśmy się wtedy żegnali w kawiarni paryskiej; jak on to mówi: niedawno w Paryżu! Było to po południu, zanim poszliśmy do opery, wieczór poprzedzający naszą podróż poślubną; nie powiedziałem nic, tylko:

– Skąd pan wie, że to była moja córka?

– Tak sobie pomyślałem!

Znowu się zaśmiał.

Nie miałem w Zurychu nic do roboty, toteż jeszcze tego samego dnia (po rozmowie w Odeonie z profesorem O.) pojechałem do Kloten, żeby lecieć dalej—

Mój ostatni lot!

Znowu Super-Constellation.

Lot był spokojny, słaby wiatr nad Alpami, które znam jeszcze z młodzieńczych lat, ale nad którymi lecę po raz pierwszy, niebieskie popołudnie z nieuniknionym föhnem, Jezioro Czterech Kantonów, na prawo Wetterhorn, w głębi Jungfrau i Eiger, może Finsteraarhorn, już tak dokładnie ich nie pamiętam, tych naszych gór, mam co innego w głowie—

Co właściwie?

Doliny w ukośnym świetle późnego popołudnia, cieniste wąwozy, cieniste stoki, wśród nich białe strumienie, łąki oświetlone ukośnie, kopce siana czerwone od słońca, raz stado bydła w kotlinie zasypanej kamieniami, na granicy lasu; jak białe robaki! (Sabeth oczywiście ochrzciłaby to inaczej, ale nie wiem, jak.) Oparłem czoło o zimne okno, leniwe myśli—

Chciałbym wachać siano!

Nigdy już nie latać!

Chciałbym chodzić po ziemi – tam, pod tymi ostatnimi sosnami, które stoją w słońcu, wąchać żywicę i słuchać szumu wody, huku wody, i pić wodę—

Wszystko przemija jak w filmie!

Chciałbym dotknąć ziemi—

Zamiast tego wznosimy się coraz wyżej.

Strefa życia, jakże jest cienka, paręset metrów, potem już atmosfera staje się rzadka, za zimna, ludzie zamieszkują właściwie jakąś oazę, zieloną nizinę, jej drobne rozgałęzienia, potem koniec oazy, lasy są jakby odcięte (tutaj na wysokości 2000 metrów, w Meksyku 4000 metrów), jakiś czas pasą się jeszcze stada, aż do granicy możliwości istnienia, kwiaty – nie widzę ich, ale wiem, że są – pstre, mocno zakorzenione, ale drobne, owady, potem już tylko kamienie, potem lód—

Raz nowa zaporą wodna.

Woda w niej jak pernod: zielonkawa i mętna, potem lustrzana biel śnieżnego pola, motorówka przy brzegu, zaporą segmentowa, ani żywej duszy.

Potem pierwsze mgły, pędzą—

Szczeliny w lodowcach: zielone jak szkło butelkowe, Sabeth powiedziałyby: jak szmaragd! Znowu nasza gra do dwudziestu jeden punktów! Skały w wieczornym świetle: jak złoto. Ja uważam, że jak bursztyn, bo matowe i jednocześnie przezroczyste, albo jak kości, bo białawe i kruche. Nasz samolot rzuca cień na moreny i lodowce: kiedy zapada się w dziurę powietrzną, człowiek myśli za każdym razem, że jest zgubiony i że spada, ale oto przylepia się już do następnej ściany skalnej jak ciśnięty kielnią, ale nie pozostaje na niej jak zaprawa, tylko prześlizguje się i opada znowu w próżnię, po drugiej stronie grani. Cień naszego samolotu: jak nietoperz! Tak by powiedziała Sabeth, ja nie znajduję porównania i tracę punkt, co innego mnie zaprzęta: ślad na śniegu, ludzki ślad, wygląda jak szew, Sabeth powiedziałyby: jak łańcuszek na szyję, niebieskawy, wiszący wielką pętlą na białym śnieżnym biuście. Przychodzi mi do głowy: gdybym stanął jeszcze w tej chwili na tym szczycie, co robić? Za późno, żeby zejść; zmierzcha się już w dolinach i cienie wieczora kładą się już na lodowcu, potem na pionowej ścianie. Co robić? Lecimy dalej; widać biały krzyż na szczycie, świeci, bardzo samotny, światło, którego nigdy się nie widzi podczas wspinaczki, bo trzeba wcześniej zejść, światło, za które trzeba zapłacić śmiercią, ale bardzo piękne, chwila, potem chmury, dziury w powietrzu, południowe zbocze Alp, zachmurzone, jak było do przewidzenia, chmury: jak wata, jak gips, jak kalafiory, jak piana o barwach baniek mydlanych, nie wiem, co Sabeth by jeszcze wynalazła, zmienia się to wszystko gwałtownie, czasem otwór w chmurach, spojrzenie w głąb: czarny las, strumień, las wygląda jak jeź, ale tylko przez sekundę, chmury kłębią się, cienie górnych chmur na dolnych, cienie jak kurtyny, lecimy przez nie, przed nami obłoki w słońcu: jakby nasza maszyna musiała się o nie rozbić, góry z pary wodnej, ale

elastyczne i białe jak grecki marmur, ziarniste—

Wlatujemy w nie.

Od czasu przymusowego lądowania w Tamaulipas siadam zawsze w ten sposób, aby widzieć podwozie, gdy je wysuwają, w napięciu czekam, czy pas startowy w ostatniej chwili, kiedy dotkną go opony, nie zamieni się w pustynię—

Mediolan:

Depesza do Hanny, że przyjeżdżam.

Bo dokąd miałbym jechać?

Nie ma powodu przypuszczać, żeby takie podwozie, składające się z dwóch par opon ze sprężynami w obudowie z rur, ze smarem na połyskującym metalu, jak należy, mogło się nagle, dotknąwszy ziemi, zachować jak demon, który nagle zmieni pas startowy w pustynię – fantazjowanie, którego sam naturalnie nie biorę na serio; w życiu nie spotkałem jeszcze demona, z wyjątkiem tzw. demona Maxwella, który oczywiście nie jest żadnym demonem.

Rzym:

Depesza do Williamsa, że rezygnuję z pracy.

Powoli uspokajam się.

Była już noc, kiedy poleciliśmy dalej i lecieliśmy na północ, tak że, koło północy, nie poznałem Zatoki Korynckiej.

Wszystko jak zawsze:

Iskry sypiące się z rur wydechowych w nocy – Zielone światełko na skrzydle—

Blask księżycy na skrzydle—

Czerwone lśnienie pod maską silnika – Napięcie, jakbym leciał po raz pierwszy w życiu; widziałem, jak podwozie powoli się opuszcza, blask reflektorów pod skrzydłami, białe lśnienie w szybkach śmigła, potem gaszą wszystko, światła pod nami, ulice w Atenach czy Pireusie, schodzimy w dół, potem światła lotniska, żółte, pas startowy, znowu nasze reflektory, potem zwykłe miękkie uderzenie (bez runięcia w przód, w utratę świadomości), kurz i spaliny za podwoziem – Rozpinam pas—

Hanna czeka na lotnisku.

Widzę ją przez okno—

Hanna w żałobie.

Mam tylko teczkę, moją Hermes-Baby, płaszcz i kapelusz, tak że przez cło przechodzę szybko; wychodzę pierwszy, ale nie odważam się pomachać ręką. Po prostu stanąłem przed barierą (powiedziała Hanna) i czekałem, aż Hanna do mnie podejdzie. Zobaczyłem ją po raz pierwszy w żałobie. Pocałowała mnie w czoło. Poleciała mi hotel Estia Emborron.

Dziś już tylko herbata, jeszcze raz wszystkie badania, po nich człowiek jest wykończony. Jutro nareszcie operacja.

Dotychczas byłem tylko raz na jej grobie, bo mnie tutaj natychmiast zatrzymali (choć prosiłem tylko o zbadanie); gorący grób, kwiaty wędzną w ciągu paru godzin—

18.00

Zabrano mi maszynę do pisania.

19.30

Hanna przyszła jeszcze raz.

24.00

Nie spałem ani minuty i nie chcę spać. Wiem wszystko. Jutro otworzą mi brzuch, żeby stwierdzić to, co i tak wiedzą. Że nie ma ratunku. Zeszyją mnie znowu i kiedy odzyskam przytomność, będzie się nazywało, że mnie zoperowali. Uwierzę w to, choć wiem wszystko. Nie przyznam się do tego, że bóle wróciły, silniejsze niż dawniej. To się tylko tak mówi: gdybym wiedział, że mam raka żołądka, tobym sobie wpakował kulę w łeb! Jestem do tego życia przywiązany jak nigdy i jeśli by to miał być tylko jeszcze rok, nędzny rok, kwartał, dwa miesiące (byłyby to wrzesień i październik), miałbym nadzieję, choć wiemy że jestem stracony. Ale nie jestem sam, Hanna jest moim przyjacielem, nie jestem sam.

02.40

Napisałem list do Hanny.

04.00

Rozporządzenia na wypadek śmierci: wszystkie papiery, jak sprawozdania, listy, notatki, mają być spalone – wszystko to nieprawda. Być na świecie: to znaczy być w świetle. Gdziekolwiek (jak ten stary w Koryncie) poganiać ośła, nasz zawód! – ale przede wszystkim dotrzymać kroku światłu, radości (jak nasza córka, kiedy śpiewała), wiedząc, że zgasnę w świetle ponad janowcami, asfaltem i morzem, dotrzymać kroku czasowi albo wieczności w tym momencie. Być wiecznym: to znaczy kiedyś istnieć.

04.15

Hanna nie ma już mieszkania, dopiero dzisiaj (wczoraj!) mi to powiedziała. Mieszka teraz w pensjonacie. Już moja depeza z Caracas nie doszła do niej. Musiało to być w tym czasie, kiedy Hanna, wsiadła na okręt. Najpierw miała zamiar wyjechać na rok na wyspy, gdzie ma znajomych Greków z okresu prac wykopaliskowych (Delos); na tych wyspach można wyżyć bardzo tanio. W Mykenach kupuje się dom za dwieście dolarów, tak twierdzi Hanna, w Amorgos za sto dolarów. Nie pracuje też już w instytucie, jak mi się zawsze zdawało. Hanna usiłowała wynająć swoje mieszkanie wraz z meblami, ale to się nie udało ze względu na pośpiech; wobec tego sprzedała wszystko, wiele książek rozdarowała. Nie mogła już po prostu wytrzymać w Atenach, tak twierdzi. Kiedy wsiadła na statek, myślała o Paryżu, może też o Londynie; wszystko to było niepewne, bo Hanna mówi, że w jej wieku nie tak łatwo znaleźć nową pracę, na przykład jako sekretarka. Nie myślała ani przez chwilę o tym, żeby mnie prosić o pomoc, dlatego też nie pisała. W gruncie rzeczy Hanna miała tylko jeden cel: wyjechać z Grecji! Opuściła miasto nie pożegnawszy się ze znajomymi, z wyjątkiem dyrektora instytutu, którego bardzo ceniła. Ostatnie chwile przed wyjazdem spędziła na grobie, musiała o 14.00 być już na pokładzie, odjazd o 15.00, ale z jakichś powodów odjazd odwłókł się o godzinę. Nagle (powiada Hanna) wydało jej się to bez sensu i opuściła statek, z ręcznym bagażem. Było już za późno na wyladowanie trzech dużych kufrów; popłynęły do Neapolu i stamtąd miały wrócić. Zamieszkała na razie w hotelu Estia Emborron, ale dłuższy pobyt tam był dla niej za kosztowny, potem zgłosiła się znowu w instytucie, gdzie jej dotychczasowy współpracownik zajął już jej miejsce, miał umowę trzyletnią, nic się już nie dało zrobić, jej następcą już dość długo czekał i nie zamierzał dobrowolnie ustąpić. Dyrektor był nadzwyczaj miły, ale instytut nie jest dość bogaty, żeby móc podwójnie obsadzić to stanowisko. Mogli jej zaofiarować dozór nad dorywczymi nadprogramowymi pracami i wyjazdy w teren. Ale Hanna chce zostać w Atenach. Nie wiem, czy czekała tu na mnie, czy

też chciała opuścić Ateny, żeby mnie już nie zobaczyć. To był przypadek, że dostała na czas moją depezę z Rzymu; kiedy telegram nadszedł, była akurat w swoim pustym mieszkaniu, żeby przekazać klucze administratorowi. Hanna oprowadza teraz cudzoziemców przed południem po muzeum, po południu po Akropolu, wieczorem jeździ do Sunion. Oprowadza przede wszystkim grupy turystów, którzy chcą zwiedzić wszystko w jeden dzień, wycieczki po Morzu Śródziemnym.

06.00

Jeszcze raz napisałem list do Hanny.

06.45

Nie wiem, dlaczego Joachim się powiesił, a Hanna wciąż o to pyta. Skąd ja mogę wiedzieć? Ciągłe wraca do tego tematu, choć ja o Joachimie wiem mniej niż ona. Powiada: kiedy dziecko przyszło na świat, nie przypominało mi nigdy ciebie, to było tylko moje dziecko, tylko moje. Co się tyczy Joachima: kochałam go właśnie dlatego, że nie był ojcem mego dziecka, i w pierwszych latach wszystko było takie proste. Hanna uważa, że nasze dziecko nigdy by nie przyszło na świat, gdyby nie to, żeśmy się wówczas rozstali. Jest tego pewna. Rozstrzygnęło się to dla niej, jeszcze zanim przyjechałam do Bagdadu; pragnęła dziecka, przyszło to na nią nagle i kiedy ja wyjechałam, zrozumiała, że pragnie dziecka (tak mówi), ale bez ojca, nie naszego dziecka, tylko swojego dziecka. Była samotna i szczęśliwa, że jest w ciąży, i kiedy poszła do Joachima, aby dać się przekonać, była już zdecydowana mieć to dziecko; nie przeszkadzało jej; że Joachim myślał, iż utwierdził ją, w jakiejś zasadniczej decyzji jej życia, ani to, że się w niej zakochał, co wkrótce potem doprowadziło do małżeństwa. Moje nieszczęsne powiedzenie wówczas, w jej mieszkaniu: „Zachowujesz się jak kwoka!” bardzo poruszyło Hannę, bo i Joachim, jak sama przyznała, użył raz tego określenia. Joachim troszczył się o dziecko nie mieszając się do spraw wychowania; nie było to jego dziecko ani moje, tylko po prostu dziecko bez ojca, jej własne dziecko, które nie obchodziło żadnego mężczyzny, czym Joachim się zadawała, przynajmniej w pierwszych latach, póki było maleństwem, które i tak należy tylko do matki, i Joachim nie był zazdrosny, że dawało szczęście Hannie. O mnie, powiada Hanna, nie było nigdy mowy. Joachim nie miał powodu być o mnie zazdrosny i nie był; widział, że nie uchodzę za ojca wobec świata, który przecież nic o tym nie wiedział, ani nawet wobec Hanny, która o mnie po prostu zapomniiała (jak zapewnia mnie ciągle), bez żalu. Trudniej układały się sprawy między Joachimem i Hanną, kiedy zaczęły się mnożyć kwestie dotyczące wychowania: nie chodziło nawet o różnice poglądów, które występowały rzadko, ale Joachim zaczął nie znosić tego, że Hanna we wszystkim, co dotyczyło

dziecka, uważała siebie za jedyną i ostateczną instancję. Hanna przyznaje, że Joachim był zgodnym człowiekiem, alergicznym tylko na tym jednym punkcie.

Widocznie miał coraz większą nadzieję na dziecko, wspólne dziecko, które zapewni mu sytuację ojca, i sądził, że wtedy wszystko stanie się samo przez się zrozumiałe, Elsbeth uważała go za swego tatę; kochała go, ale Joachim nie ufał jej, jak sądzi Hanna, i zdawało mu się, że jest zbyt cenny. W owym czasie istniały wszelkie rozsądne przyczyny, aby nie dawać życia nowym dzieciom, zwłaszcza dla niemieckiej pół-Żydówki, Hanna obstawała przy tym jeszcze dzisiaj, jak gdybym zamierzał się z nią sprzeczać. Joachim nie wierzył jej argumentom; podejrzewał: nie chcesz w ogóle ojca w domu! Uważał, że Hanna chce mieć dzieci, tylko jeśli ojciec potem zniknie. Czego jeszcze nie wiedziałem: Joachim zabiegał o wyjazd na emigrację od 1935 roku, zdecydowany na wszystko, byle się nie rozdzielić z Hanną. Hanna też nie myślała o rozstaniu; chciała wyjechać z Joachimem do Kanady albo do Australii, wyuczyła się w związku z tym zawodu laborantki, aby mu wszędzie móc pomagać. Jednakże nie doszło do tego. Kiedy Joachim dowiedział się, że Hanna przerwała ciążę, doszło do krótkiego spięcia; Joachim zgłosił się (potem, kiedy ku zmartwieniu swej rodziny mógł się zwolnić) dobrowolnie do Wehrmachtu. Hanna nie zapomniła go nigdy. Choć w następnych latach nie żyła bez mężczyzny, poświęciła całe życie dziecku. Pracuje w Paryżu, potem w Londynie, we Wschodnim Berlinie, w Atenach. Ucieka z dzieckiem. Uczy dziecko sama w krajach, gdzie nie ma szkół niemieckich, i uczy się jeszcze w wieku lat czterdziestu gry na skrzypcach, aby móc akompaniować córcie. Nic nie jest dla niej trudne, kiedy chodzi o dziecko. Pielęgnuje je w piwnicy, kiedy Wehrmacht wkracza do Paryża, i odważa się wyjść na ulicę, aby przynieść lekarstwa. Nie rozpieszcza małej; na to Hanna jest za mądra, jak uważam, choć sama siebie nazywa (od paru dni) idiotką. Dlaczego ja to powiedziałem? – pyta wciąż. Wtedy: „twoje dziecko” zamiast „nasze dziecko”. Czy jako wyrzut, czy z tchórzostwa? Nie rozumiem jej pytań. Czy ja wtedy wiedziałem, jak dalece miałem rację? I dlaczego ostatnio powiedziałem: „zachowujesz się jak kwoka”. Cofnąłem te słowa już wielokrotnie i odwołałem,

odkąd wiem, czego Hanna w życiu dokonała; ale ona nie może nad nimi przejść do porządku. Czy ja jej mogę przebaczyć! Płakała, klęcząc, podczas gdy w każdej chwili mogła wejść zakonnica, całowała moją rękę – Hanna, jakiej nie znałem. Rozumiałem tylko, że po tym wszystkim, co się stało, ona nigdy nie porzuci Aten, grobu naszej córki. Oboje tu zostaniemy, jak sędzę. Rozumiem także i to, że Hanna nie chciała tego mieszkania z pustym pokojem; już wystać córkę w podróż, chociaż tylko na pół roku, było jej trudno. Hanna zawsze wiedziała, że dziecko ją kiedyś opuści; ale Hanna nie mogła przewidzieć, że w czasie tej podróży Sabeth spotka ojca, który wszystko zniszczy—

08.05

Nadchodzą.